DLA MILIONA.

X.

W powrocie do domu pan Bratkowski rozmyślał tylko nad dwoma przedmiotami, w jaki sposób zażegnać grożącą mu bliską ruinę i jak uwiadomić żonę o zaszłych wypadkach i zmianie majątkowéj pozycyi.

W sprawie kopalni liczył, że sami wierzyciele zechcą i muszą mu pomódz do usunięcia rozporządzenia komisarza i umożliwienia roboty około szybów, rozumował bowiem, że przewlekła procedura licytacyi narazi ich na utratę, a przy nizkiéj cenie licytacyjnéj mogą utracić nawet część kapitału. Następnie Josel obiecał mu kupców zapewne, a przecież wspólnika, gdy złagodzi swe warunki znajdzie łatwo wśród nafciarzy.

Jednak, mimo tych logicznych wywodów, zdejmował go niewytłomaczony lęk przed przyszłością; czuł się słabym, bezsilnym wobec nieznanéj siły, która, jak gdyby kierowana rozumną ręką, unicestwiała najlepiéj obmyślane plany; stawiała mu nieprzebyte

zapory; zepsuła mu doszczętnie posiadany kredyt; poddała go czujnemu dozorowi władzy wykonawczéj; czyniła mu ludzi wrogimi, i niemal czuwała nad każdą jego myślą, słowami, zabijając w zarodku każdy pomyślany ratunek.

Przesądny, jak każdy gracz hazardowny, uznawał w swém niepowodzeniu działanie siły wyższéj, przemożnéj; ścigający go fatalizm, któremu się oprzéć niepodobna, a przeciwdziałać próżna praca i trud!

— Taki los, cóż robić? — szepnął zmartwiony.

Wobec żony miał dwa wyjścia, powiedziéć prawdę, albo téż ukrywać stan rzeczy w dalszym ciągu.

Zamilczenie i odgrywanie komedyi powodzenia przed żoną wymaga wprawdzie wysiłku nerwowego; pilnowania słów, ruchów, wyrazu twarzy; ukrywania się ze stosunkami lichwiarskiemi i żydowskiemi; natomiast ma się względny spokój; nie martwi się żony- unika się tłómaczeń, wymówek, narzekań, płaczu i widoku posępnéj, zmartwionéj i zgnębionéj twarzy.

Ale znów żyć kłamstwem, drżéć przy każdem zjawieniu się żyda lub woźnego, bać się każdego świstka papiéru, prowadzić podwójne rachunki i wiecznie kłamać, to przechodziło jego obecne siły nerwowe.

Postanowił odsłonić przed żoną całą prawdę. Przyjechawszy do domu skorzystał z pierwszéj sposobności i wyjaśnił stan interesów. Wbrew oczekiwaniu, bez płaczu i wymówek przyjęła żona spokojnie tę wiadomość, tylko twarz pobladła, zmarszczki na czole, częste przesłanianie ócz powiekami nabrzmiałemi i drgające usta zdradzały ból skryty.

— Wiedziałam, Guciu, że całe przedsiębiorstwo prędzéj czy późniéj musi źle się skończyć... Czy jest jaka nadzieja ratunku, a przynajmniéj wycofania się z honorem, bez zarwania ludzi i zostawienia długów?

— Ależ o bankructwie nie ma mowy!—zawołał z żywością,— dość mi wyjść na rynek i powiedziéć, że sprzedaję grunt, a kupcy się znajdą, panie dobrodzieju.

— Więc zrób tak, mój Guciu.

— Nie mogę sprzedać... Przecież nasza męka, troski, walki nie powinne iść na marne. Przy sprzedaży straciłbym może część włożonego kapitału, prócz méj pracy... Nie, Stasiu, nie wymagaj tego, to byłaby ostateczność, a na to zawsze czas.

— Niepoprawny jesteś, Guciu. Zastanów się tylko: z kapitału nie mamy centa, w sklepach długi, całe srebro i biżuterya zastawio-

ne na wypłatę robotników, w domu plącze się kilka guldenów. . i co nas czeka?

— Ty zapatrujesz się tak na tę sprawę, — odpowiedział gorączkowo, — a ja wolę przecierpiéć, przemęczyć się czas jakiś, panie dobrodzieju, żyć z dziećmi bardzo skromnie, a nie rzucać kopalni. Stasiu, to przecież cel mego życia, moich starań i pracy, cała przyszłość w téj kopalni, a gdybym ją stracił, to pozostaje mi tylko grób.

— Guciu, Guciu, opamiętaj się, — zawołała głosem, w którym drżały łzy.

— Sam Krausberg, najbliższy sąsiad, — mówił daléj, nie zważając na jéj słowa, — powiada, że nie sprzedałby nigdy mojéj kopalni, bo tam mogą być krocie; co najwyżéj przyjąłby wspólnika; a ty chcesz, abym, panie dobrodzieju, sam dobrowolnie zniszczył majątek i przyszłość dzieci; abym dla chwilowego niepowodzenia skazał siebie i dzieci na żebraków.

Patrzała na niego z przerażeniem, była przekonaną, że wobec faktów z ostatnich kilku tygodni, wobec tego, że sam uważa pozycyę swoją jako zachwianą i trudną, on się opamięta, wytrzeźwieje z gorączki złota i hazardu, ureguluje interesa i wróci do spokojnéj pracy, do skromnego bytu. Siedząc naprzeciw w jadalnym pokoju, widziała dokładnie rysy jego twarzy, w téj chwili wzburzone i zacięte, oczy błyszczące z po za okularów i pomarszczone czoło wskazujące na upór nieugięty.

Ogarnęła ją rozpacz, żal, gniew, i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Patrzał na nią przez chwilę zdziwiony i zgorszony, nie rozumiejąc przyczyny jéj płaczu, zirytowany, iż żona nietylko nie uznaje jego zapatrywań, ale nawet nie pojmuje istoty interesu kopalni Zły, wstał z krzesła i idąc do swego pokoju, rzekł:

— Jeśli nasze narady mają się kończyć twoim szlochem, panie dobrodzieju, lepiéj nie rozmawiajmy wcale.

— Zaczekaj! — zawołała surowo i energicznie.

Stanął w drzwiach, zdziwiony tonem jéj głosu, którego nie znał dotychczas.

— Przyrzeknij mi, że zanim zdecydujesz się na cokolwiekbądź, wpiérw poradzisz się ze mną.

Widok żony zmartwionéj i zbolałéj rozczulił go i odpowiedział łagodnie:

— Przyrzekam, przecież tylko tego pragnę, abyśmy szli zgodnie i wspólnie się starali o przyszłość dzieci.

Zakryła oczy chusteczką, płacząc cicho, zbliżył się do niéj, mówiąc głosem miękkim i szczerym:

— Nie płacz, Stasiu... nic straconego, panie dobrodzieju... no nie płacz... odzyskamy kapitał z ogromnym procentem...

— Może, — szepnęła wśród łez, — ale tyś dla mnie stracony i niema sposobu wyratowania ciebie.

— Znajdzie się i ten, — uśmiechnął się, — byle mi powiodło się z kopalnią... nie płacz...

— Idź, idź, — mówiła z powstrzymaném łkaniem, — uspokoję się sama.

Wzruszył ramionami i wyszedł. W samotnym pokoju opadły go jednak rojem posępne myśli, rozpaczliwe przypuszczenia, strach przed utratą kopalni, że chwycił za kapelusz i laskę, by iść między ludzi, szukać ratunku, pociechy, zachęty do wytrwania.

Na rynku kupcy i giełda zbywali go półsłówkami, unikali wyraźnie, prawie lekceważąco, dla nich bowiem był łupiną, z któréj wyjęto całą zawartość.

W kasynie spodziewał się podobnego przyjęcia, czuł wstręt do spotkania komisarza i fałszywéj litości swych dawnych znajomych i bez chęci, raczéj z przyzwyczajenia, wstąpił na wino do handelku, gdzie spotkał kilku nafciarzy z Borysławia.

Wrócił do domu późną nocą, cicho otworzył drzwi swego pokoju i usnął twardo.

Na drugi dzień rano pani Bratkowska, nie chcąc budzić męża, poszła do ogródka kwiatowego przed domem i zajęła się kwiatami. Dzień był pogodny, rozświetlony promieniami słońca, a lekki powiew ze wschodu, z gór i lasów, oczyścił tę część miasta z nafciarskich i fabrycznych zapachów. Odetchnęła głęboko świeżością poranku i spojrzała na ulicę Samborską, ciągnącą się w prostéj linii niemal do rynku. Z jednéj i drugiéj strony szerokiéj ulicy były porozrzucane dworki parterowe, ozdobione drzewami, na lewo tylko wznosiło się piętrowe, obszerne gimnazjum. Ulica w promieniach słońca wydawała się czystą, białą a wszystkie domy schludne, otulone zielenią i kwiatami, wydawały się przybytkami cnót, szczęścia i spokoju.

W téj rannéj porze roiła się ulica od przedmieszczan, spieszących z produktami na rynek. Jechały ładowne wozy z ogrodowizną, i z nabiałem; głośno rozprawiały kobiéty w jaskrawych spódnicach i fartuchach, mając na głowie chustki zawiązane w kształcie

turbana, z długiemi końcami, zwieszającemi się na plecy. I świat i ludzie w świetle jasnego poranku zdawali się piękni, dobrzy, szczęśliwi, a pani Bratkowska, mając w pamięci rozmowę z mężem, w sercu troskę i obawę, z pewną zazdrością patrzała na ich swobodę, słuchała głośnych słów i śmiechów. Zapragnęła być tak szczęśliwą i spokojną, jak one, zamarzyła o cichéj, dalekiéj od gwaru miasta i wszelkich interesów nafciarskich zagrodzie; sama doglądałaby krów, gospodarstwa domowego, ogrodu warzywnego, i byłoby tak dobrze, cicho, spokojnie...

Zbudził ją z marzeń głos Josla faktora:

— Kłaniam wielmożnéj pani.

Wzdrygnęła się, odstąpiła krok od sztachet, na których się opierała, wyprostowała się i odpowiedziała po chwili:

— Dzień dobry, Josel, a czego?

— Czy wielmożny pan w domu? Ja mam interes.

Spojrzała w okno pokoju męża, a widząc je zasłonięte, rzekła:

— Pan jeszcze śpi, położył się późno w nocy.

— Szkoda, no ja przyjdę za godzinę, powiem kupcom, niech zaczekają...

— Jeśli interes ważny i pilny, zbudzę pana...

— Ja nie wiem, czy on ważny i pilny, — odparł z pewném wahaniem, — wielmożny pan kazał mi szukać pieniędzy, ale teraz o pieniądze ciężko, ja jednak mam kupców na kopalnię...

— Kupców!?... Ile dają? — spytała drżącym ze wzruszenia głosem.

— Oni dają mało, — mówił zwolna, przypatrując się bacznie pani Bratkowskiéj, — może ja coś jeszcze wytarguję na nich, od tego ja faktor wielmożnego pana...

— Ileż dają? — spytała niecierpliwie.

— Oni mówią, że dadzą ośm tysięcy gotówką, — odpowiedział z westchnieniem.

— Ośm tysięcy!? Za całą kopalnię!? Za grunt i szyby!? Ależ to niemożliwe!

— I ja to im mówiłem, — usprawiedliwiał się faktor, — same szyby są więcéj warte... no, ale co robić? Teraz takie ciężkie czasy, taki pieniądz drogi, — wzdychał co chwila.

— Nie, to niepodobna, za ośm tysięcy!—mówiła z żalem i rozczarowaniem.

— Ja może coś utarguję, — dodał Josel z uśmiechem przyjaznym. — Co ja mam im powiedzieć? tym kupcom?

— Proszę przyjść za godzinę, pan wstanie i da odpowiedź.

— Kłaniam, kłaniam wielmożnéj pani — wołał faktor, oddalając się zwolna.

Została sama. Uczuła się tak osłabioną, że musiała usiąść na ławeczce ogrodowéj. Rachowała długi: zaciągnięte na kopalnię 6400, tu po sklepach, za mieszkanie i drobne 300, zastawione srebro i biżuterye 200, razem 6900 guldenów, a z nadzwyczajnemi wydatkami, co najmniéj 7000 guldenów, więc zostaje tysiąc. Co robić z tysiącem, mając troje dzieci, przyzwyczajonych do wygód, potrzebujących kształcenia, prócz córki dorosłéj, jak żyć, do czego się wziąć? Tylu jednak ludzi radzi sobie w życiu, utrzymują się, wychowują dzieci, chociaż nie mają nawet takiego kapitaliku, jak owych tysiąc guldenów...

Każdy z ojców bierze się do pracy, wyszukuje jakieś obowiązki, zostaje urzędnikiem, rządcą...

I jéj mąż powinien, musi się wystarać o jakieś miejsce popłatne, aby wyżywić rodzinę, dać wykształcenie dzieciom...

— Mamo, tatuś już wstał i szuka mamy, — zawołała córka, — i myśmy szukali w ogrodzie... Co się stało, że mama taka zmieniona, czy zaszło co nowego?

— Nowego? Nie, nic nowego, — mówiła, wstając, — jesteśmy, Zosiu, zrujnowani, i ja to przeczuwałam... Ojciec jeszcze się łudzi, że sprzeda dobrze kopalnię, ale i tu spotka go rozczarowanie.

Poszły obie do domu. Pan Bratkowski dowiedziawszy się o bytności i propozycyach faktora, oburzył się na niego i na kupców. Podobnie nizkiéj ceny nie spodziewał się i natychmiast po śniadaniu poszedł do miasta na zwiady.

— Co mam powiedzieć Joslowi? — spytała żona.

— Niech się wynosi razem z kupcami, — oburknął gniewnie.

W biurze komisarza odesłano go do śledztwa sądowego, gdzie mu powiedziano, iż zachodzi tu rozmyślne zabójstwo robotnika i dochodzenie jest w toku. Wrócił więc do domu i wszyscy zmartwieni, powarzeni, nie umieli na razie znaléźć przedmiotu do wspólnéj rozmowy, unikając się wzajem, nie patrząc na siebie.

Po obiedzie pierwsza matka zdobyła się na odwagę rozpoczęcia rozmowy, gdy oboje znaleźli się sami w pokoju męża:

— Co myślisz, Guciu, robić?

— Hm... co?... Czekam na ukończonie dochodzenia sądowego, zacznę wosk dobywać, no i zobaczymy.

— Mój Guciu, trzeba brać rzeczy, jak są, teraz nie jest czas na złudzenia, — mówiła spokojnie, — na prowadzenie kopalni pie-

nędzy nie mamy i nie dostaniemy, długi nas cisną, mieszkanie nieopłacone, meble zajęte, srebro zastawione... teraz trzeba się zdecydować i obmyśléć sposób do życia.

— Zapewne ciężko, bo ciężko, ale jakoś sobie poradzimy, gwałtu niema, — odpowiedział głosem niepewnym.

— Guciu, dotychczas nie wtrącałam się prawie do twéj kopalni, — zaczęła tonem ostrym, — pozwalałam na wszystko, ale nie mogę skazywać dzieci na nędzę i głód, nie będę czekała téj chwili, gdy nas zlicytują i wyrzucą na bruk, dosyć mam téj zabawy w krocie i miliony, chcę chleba dla dzieci.

Spojrzał na nią złém okiem, wstał, przeszedł się po pokoju i po chwili rzekł:

— I ty i dzieci nie zaznałyście głodu dotychczas, i póki ja żyję nie doznacie nędzy... Kopalnia jest moją własnością i zrobię co mi się spodoba.

Żona widząc jego irytacyę, podeszła do niego i głaszcząc twarz jego, mówiła z dobrym uśmiechem:

— Zaraz gniewy! Wstydź się, Guciu! Usiądźmy tu na sofce i pogadajmy rozsądnie.

Te słowa, uśmiech i dobroć kobiéty, którą dotychczas kochał, rozbroiły go, spojrzał na jéj zawsze mu miłą i kochaną twarz i posłuszny jak dziecko, usiadł.

— Mój Guciu, powiedz sam, czy do naszego szczęścia majątek jest koniecznie potrzebny?... Ot, aby dzieci wychować, wydać zamąż Zosię i samym przeżyć, to i dosyć. Czy nie tak?

Skinął głową, pieszcząc jéj rękę.

— Póki nie znaliśmy kopalni, było nam tak dobrze ze sobą, mimo kłopotów i braków różnych, wróćmy, Guciu, do tego życia... będę cię kochała, pieściła, chuchała nad tobą... będziemy spokojni, zgodni...

— Pragnę i ja tego, moja Stasiu, ale jak? Wszystkie pieniądze włożyłem w kopalnię, mam długi, zobowiązania...

— Wszystko uregulujemy... Przypuśćmy, że zgodzisz się na sprzedaż, długi są spłacone, mieszkanie opłacone, srebro wykupione i zostaje nam niewielka sumka...

— Aby mrzéć głodem przez krótki czas!

— Nie bądźże takim pesymistą! — zaśmiała się swobodnie. — Posłuchaj daléj. Otóż ty, jako człowiek zdolny, znający języki, starasz się o miejsce w mieście, bo chłopcy muszą iść do gimnazyum, dostajesz pensyę, regulujemy nasze rozchody do dochodów, a na

czarną godzinę mamy zawsze kilka guldenów. Dobrze, mój Guciu, zgadzasz się?

— Są to ładne marzenia, nic więcéj,—mówił, odsuwając się,— o miejsce jakiekolwiek bardzo trudno, bez protekcyi niepodobna dostać, i gdzie? u kogo?

— Ach, mój Boże! gdybyś zechciał tylko, postarał się, a zawsze znajdziesz w Radzie powiatowéj, w magistracie, na kolei żelaznéj... tylu ludzi znajduje, a jeśli ktoś nie chce nawet się postarać, zapytać, to naturalnie nigdy nie otrzyma posady.

— Moja Stasiu, — przemówil z lekką goryczą, — już mi robisz wymówki, a nie wiész, czy nie będę się starał?... Otóż, przypuśćmy, że dostanę posadę, naturalnie mało płatną, bo trzeba przecież wykazać swoje zdolności, no i w najlepszym razie mam trzydzieści guldenów na miesiąc... Z czego żyć, ubrać się, kształcić chłopców?

— Dostaniesz podwyżkę...

— Za rok, za dwa... a przez ten czas?

— Zawsze lepsze 30 guldenów, aniżeli nic.

— I zważ, że całe życie zajmowałem się czém inném, aniżeli pracą biurową, poprostu nie umiem nic, czego wymagają...

— Jesteś zdolny i potrafisz przy dobrych chęciach, są gorsi od ciebie i biorą pensye wysokie.

— No, zapewne, ale oni mają rutynę.

— Przywykniesz i ty, a rutynę można nabyć.

— Nie, Stasiu, to niemożliwe...

— Dla ciebie, bo nie chcesz... bo kopalnia ci w głowie, — rzekła złośliwie.

— Niech i tak będzie, — westchnął. — Wiész, Stasiu, zdecydowałbym się prędzéj na dzierżawę, na rządztwo wielkiego majątku, ale na to potrzebny jest kapitał większy.

— A, weź dzierżawę, bądź rządcą... tylko porzuć, sprzedaj kopalnię.

Gniewny ton jéj głosu podburzył go i rzekł ostrzéj:

— Mówiłem ci, że kopalni nie sprzedam, i nie sprzedam. Znajdę sposób wydobycia się z tych opałów i przynajmniéj muszę odzyskać włożony kapitał!

— Więc dla twego urojenia, dla twego kaprysu my mamy ginąć?... Tobie nie chce się pracować, przysiąść fałdów; żyłeś dotychczas lekko, bez pracy, i tak myślisz przejść przez życie... ale co z dziećmi będzie?

Fala krwi i gniewu uderzyła mu do twarzy, zaciskał ręce ner-

wowo i wytężał siły, by nie wybuchnąć, gdy posłyszał pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zawołał ostro.

— Tatusiu, przyszedł faktor z ważnym interesem, — odezwał się nieśmiały głos córki.

Podszedł do drzwi i otwierając szeroko, zobaczył Josla stojącego w sieni.

— Chodź tu, co mi powiész?

Żyd po przywitaniu pokorném zaczął swobodnie.

— Te kupcy, wielmożny panie, to oni nic nie warte, oni chcieli oszukać wielmożnego pana, ja im już nagadałem.. Takie szyby, tyle wosku, taki grunt oni chcieli kupić tak tanio!

— Dobrze, już dobrze, z czém przychodzisz? — spytał zniecierpliwiony.

— Proszę wielmożnego pana, ja spotkałem młodego Krausberga, ja go zaczepiłem i tak sobie gadu, gadu, aż on pyta o wielmożnego pana, i on mówi, abym tak zdrów był, że jego ojciec, Lejzor Krausberg, chce wejść do spółki z wielmożnym panem

— Lejzor? Hm... to człowiek porządny...

— Mało porządny! On rarytny, bogaty i zna się na kopalni.

— Cóż daléj?

— Ja poszedłem do jego żony, ona powiedziała, że to prawda... Co ja mam teraz zrobić i mówić?

Pan Bratkowki spojrzał na milczącą żonę, która odezwała się po francusku:

— Nie dowierzaj faktorowi, idź sam do żyda, albo niech on tu przyjdzie.

— Jeśli to prawda Josel, to Krausberg wie gdzie mieszkam i może przyjść do mnie.

— Ja przypilnuję—zawołał z żywością, — jak tylko przyjedzie z Wolanki, ja go przyprowadzę tutaj.

— Dobrze.

— Wielmożny pan sam widzi i wielmożna pani, jak ja się staram, chodzę, biegam, szukam... Ja dla siebie nie robiłbym tego, co dla wielmożnych państwa.

— No, no, dostaniesz faktorne, ale wpierw interes.

— Ja dziś nic w ustach nie miałem, może wielmożny pan ma co drobnych...

Pan Bratkowski wyjął guldena i wręczył żydowi, który błogosławiąc, dziękując, wycofał się z pokoju.

— Cóż Stasiu, czy zginiemy? — spytał z uśmiechem wesołym.

— Zobaczymy, co powie Krausberg, jakie warunki?.. Czy mogę cię prosić, abym była obecną przy rozmowie?

— Ależ i owszem.

— I mój Guciu od jednego warunku nie odstępuj.

— ? ? ?

— Długi muszą być zapłacone.

— Naturalnie.

Przed zachodem słońca pan Bratkowski, paląc cygaro, co chwila wpatrywał się przed otwarte okno w ulicę Samborską, wyczekując zjawienia się oczekiwanego spólnika.

Wreszcie dostrzegł zdaleka idącego pana Krausberga z faktorem i natychmiast zawiadomił żonę.

Tamci szli zwolna, rozmawiając z ożywieniem.

— Panie Lejzor, ile pan da jemu?

— Zacznę od 1200, a skończę na 2000, a ty Josel powinieneś zarobić na tém.

— Ja to rozumiem... Ale panie Lejzor, możeby dać jemu mniéj, on bardzo chce, tylko ona niepewna.

— Josel, ty żaden kupiec, ty faktor, ty nie rozumiesz interesu... dam mu mniéj, on się uprze, dowiedzą się i inni o mnie, i zaraz konkurencya... Ja tobie to gadam, bo ty masz czwartą część szybu.

— Panie Lejzor, ja ich znam dobrze: on jest łatwy, ale ona twarda.

— Już ona zmięknie, — uśmiechnął się kapitalista. — Co ona mówiła na twoich kupców?

— Ona się przestraszyła tych 8000 guldenów.

— To dobrze, ona rachunkowa i zrozumie cały interes.

— Oni czekają na nas, — rzekł faktor, spostrzegłszy sylwetkę pani w oknie.

— Nic nie szkodzi, im pilno do pieniędzy.

Zaproszeni do pokoju jadalnego, zasiedli przy stole, z wyjątkiem faktora, któremu dano krzesło przy drzwiach

Po krótkich omówieniach, wyrażeniu współczucia nad zamknięciem kopalni, rzekł pan Krausberg:

— Ja odradzałem panu sprzedaży i teraz odradzam, jeśli my obok mamy wosk, on jest i u pana, to panu proponuję spółkę... Ja będę kopał co roku dziesięć szybów, głębokość oznaczymy w kontrakcie, pan nie ponosi żadnych kosztów, ja kopię sam, a będzie wosk, to pan przychodzi do swojéj części.

— Do jakiéj?

— My pogadamy... Pan wydał na grunt 5500 guldenów, osiem szybów powinno pana kosztować 14400, no za postawienie domu 500 guldenów, razem 20400 fl... Wziął pan za wosk około 5000 fl., to pana kosztuje cały interes 15400 guldenów... ja dam połowę?

— Ależ, panie Lejzor, wydałem na kopalnię znacznie więcéj,— zawołał pan Bratkowski—mam dokładne rachunki.

— To pana interes... ja liczę zwykłe nasze ceny..

— Mów pan daléj—dorzuciła pani Bratkowska.

— Z tych pieniędzy trzeba oczyścić kopalnię z długów, bo procenta zjadają wosk, a resztę ja dopłacę do całego interesu.

— Jakto pan rozumie, — spytała—przecież tych ośm rozpoczętych szybów nie należą chyba do interesu?

— Nie należą? Pani nie uważała na mój rachunek, ja już liczyłem, że szyby kosztują 14400, i ja daję połowę.

— A druga połowa moja—odezwał się pan Bratkowski.

— Jakto połowa, a czy ja sam nie będę kopał, nie będę wydawał, nie będę ryzykował, pan przychodzi do gotowego interesu. Proszę pani, to byłoby niesprawiedliwie, ja przecież muszę mieć pokrycie wydatków.

— To słuszne, zatém w jakiéj części?

— Ja nie lubię targów, ja dam piątą część czystego wosku.

— Za taką spółkę dziękuję,—zawołał z gniewem pan Bratkowski,— znajdę lepszych wspólników.

Teraz wystąpił faktor, przedstawił korzyści spółki, wspomniał tajemniczo o kupcach dzisiejszych, i tyle wymógł na panu Krausbergu, że zgodził się na oddanie czwartéj części czystego zysku.

Zachodziła kwestya dopłaty, i stopniowo pan Krausberg, ulegając wymowie faktora, postąpił do 2000 fl., prócz długów 6400 fl., ciążących na kopalni. Mimo tych ustępstw, pan Bratkowski zżymał się i nie chciał kończyć interesu, wówczas zwrócił się pan Krausberg do pani:

— To jest taki interes... Niech pani sama osądzi i wysłucha... Dziś z tą kopalnią jest źle, tam jest komisarz, sąd, policya i brak gotówki, a dużo długów. Ja sam załatwię wszystko, czy to źle?... Ja daję czwartą część netto, pan Bratkowski przyjedzie codziennie, przejrzy rachunki, zobaczy i zważy wosk, zapisze, no i dobrze.... Co roku kopię dziesięć szybów, to wielkie ryzyko, a kto zyska? tylko mąż pani...

— A jeśli pan nie dotrzyma umowy?

— To cały grunt jest własnością męża pani.

— Tak pan napisze w umowie?

— Dlaczego nie, ja podpiszę u notaryusza... No a pani nie liczy, że prócz długów, daję 2000 guldenów, to pieniądz... i co pan ma do roboty... tylko kontrolować, przyjechać i odjechać.

— To jest dobry interes—dorzucił faktor.

Pani Bratkowska nie zwróciła na niego uwagi, lecz spytała przyszłego spólnika:

— Ile dochodu może mieć mąż?

— To bardzo łatwe. Dziesięć szybów da trzy centnary dziennie, po 2 fl., to część pana jest 15 fl. na jeden dzień, i to bez ryzyka żadnego.

— A na drugi rok będzie 30 fl., na trzeci 45 fl. każdego dnia— wołał zachwycony faktor.

Pan Krausberg był na tyle wyrozumiały, że rzekł wstając:

— My sobie zaczekamy przed domem, niech mąż poradzi się z żoną.

Zostawiając żydów w jadalnym, przeszli oboje do dalszego pokoju. I teraz jeszcze upierał się mąż, że wyszuka innego spólnika, że nie chce czwartéj części, gdyż rozchody są w ręku niepewnego człowieka, ale żona pamiętna dzisiejszych kupców, uradowana pozbyciem się długów, otrzymaniem 2000 fl., namawiała męża do przyjęcia spółki:

— Dochód nasz zależy tylko od twego pilnowania, od uwagi, od staranności, a ty poznawszy i doświadczywszy na sobie, na czém polegają koszta kopalni, będziesz wybornym kontrolerem.

— Wolałbym zostać spólnikiem do wydatków i dochodów...

— Po co to ryzyko? Nie dokopie się wosku—jego strata, a będzie wosk—bierzesz spokojnie swoją część.

— Ciężko mi będzie z tym żydem...

— Zawsze lżéj, aniżeli teraz.

— Hm... to prawda.

— Proszę cię Guciu, zgódź się; wierz mi, że będzie nam lepiéj.

— Ano, niech i tak będzie.

Weszli oboje do jadalnego pokoju, a pan Krausberg, chociaż poznał po minie przyjęcie układu, rzekł:

— No, jakże będzie?.. Ja wiem, że pani rachunkowa, to pewno dobrze skończymy.

— Przyjmuję warunki pana — westchnął pan Bratkowski, podając rękę.

— Ja dziękuję panu i pani, nam będzie dobrze ze sobą.

— Daj Boże,—dorzuciła pani.

— A kiedy do notaryusza?

— Ja mogę i jutro, jak pan chce.

— Dobrze, ale dziś zadatek.

Pan Krausberg wyjął z pugilaresu dwieście guldenów i położył na stole, prosząc o kwit, z wyszczególnieniem głównych punktów umowy.

Pan Bratkowski, odczytując żonie spisaną punktacyę, odłożył pióro i spytał głosem zwątpiałym:

— Podpisać Stasiu, czy nie?

— Jeszcze się wahasz? — uśmiechnęła się.

— Mam dziwną obawę przed podpisaniem téj umowy.

— Podpisz, oni tam czekają...

Wziął pióro, a żona spytała w chwili, gdy podpisywał:

— Jaką masz obawę?

— Podpisuję wyrok na siebie.

— Wyrok szczęścia i spokoju—dodała żartobliwie.

— Albo śmierci.

XI.

Pod jesień kopalnia pana Bratkowskiego wrzała pracą i ruchem, gdyż stosownie do umowy pan Krausberg bił dziesięć nowych szybów. Dawniejsze ośm dawały wprawdzie dochody i to dość znaczne, ale nowe pochłaniały nietylko wosk z ośmiu nowych jam, ale w książce głównej szereg rozchodów ciągle wzrastał i przerastał dochody.

Na razie pisarz Efet Roger pokazywał p. Bratkowskiemu dość uprzejmie swoje buchalteryjne książki, stopniowo grzeczność jego stawała się zimną, wreszcie lekceważącą, a następnie pan Bratkowski musiał pilnować chwili, gdy książki były wolne od nieustannego zajęcia to pisarza, znów jego pomocników. Podobny stosunek wytworzył się między magazynierem przyjmującym i ważącym wosk dobyty, a byłym właścicielem. Rozpoczęły się zwłoki w przyjmowaniu wosku ze szybów, w jednym zabrakło ludzi do niesienia, w drugim kończono oczyszczanie, w trzecim wymyty z łupku wosk był zbyt mokry, tak, że często dopiéro późną nocą przystępował magazynier, krewny pana Krausberga, do odważania nabytku dnia.

Dozorcy szybów wszelkie uwagi, nawet najsłuszniejsze przyjmowali z początku dość chętnie, bez stosowania się do słów jego, następnie lekceważąco, wreszcie oświadczył mu Abrum, że robota

około szybów nie powinna go wcale obchodzić, niech pilnuje wagi wosku i książek. Skarga na dozorcę wywołała ironiczny uśmiech u pana Krausberga:

— Panie Bratkowski, Abrum panu powiedział prawdę, on odpowiada za szyb, nie trzeba mu było dokuczać.

Kupcy, faktorzy, przedsiębiorcy i nafciarze unikali go, nie chcieli rozmawiać, nie interesowali się bowiem jego czwartą częścią, którą rządził dowolnie pan Krausberg.

W tym świecie gorączki poszukiwań wosku i nafty, pogoni za zyskami loteryjnemi, bezwzględności w wyborze środków wzbogacenia się, wśród całéj téj zgrai ludzi, nadbiegłych z różnych stron świata, roznamiętnionych, żyjących i oddychających zyskiem i wyzyskiem, on po sprzedaniu kopalni, chodził osamotniony, zaniedbany, zeszedł do kategoryi licznych poszukiwaczy, którym los nie sprzyjał, a jednak kręcili się na złotodajnych kopalniach martwi, nieużyteczni, pogardzani i potrącani przez falę szczęśliwców.

Ten nagły przeskok z pozycyi niezależnego przedsiębiorcy do roli biernego kontrolera, odczuł pan Bratkowski bardzo dotkliwie, stracił humor, pewność siebie, unikał ludzi, bo wszędzie wszystko przypominało mu minione czasy samodzielności.

Po wielkich wysiłkach nerwowych i podnieceniu gorączkowego poszukiwacza wosku, ogarnęła go apatya, brak woli, brak energii, gdy przekonał się, iż wszelkie usiłowania osiągnięcia wpływu i znaczenia na bieg kopalni nie osiągnęły skutku.

— Mój Guciu, jedź na Wolankę, trzeba przypilnować wagi wosku, rozchodów...

— W jakim celu? Każdy rozchód oni usprawiedliwią, zapiszą i porachują. Wosku nie chcą ważyć przy mnie, przynoszą częściowo do magazynu, od rana do późnéj nocy, co ja pomogę?

— Ależ Guciu, my żyjemy ciągle z gotówki otrzymanéj, a gdy ona się wyczerpie, co będzie?

— Da Krausberg,—odpowiedział z ironią — przecież sama zgodziłaś się na umowę.

— Więc pilnuj, staraj się dowiedzieć prawdy, nie odstępuj od kopalni... No, jedź Guciu, jeśli już nie dbasz o siebie, to pamiętaj o dzieciach.

I wyjeżdżał, by znów wrócić zniechęconym, rozgoryczonym i zwątpiałym.

Nareszcie w połowie lutego pojawił się wosk w nowych szybach. To podnieciło jego stępiałe nerwy, nie czekając zachęty żo-

ny, pospieszył na Wolankę, postanawiając dopilnować wagi i szczegółowo zbadać rachunki rozchodów.

Jadąc, zdawało mu się nawet, że kupcy i pisarze patrzą na niego innem okiem, gdyż teraz i on zaważy ze swą czwartą częścią na szali handlu, a dojeżdżając do kopalni, czuł powrót energii, ochoty, zapału!

Z dawną butą i pewnością siebie kazał sobie podać księgę główną.

— Zaraz... zaraz... ona mi będzie potrzebną—odpowiedział Efet spokojnie.

— Żadne zaraz,—krzyknął, — książka i koniec... mam w kontrakcie prawo kontroli kopalni.

Efet spojrzał na niego zdziwiony, i nic nie mówiąc, podał żądaną książkę.

Pan Bratkowski otworzył i zmienił kolor twarzy, widząc w rachunkach 22400 fl., a w dochodach 8600 fl.

— Co to znaczy!? — mówił poirytowany, — tak olbrzymie rozchody, a dochód tak mały!? To jakaś pomyłka, to nie może być!

Efet wzruszył ramionami i rzekł obojętnie:

— Niech pan liczy, książki są w porządku.

— Ależ to chyba jakieś szachrajstwo siedzi!

— Co w książce to prawda, niech pan liczy.

Zatrzasnął gwałtownie książkę, rzucił na stół i biorąc czapkę, zawołał na odchodném:

— Już ja was skontroluję! Bez kwitu nie przyjmę żadnego wydatku.

— Będą i kwity—odezwał się Efet, a po jego wyjściu, dodał:— *a dummer Goj!*

Poszedł wprost do składu, zastał go jednak zamkniętym, magazynier zaś wyszedł za interesami.

Przechodził od szybu do szybu, ciesząc się wydobytym woskiem, nie pomijał i sitarzy, przyglądając się bacznie ich robocie i łupkom, noszonym w kubłach przez lepiarzy. Wosk był wszędzie i ładny i obfity. Fala wielkiego żalu, dotkliwego bólu ogarnęła go na myśl, że dobrowolnie zrzekł się tego złota, które teraz płynęło taką szeroką strugą. Tyle pracy, energii, życia, tyle starań, kłopotów i walk włożył w tę kopalnię, i wszystko poszło na marne, dziś korzysta z owoców jego pracy inny. Zazdrość szybko kiełkowała i rozwielmożniła się w jego uczuciach, zazdrość szczęścia, powodzenia, bogactwa, i ona wzmogła jego energię w dopilnowaniu czwartéj części zysków.

Usiadł przy jednym z bogatszych szybów, spoglądając na pracujących. Jeden z robotników przywitał go pokornie.

Na razie sądził, że to który z chłopów z jego dawnéj wsi, i patrzał na niego uporczywie, chcąc przypomnieć sobie jego nazwisko.

— Pan mnie pewno zapomniał, — odezwał się robotnik,—a ja pracowałem u pana w roku zeszłym... Byliśmy razem z Pawłem, który zginął w jamie.

— A ten jamarz, co to spadł, bo ktoś podciął liny — objaśnił Jan.

— Pamiętam, pamiętam... — rzekł były właściciel. — Szkoda człowieka, on był dobry.

— Oj dobry, bo dobry, niema drugiego—westchnął Jan.

Po chwili jeden z robotników rzucił pytanie:

— Ciekawa rzecz, kto podciął liny?

— Hm... hm... kto podciął?—rzekł Jan po dłuższym namyśle,— Pan Bóg wie kto i pomści krew niewinną.

Pan Bratkowski, patrząc na rosnącą kupę wosku, zwrócił się do dozorcy:

— Czy codziennie szyb tyle daje?

— To tylko dzisiaj—odpowiedział szybko—przez ostatnie czasy ledwie, nieledwie coś kapnęło.

— A teraz tak dużo?—zdziwił się.

— Może pan mi nie wierzy?.. Niech pan pyta robotników... Co nieprawda? — spytał pracujących.

Ci odmruknęli głucho:

— Aboż my wiemy?

— A może i tak.

— Ileż tu wosku na kupie, jak sądzisz? — rzekł do dozorcy.

— Może 30 funtów, może trochę więcéj.

— Tu? Co najmniéj 80 albo 90 funtów—zawołał,— to przecież wielka kupa.

— Może... Dowiemy się wieczorem w magazynie.

Robotnicy, słuchając téj rozmowy, uśmiechali się nieznacznie, mogliby bowiem objaśnić pana Bratkowskiego co do ilości wosku, ale milczeli nietylko z obawy przed żydem, lecz z wrodzonéj niechęci do pana, do szlachcica.

Jeszcze chwilę przypatrywał się pracy i poszedł daléj.

— A i pan tutaj, panie Bratkowski!—zawołał p. Krausberg, podając rękę.

— Cóż robić? Pilnuję panie dobrodzieju.

— To dobrze, pan może mi pomódz.

— Swojéj części pilnuję—rzekł ostro.

— Nu, jedno przy drugiém musi iść—zaśmiał się kupiec.

— A ten szyb, panie dobrodzieju, daje dużo—i wskazał ręką.

— Ten? To Jojny szyb, on sobie niczego.

— Ależ doskonały, ledwie południe, a jest już bez mała centnar.

— Tak? Nu, chwała Bogu, że jest, bo ja wsadziłem dużo pieniędzy.

— Ale, ale, widziałem książki... Wydatki są szalone, nieprawdopodobne, a dochody bardzo małe panie dobrodzieju... wejrzyj no pan w rachunki, tam muszą być nadużycia, panie Krausberg.

— Jakie nadużycia?—uśmiechnął się,—przecież przed samym sobą nie potrzebuję kłamać, co jest, jest prawda.

— Sprawdzę to, panie dobrodzieju, sprawdzę.

— Ja nawet proszę pana, niech pan to zrobi, co dwóch, to nie jeden, a ja mam dużo na głowie.

— Jeszcze prosiłbym, abyś pan kazał ważyć wosk wieczorem, panie dobrodzieju, a nie po nocy.

— Ja każę... ale czy pan nie miał sam kopalni, czy pan nie rozumie, że jeden szyb się spóźni, w drugim niema ludzi, w innym kończą, pan to zna przecież.

— Bywa tak czasem, bywa, ale nie dzień w dzień panie dobrodzieju. Dziś dopilnuję wagi, bo wszędzie wosk dobry.

— I ja tego chcę, niech pan dopilnuje... nu ja muszę iść... a pan zostanie?

— Zostaję, w południe zjem obiad w Borysławiu, jak pilnować, to pilnować.

— Niech pan pilnuje — mówił pan Krausberg, oddalając się.

— Już ja cię przypilnuję — mruknął pan Bratkowski z zawziętością.

Wieczorem rozpoczęło się odważanie wosku.

Z ośmnastu szybów oddano siedm centnarów z nadwyżką, a w tém szyb Jojny dał zaledwie centnar z trzema funtami.

Pan Bratkowski zawziął się i po całych dniach do późnéj nocy przesiadywał w kopalni, i przez ten wysiłek w nadzorowaniu, nabył przekonania, że niemal każdą grudkę wosku widział, odważył i zapisał w notatniku.

Pieniądze jednak nie wpływały, zawsze rozchody przewyższały rubrykę dochodów, i zrównoważenie było dalekiém.

— Mój Guciu, wydatkujemy z ostatniéj setki — skarżyła się żona.

— Cóż poradzę? Widzisz sama, że nie dośpię, nie dojem, a pilnuję... Muszą mnie kraść żydzi, ale złapię ja ich, panie dobrodzieju i wtedy zagramy...

— To będzie, mój Guciu, ale strach mnie bierze, co zrobimy po wydaniu gotówki?

— Sprzedam konie, bryczkę... raz musi się to skończyć i dojdziemy do dochodów.

— Jakże będziesz jeździł na Wolankę?

— A furmankami, jak trzeba, to trzeba.

— Tak się boję o ciebie... Zmizerniałeś, zeszczuplałeś i ten kaszel częsty...

— Minie i to.... a wiesz, szyb Jojny daje teraz półtora centnara....

I potoczyła się rozmowa o stanie kopalni, o wpływach, rozchodach, spodziewanych zyskach i przygodach dnia.

W jakiś czas pan Bratkowski zaproponował panu Krausbergowi kupno koni z uprzężą i bryczką.

— Nu, a pan jak będzie jeździł?

— Alboż to mało wozów, panie dobrodzieju?

— Ja powiem panu, że to żaden interes dla mnie kupować konie, to dobre dla pana.

— Przecież pan bogaty, ma pan różne interesa, to tu, to tam..i

— Panie Bratkowski, ja płacę żydkom po dziesięć centów, oni mają w tém swój zarobek, a co zje koń na dzień? Ja bym zbankrutował, nie mogę kupić. Szkoda koni, po co pan sprzedaje?

— Potrzebuję pieniędzy.

— Nu, a moje 2000?—zdziwił się szczerze pan Krausberg.

— Były długi, dawne zobowiązania... Et, co tam gadać, panie dobrodzieju, poszły już i kwita.

Konie, sprzedane na jarmarku, przyniosły tyle, że znów jakiś czas rodzina pana Bratkowskiego mogła przeżyć.

Dochody z wosku wzrastały wprawdzie dość szybko, ale podnosiły się téż i rozchody, gdyż szyby wymagały pogłębienia, reperacyi, odnowienia cembrzyn, i napróżno wyczekiwał pan Bratkowski chwili, gdy czwarta część będzie wolną od ciężarów kopalni.

Tymczasem w domu wyczerpały się zapasy pieniężne, zwolna przechodziło i srebro w ręce zastawników...

Pan Bratkowski nie ustawał w pracy, wyjeżdżał codziennie na Wolankę furmanką żydowską, zaniedbał się w ubraniu, a zmuszony

do oszczędności, nie jadał już obiadów w Borysławiu, lecz zachodził do karczmy, wypijał kieliszek wódki i zjadał przywiezione zapasy.

Teraz już nie zważał na drwiące spojrzenia i słowa dozorców, nie obchodziło go lekceważenie pisarza i pana Krausberga, podniecony biedą żony i dzieci, roznamiętniony zazdrością i pożądaniem dochodów, zobojętniał na ukłucia, żył jedynie myślą dostania w swe ręce czystéj czwartéj części.

Pan Krausberg, widząc go takim zaniedbanym w ubraniu, mizernym, nieogolonym, odezwał się tonem współczucia:

— Panie Bratkowski, czy pan nie przekonał się, że Krausberg uczciwy i rzetelny?

— Nietylko, że się nie przekonałem, ale mam prawie pewność, że dzieje się tu jakieś łajdactwo, panie dobrodzieju, i muszę to zbadać.

— Nu, niech pan szuka,—zaśmiał się z ironią, — mnie żal było pana, na co tak się męczyć?

— Sam wiem na co i raz was złapię, a wtedy pogadamy.

— Dobrze, dobrze, tylko trzeba znaleźć i udowodnić.

— Zobaczymy —odmruknął tonem groźby.

— Szukaj pan, ja mam czas, ja mogę czekać.

XII.

Na kopalni, z powodu zbliżających się siewów wiosennych i robót polowych, w obawie rozejścia się części robotników, panował ruch gorączkowy. Przy pospiesznéj robocie, niebezpiecznéj i groźnéj nawet w zwykłym czasie, mnożyły się wypadki kalectwa, odurzenia gazami, uduszenia i śmierci, które jednak pan Krausberg umiał zręcznie ukryć lub wytłómaczyć przypadkowość przed policyą i komisarzem, a robota szła daléj.

Lecz sami robotnicy zbliżali się do szybów z nieufnością, odmawiali zjazdu, narzekali na niedozór, i dopiéro wódka dodawała im odwagi i zachęty. Z jamarzy tylko jeden Maksym nigdy się nie wzdragał zajrzéć śmierci w oczy i bez wielkiego namysłu stawał w kuble i zjeżdżał w szyb.

Dozorcy i pan Krausberg stawiali go za wzór innym, chełpili się nim, dogadzali mu, płacili dobrze i nie szczędzili wódki.

A on pił na umor. Pomizerniał, zeszczuplał, twarz miał pofałdowaną, bystremi i podejrzliwemi oczyma rzucał w około, z nikim

się nie przyjaźnił, lecz chmurny siedział za stołem, pykając lulkę, i popijał wódkę.

Z dawnego chłopa, chętnego do bitki, do tańca, do zabawy, pozostała tylko siła dawna i odwaga strateńca.

Nikt z robotników nie śledził tak Maksyma, jak Jan; patrząc na jego pierwszeństwo i przywileje u dozorców, rosła w nim zawiść i gorycz; widząc, jak wychodzi całym i zdrowym z niepewnych szybów, wzdychał pełen żalu i zawiedzionych nadziei, pomrukując:

— Pan Bóg obmyślił mu inną karę...

W karczmie miewał częste pokuszenia rozpocząć z nim bójkę, ale wobec siły Maksyma, ustępował z westchnieniem.

I milczący, zamknięty w sobie, snuł daléj plany zemsty za niewinną śmierć Pawła; każda karczma, droga, las szumiący przypominały mu przyjaciela, cierpliwie czekał zesłania kary na zabójcę, lecz ta nie przychodziła, i Maksym chwalony, opłacany dobrze, żył i pił spokojnie, bez troski i obawy.

Wreszcie postanowił przyśpieszyć chwilę zasłużonéj kaźni. Pracując, jako ciągacz, w téj saméj kopalni, wiedział o dniu i godzinie zjazdu Maksyma i korzystając z nadarzonéj sposobności, zatkał rurę, prowadzącą od młynka świeże powietrze w głąb jamy, a wypędzającą odurzające gazy.

Sam pierwszy, tuż przed Maksymem, zjechał w głąb, z pasem bezpieczeństwa, nie dosiągł jednak dwudziestu metrów, gdy zadzwonił trzy razy, by go wyciągnięto na powierzchnię. Tylko dzięki pasowi bezpieczeństwa utrzymał się w kuble, a wylazłszy chwiał się i bardzo zwolna rozpinał pas.

— Co tam? — spytał dozorca.

— Odurzyło mnie.

— Ot głupie chuchro! — krzyknął Maksym, wietrząc gazy, nachylony nad jamą — pojadę teraz ja, ano daléj, — kończył, stając w kuble.

— Weź pas! — zawołał dozorca.

— Ii, niepotrzebny!

Po chwili dał się słyszeć jeden dzwonek, kręcący wał wstrzymali się, nagle lina się zakołysała, poczuli brak oporu, i z głębi jamy dobył się wrzask ludzki i łomot upadającego ciała.

Bladzi i nieruchomi stali robotnicy, pierwszy Jan zdjął czapkę, przeżegnał się, mrucząc:

— Panie Boże, zlituj się nad nami!

Te słowa otrzeźwiły innych, drżącemi usty zaszeptali westchnienia pobożne za umarłych i odstąpili od szybu.

— Kto pojedzie?—zawołał dozorca.

Nikt się nie odezwał.

— Dam dwie kwaterki wódki.... dam trzy.... dam kwartę mocnéj!

— Pojadę — rzekł jeden z młodszych.

— Zamroczy cię — zawołał Jan szybko.

— Eee sprobuję.

— Nie jedź, szkoda krwi chrześciańskiéj, niech jedzie żyd, on dozorca — upominał Jan.

— Ty jesteś głupi tchórz!—krzyknął dozorca z gniewem.—Nu, jedź, dam kwartę wódki mocnéj... słodkiéj... ja tobie dodam paczkę tytoniu.

Nie oparł się młody robotnik téj pokusie, i obwiązany pasem, zjechał. Oczekiwano w naprężeniu rezultatu. Zabrzmiały trzy uderzenia dzwonka, wyciągnięto go odrapanego, z podartém ubraniem na pasie bezpieczeństwa.

Jan, widząc, że nikt już nie zjedzie, powlókł się do karczmy Seemana, kazał dać pół kwarty wódki i zadowolony, spokojny, kurzył lulkę.

Zbliżało się południe, i pan Bratkowski, chcąc uniknąć tłoku robotników, wcześnie zaszedł do karczmy na śniadanie.

Jan, spostrzegłszy go, zbliżył się z pokorą i ucałował rękę.

— A, to ty Janie! Nie robisz dzisiaj?

Ciągacz opowiedział całą historyę szybu z gazami i śmierci Maksyma, kończąc:

— Już on tam przed sądem Boskim odpowiada za swe ciężkie grzechy.

Na pół pijany, znów ucałował rękę pana Bratkowskiego, mówiąc:

— Ot, podziękuję panu, za sprawiedliwe słowo... Powiedział pan o Pawle, że był dobry, to prawda, on był najlepszy... a pan go pożałował... I za to powiem panu prawdę... żydzi kradną wosk pana.

Na te słowa pan Bratkowski zbliżył się do mówiącego i spytał skwapliwie:

— Kradną powiadasz? Domyślałem się tego... Hej, daj tu słodkiéj a mocnéj,—zawołał na karczmarza.

Ten przyniósł, spojrzał podejrzliwie na robotnika i zaostrzył swój słuch.

— Kradną... co sprawiedliwie, to sprawiedliwie... pan mówił dobry Paweł... tak i ja dobry dla pana...

— Ale w jaki sposób?—mówił przepijając.

— Hm... po żydowsku... kładą do beczki, pod kadzie, noszą do wagi późniéj, chowają w komórkach... już ja ich podpatrywałem...

— I ty widziałeś?

— Ot, na własne te oczy, i nietylko ja, ale dużo innych...

— A w sądzie powiesz?

— Pod przysięgą zeznam.

Pan Bratkowski z wielkiéj radości omal, że nie wyściskał chłopa, lecz wstrzymywał się i kazał podać cygara.

— Co pan wierzy pijanemu?—szepnął szynkarz z niechęcią.

— Nie twój interes,—krzyknął pan Bratkowski z gniewem.

— Przysięgnę na Święty Krzyż, na Przeczystą, że moja prawda—mówił Jan.

— No, a Krausberg wie o tém? — rzekł po chwili pan Bratkowski.

— Toż on pierwszy do tego.

Wódka zaczęła go coraz więcéj rozbierać, mówił z płaczem o Pawle, śmiał się z Maksyma, przeklinał kopalnię, bełkotał niewyraźnie, i pan Bratkowski, widząc go nieprzytomnym, polecił go opiece nadeszłych robotników, a sam wyszedł rozpromieniony, uradowany, pewny, że teraz Krausberga ma w ręku i prawdopodobnie odzyska nietylko straty poniesione, ale może i kopalnię.

Na razie chciał iść do biura kopalni i powiedzieć słowa prawdy panu Krausbergowi, lecz namyślił się, po co i w jakim celu rzucać postrach, jutro weźmie Jana i innych świadków do wójta, tam złożą pierwsze zeznanie, i wówczas on wystąpi sądownie.

Pospieszył do domu, by podzielić się z rodziną szczęśliwém odkryciem.

Karczmarz Seeman, usłyszawszy zeznanie Jana, pospieszył do kopalni, a nie znalazłszy samego właściciela, uwiadomił zaufanego Abruma, który zaraz przedsięwziął środki bezpieczeństwa.

Wracającego z Borysławia pana Krausberga spotkał na drodze Abrum i pochwalił się swoją przezornością usunięcia wosku z kryjówek.

— To na jeden raz,—westchnął właściciel.

— Czy niema innych miejsc? Aby tyle kłopotu co schować?

— To wasza wina, że goje widzieli... do takiéj delikatnéj roboty było brać naszych...

— Byli tylko swoi, ale ten łajdak, denunciant, on szpiegował... Mówił, że stanie w sądzie, i przysięgnie..

— To źle... to bardzo źle...—mówił zmartwiony pan Krausberg, szarpiąc pejsy z niecierpliwości.

— Jemu trzeba dać wódki—radził Abrum—podstawić naszych i niech on się wyprze, niech powie, że gadał tak sobie.

— Wszystko mało... czy ty nie znasz to bydło... jak tylko na żyda, on gotów przysięgać... im nie można wierzyć...

— Nu, a co pan Lejzor myśli?

— Niech on już nie gada, — rzekł po chwili prawie szeptem.

— Nie gada?... Ja nie wiem, może on i nie zechce gadać...

— Abrum!—rzekł pan Krausberg tonem wdzięczności.

— Nu, co znaczy jeden goj!?

— On nic nie znaczy,—potwierdził właściciel.

— I co będzie panie Lejzor?—spytał Abrum.

— Będzie dobrze, ty mnie znasz...

Na drugi dzień napróżno szukał pan Bratkowski Jana. Zapytywani robotnicy, widzicli go w nocy pijącego z lepiarzami, ale dlaczego nie przyszedł na robotę, nie wiedzieli. Pan Bratkowski zapytywał innych robotników, kupił im wódki, byle mu powiedzieli, czy żydzi nie chowają wosku, ale każdy z nich odpowiadał stereotypową formułką:

— Alboż ja wiem, może tak, a może nie, kto ich tam wie.

Nie pomagały namowy, wódka, cygara, zawsze odpowiadali, przyjąwszy poczęstunek:

— Alboż ja wiem?

Licząc na to, że Jan pije gdzieś w karczmie, czekał go do wieczora, przeważył wosk i pojechał do domu.

Następnego dnia znów nie było Jana, a na dopytywania odpowiadano mu:

— Ot, mówią, że on zatkał rury i uciekł przed sądem do domu.

Dopiéro wieczorem rozeszła się pogłoska, iż w opuszczonéj jamie, napełnionéj wodą po brzegi, widać zwłoki jakiegoś człowieka. Ciekawsi poszli zobaczyć, a za nimi pociągnął pan Bratkowski.

Niedaleko jamy z wodą leżał wyciągnięty topielec, z obrzękłą twarzą, siny, z otwartemi, szklanemi oczyma.

Obecni zmówili pacierz, a pan Bratkowski, zbliżywszy się, poznał w topielcu Jana.

Poznali i inni towarzysze, a jeden z nich tłomaczył:

— Ot, spił się z lepiarzami, wyszedł w nocy, źle stąpił i po nim, bo to z jam wyłażą po nocy złe duchy, wodzą ludzi po wertepach, a grzeszników do topieli.

— Tak, tak,—potwierdzili inni, kierując się ku karczmie, aby oblać pamięć zmarłego i téj gwałtownéj śmierci.

Tę nagłą śmierć Jana odczuł może najgłębiéj i najboleśniéj pan Bratkowski. Przez trzy dni karmił się i żył marzeniami i nadziejami szczęśliwego, bogatego w złoto zwycięztwa nad wyzyskującym go panem Krausbergiem. Rojenia, świetne, piękne, błyszczące, w téj jednéj chwili zmieniły się w czarną, brudną, nędzną rzeczywistość. Przeskok był tak gwałtowny i niespodziewany, że w bezradnéj rozpaczy nie umiał znaleźć żadnéj pociechy, nadziei, ratunku. Być tak blizkim wyzwolenia się z nędzy, biedy, długów, czuć już szczęście ukochanych i swoje, mieć w ręku broń na wyzyskującego go wroga, otrzymać zadośćuczynienie za krzywdy pieniężne i moralne... i nagle śmierć jedynego człowieka, jednego świadka, rzucała go znów, a nawet głębiéj, w ten sam odmęt walki bez zwycięztwa, smutku bez pociechy, pracy bez owoców, starań bez skutku.

Prawie pijany żalem i rozpaczą, dobiegł wozu, jadącego z pasażerami do Drohobycza, i zmęczony, zgrzany, usiadł na ławce. Dopiero mroźny dreszcz i kłucie w boku opamiętało go, zapiął palto, i wstrząsany dreszczami, ociężały, z dotkliwym bólem głowy, dojechał do domu.

— Co ci jest, Guciu? — spytała żona, widząc zmianę w twarzy i ruchach.

— Zziąbłem, ale to głupstwo, gorsza rzecz, że Jan, wiesz ten świadek, spił się i utonął w jamie.

— A to nieszczęście! I co będzie teraz?

— Alboż ja wiem?.. Trzeba będzie szukać innego świadka, znaleźć muszę... Ziębi mnie, położę się do łóżka.

— Zaraz ci pościelę i przyniosę gorącą herbatę.

W nocy gorączka się wzmogła, kłucia w boku zaczęły być częstsze, i nad ranem żona, czuwająca noc całą przy chorym, posłała po doktora, który zdecydował, że nastąpiło zapalenie płuc.

Przerażona chorobą męża, przeliczyła pieniądze, w domu było zaledwie kilka guldenów. Załamała ręce z rozpaczy, bo skąd wziąć na doktora, aptekę, życie? Bladą, znękaną i zmartwioną zastała córka w pokoju.

— Mamy cztery guldeny 60 centów, a tu choroba ojca, co ja zrobię, co zrobię?

— Tatusia musimy ratować... mam dwa pierścionki, sprzedamy, mamo, dobrze? Zawsze coś dadzą.

— Dwa, trzy, może pięć guldenów, a sam doktór, apteka... — i zalała się łzami.

— A gdyby mama poszła do Krausberga?

— Do niego?... Czyż on da cokolwiek?

— Spróbować mamo:

— A może?

I szybko się ubrała, idąc spiesznie do mieszkania pana Krausberga.

Przyjął niespodziewanego gościa w jadalnym pokoju i wysłuchawszy spokojnie propozycyi pożyczki, rzekł:

— Ja nie jestem lichwiarz, ja nie pożyczam nigdy... ale ja widzę smutne położenie pani, to ja dam, bo ja mam serce. Niech mi pani przyniesie upoważnienie, podpisane przez męża, że on przyjmując rachunki, bierze na przyszły wosk. Ja dam coś na rachunek czwartéj części, może doczekamy się kiedyś dochodów.

— Ależ on słaby, ma gorączkę...

— To nie szkodzi, zawsze podpisać on może...

— On bredzi w malignie...

— Nic nie znaczy... Pani napisze kwit na dawne rachunki i upoważniający panią do odbioru pieniędzy na rachunek czwartéj części, mąż podpisze... i koniec. Inaczéj, ja nie mogę dać.

Pani Bratkowska, widząc, że żadne prośby nie pomogą, spytała:

— Jakiegoż kwitu pan żąda?

— Ja mówiłem... Pan Bratkowski przyjmuje rachunki i bierze zaliczkę na przyszłość.

— Jakie rachunki?

— Nu, przecież jemu nic się nie należy, ja dużo, bardzo dużo pieniędzy wydałem... My teraz nowy interes robimy, to stare rachunki muszą być zakończone.., Czy pani tego nie rozumie?

— Więc pan żąda pokwitowania z rachunków?

— Co pani mówi, jakie pokwitowanie? Jemu nic się nie należy, a rachunki, to znaczy, że ja jemu nic nie winien z dawnych pieniędz... To takie proste.

— Więc to się odnosi, do owych 2000 fl., które pan płacił ratami?

— Nu, tak, a pani co myślała?

— Nie zrozumiałam na razie... Zobaczę, może mąż się zgodzi na ten kwit. Kiedy pana zostanę w domu.

— Wieczorem ja zawsze w domu.

Po naradzeniu się z córką, w obec położenia materyalnego bez wyjścia, zgodziły się obie na wydostanie kwitu.

Weszły do pokoju chorego, leżał spokojnie w łóżku, oddycha-

jąc cichutko, z wielką ostrożnością, by nie wzmagać kłucia w płucach. Wypieki na wynędzniałéj twarzy, błyszczące oczy, świadczyły o gorączce.

— Mój kochany Guciu, przysłał Krausberg z zapytaniem, czy nie trzeba ci pieniędzy? Chce dać na rachunek należności.

Po zmarszczeniu czoła i utkwionym wzroku widać było usiłowanie skupienia myśli, uderzyły go słowa poszczególne i zaczął szeptać:

— Nic, od tego złodzieja, nic nie chcę.... To moja kopalnia, widzisz, ile wosku... i cały wosk nasz...

— Niechże tatuś sprzeda część wosku, — przemówiła córka, przełykając łzy,—jest kupiec.

— Sprzedać... sprzedać... a dobrze sprzedam.

— Może tatuś podpisze z nim umowę?

— Nie podpiszę... raz podpisałem i zaprzedałem was wszystkich...

— Ale wosk, Guciu,— odezwała się żona.

— Wosku nie mam, on skradł mi wszystko.

— Jest jednak kupiec,—dorzuciła córka.

— Temu sprzedam, — usiadł i bez wahania podpisał kwit podstawiony.

Pan Krausberg dotrzymał przyrzeczenia i dał pięćdziesiąt guldenów ne rachunek czwartéj części.

Choroba jednak długa i przewlekła wkrótce wyczerpała ten fundusz, i znów poszła pani Bratkowska z prośbą o nową zaliczkę.

— Proszę pani, ja nie znalazłem pieniędzy, ja muszę ciężko pracować, a pani myśli, że ja zawsze dam i rzucam na prawo i lewo.

— Ale, panie Krausberg, mąż chory, dzieci w domu, życie kosztuje—tłómaczyła się zmieszana

— To nie mój interes.. Ja dam ostatni raz dwadzieścia guldenów...

— Dwadzieścia! Cóż ja z niemi zrobię? Niechże pan uwzględni moje położenie, ja muszę koniecznie mieć pięćdziesiąt.

— Nie mogę.

Pani Krausberg, która z boku przysłuchiwała się rozmowie, wzruszona wyglądem pani Bratkowskiéj, odezwała się:

— Lejzor, ty sobie odbierzesz z czwartéj części, ty pożycz na procent, co zrobi taka biedna kobiéta?

Wprawdzie zarumieniła się pani Bratkowska, słysząc te słowa, ale konieczność zmusiła ją do milczenia.

— Nu ja dam, co mam robić.

Wyjął kwit pani Bratkowska stwierdziła odbiór i uradowana pośpieszyła do domu.

Zwolna, bardzo zwolna przychodził chory do sił, wreszcie wzmógł się o tyle, że przechadzał się po domu. Wówczas osądziła żona, że przyszedł czas zawiadomienia męża o źródłach dochodów.

— Wiesz, Guciu, w domu nie było nic pieniędzy, więc wzięłam od Krausberga na rachunek czwartéj części.

— I on dał tobie!

— Podpisałeś mi kwit upoważniający i dał.

— Ja podpisałem? Kiedy?

— W czasie choroby.

— Jaki kwit?

— Upoważniający mnie do odbioru pieniędzy.

— Ależ, ja nie wiedziałem, co robię, mogłem Bóg wie co podpisać...

— Zwykły kwit, ułożyłyśmy z Zosią.

— Wy?

— On żądał koniecznie, i nie było innego sposobu otrzymania.

— Ja muszę widzieć ten kwit, gdzie on jest?

— U niego.

— Nie pamiętasz, co napisałaś w tym kwicie?

— Dosłownie nie mogę ci powtórzyć, ale wiem, że brałam tylko na rachunek twéj czwartéj części.

— I nic więcéj?

— Zdaje mi się, że nie.

— Niemasz kopii?

— Była, ale szukałam teraz napróżno, gdzieś zginęła w tym rozgardyaszu.

Chciał iść natychmiast do pana Krausberga, zaledwie wspólnym usiłowaniom żony i córki udało się wstrzymać go pod warunkiem, że żona poprosi Krausberga, aby wraz z kwitem przyszedł do nich do mieszkania.

Poszła przed wieczorem i zastała kupca.

— Co pani Bratkowska powie? — spytał na wstępie.

— Mąż mój bardzo prosi pana do siebie, chce pogadać o kwicie.

— Ja nie mam czasu chodzić po wizytach... Jak miałem interes, ja przyszedłem do państwa, teraz ja nie mam interesu.

— Mąż przyszedłby sam, ale jest osłabiony i doktor mu zabronił wychodzenia.

— Jak on chory, niech łóżka pilnuje, co jemu z kwitu? — zaśmiał się ironicznie.

— Chciałby odczytać formę kwitu,—mówiła z prośbą w głosie.

— On powinien wierzyć żonie, pani sama pisała kwit, pani przecież pamięta, co pani wypisała.

— Tak, tak, pamiętam,— odparła zmieszana.

— Niechże pani mu powie, ja nie mam czasu.

Wracając do domu, niepokoiła się, w jaki sposób zawiadomi męża o odpowiedzi Krausberga. Obawiała się, że prawda zbyt rozdraźni męża i może sprowadzić pogorszenie stanu zdrowia. Postanowiła powiedzieć, że nie zastała Krausberga w domu. Mąż oczekiwał jéj niecierpliwie, z wypiekami na bladéj twarzy i nie spuszczając oczu z jéj twarzy, spytał wchodzącéj:

— Dlaczego niema Krausberga? Kiedy przyjdzie.

— Nie zastałam go w domu—odpowiedziała, zrzucając okrywkę i odwracając twarz.

Patrzał na nią podejrzliwie i rzekł po chwili:

— Dlaczego ukrywasz przedemną? Krausberg nie chce przyjść...

— Ależ, Guciu, naprawdę nie zastałam i powiedziałam jego żonie, aby przyszedł do nas, gdy przyjedzie.

— Tak?.. dowiem się prawdy od niego.

— Jeśli mu żona powie, on potwierdzi moje słowa.

Chmurny przeszedł do swego pokoju, dręczony niepokojem, jak ów kwit w ręku Krausberga brzmi dosłownie.

W czasie choroby i bezczynności rekonwalescenta, osnuł cały plan postępowania w sprawie kopalni. Postanowił, bądź co bądź, zdobyć świadków ukrywania wosku przez Krausberga. Przecież ci robotnicy dadzą się ująć pieniędzmi, napitkami, obiecaniem nagrody, a mając raz dowody w ręku, zażąda od Krausberga znaczniejszéj sumy i wymusi na nim korzystniejszą umowę. Nadzieją urzeczywistnienia tego planu żył i cieszył się w czasie swéj choroby, na téj podstawie budował powodzenie i przyszłość swéj rodziny. Tylko ten kwit zagadkowy?!!

Ten kwit on musi zobaczyć. Postanowił uśpić troskliwość i nadzór żony, a czuł się dość już silnym, by samemu pójść do Krausberga.

To chorobliwe zachcenie przyprowadził do skutku, i raniutko wymknął się z domu niepostrzeżony.

Owionęło go chłodne powietrze poranka wiosennego, poczuł

lekkie ukłócia w boku, ale nie zważając na to, szedł szybko, jak gdyby się bał pogoni.

Zmęczony, zdyszany, wszedł do mieszkania spólnika, którego zastał na wychodném.

— Dzień dobry, panie Lejzor.

— To pan?.. Żona pana mówiła mi wczoraj, że pan chory... no i pan mizerny, blady, po co było wyłazić z łóżka.

— Chcę zobaczyć ten kwit.

— Jaki kwit?

— Ten napisany przez żonę.

— Ja żadnego kwitu żony pana nie mam, ja mam tylko kwit pana.

— Więc proszę o ten kwit.

— Czy pan go nie zna? nie pamięta?

— Chcę go teraz odczytać.

— Po co to panu?.. Kwit jest w szufladzie, a klucze u żony.

— Ja nie ustąpię z miejsca, muszę widzieć ten kwit.

— Nu, ja panu go przeczytam... Pan bardzo niewierny, nie wierzy pan Krausbergowi, nie wierzy pan żonie, no i komu pan wierzy?

Mówiąc te słowa, zbliżył się do drzwi sypialni, wołając:

— Suro, daj kluczyk od szuflady.

— Ty go weź sam, ja nie ubrana, Lejzor.

Przyniósł klucz odemknął szufladę, poszukał między papierami, i czytał:

„Ja niżéj podpisany, przyjmując rachunki, prowadzone przez pana Lejzora Krausberga...

— To kłamstwo! Pan wyłudził podstępem taki kwit od żony...

— Niech pan nie krzyczy, tu nie karczma, pan rozbudzi moje dzieci...

— Tu stoi podpis pana, kto go sfałszował? Ja nie, chyba żona pana.

— Milcz pan.

— Co to jest za grubijaństwo! — zawołał pan Krausberg, — ja tu w moim domu, pan idź hałasować do karczmy, na ulicę, ja nie pozwalam na krzyki.

Z purpurowego zrobił się pan Bratkowski bladym i rzekł spokojnie:

— Byłeś pan złodziejem, a teraz jesteś oszustem i fałszerzem.

— Co to jest? Ja zawołam stróża!

Na ten hałas dzieci w przyległym pokoju zaczęły płakać, w progu pokazała się pani Krausberg w białym kaftaniku, w kolorowym czepcu na wygolonéj głowie, w brudnéj halce i wołała piskliwie:

— Co pan sobie myśli, myśmy się zlitowali nad panem, dali pieniądze, pan byłbyś z głodu umarł, a teraz takie hałasy... Idź pan!

Pan Bratkowski zachwiał się, schwycił się stołu, aby nie upaść, spojrzał na gospodarza domu i rzekł na odchodném:

— Złodziéj!

Przeprowadzony gniewliwemi okrzykami małżonków, wyszedł. Na rynku musiał się oprzéć o mur kamienicy z powodu zawrotu głowy i dotkliwego bólu w boku. Z trudnością doszedł do ławeczki skweru, otaczającego ładny i starożytny kościół drohobycki.

Usiadł, a wśród myśli pogmatwanych i chorobliwych jedna wypisaną była ognistemi literami, owo zrzeczenie się pretensyi do dawnych rachunków. Teraz położenie było już bez wyjścia, cały plan osnuty tak troskliwie i pracowicie w czasie choroby, po tym kwicie runął i nie miał żadnéj wartości.

Ogarnęło go uczucie wielkiego żalu, smutku i beznadziejności. Przez zwykły egoizm chorego człowieka, pragnął i pożądał w téj chwili tylko spokoju bezwzględnego, tylko śmierci, aby uniknąć dalszych walk, cierpień, przykrości, widoku nędzy i głodu rodziny.

Ale śmierć, chociaż tak pewna i nieunikniona, nie przychodzi na zawołanie i nie stawiła się tym razem.

Po dłuższym odpoczynku, wstał i z trudnością dowlókł się do domu. Przerażona żona zawołała:

— Guciu, gdzie byłeś?

Po chwili powiedział urywanym głosem:

— Skłamałaś... byłem u Krausberga...

Nastąpiła groźna recydywa, a z chorobą, nieodłączne zwiększenie wydatków i brak pieniędzy.

Pan Krausberg odmówił stanowczo i z oburzeniem wszelkiéj zaliczki, a ze znajomych tylko jeden notaryusz, dowiedziawszy się o nędzy w domu państwa Bratkowskich, przyszedł z pomocą.

Chorego pilnowały troskliwie żona i córka, uważając na każde westchnienie, na każdy ruch i słowo. A chory, majacząc w gorączce, wołał z twarzą rozjaśnioną:

Moja kopalnia!.. Moja!

W kilka dni późniéj, w jasny, pogodny dzień, ubogi karawan wiózł ciało p. Bratkowskiego na cmentarz. Za trumną prócz rodziny szła tylko mała garstka pobożnych.

Usiłowaniem notaryusza powiodło się wydobyć od pana Krausberga, za cenę sprzedaży czwartéj części, trzysta guldenów, które miały być podstawą bytu rodziny pana Bratkowskiego, pozostałéj bez środków do życia.

XIII.

W jesieni tegoż roku zapanowała nadzwyczajna radość w domu p. Krausberga. Ziściły się wreszcie przeczucia i oczekiwania właściciela kopalni, znalazła się „matka!"

Uwiadomiony p. Krausberg w domu, blady, drżący, prawie wystraszony, pobiegł na płac furmanek. Na razie nie odjeżdżała żadna; chociaż ta i owa posiadała pewną ilość pasażerów, brakło jednak do kompletu i furmani zwlekali z odjazdem. Pan Krausberg, rozgorączkowany, zaproponował furmanowi dopłatę, byle jechał do Borysławia, lecz żądane 80 centów wydały mu się tak wygórowaną ceną, że po bezskutecznych targach uzbroił się w cierpliwość i przegryzając wargi, wąsy, miętosząc brodę i pejsy, siedział na wozie, oczekując innych pasażerów zwolna nadciągających z miasta.

Furman ulegając groźbom porzucenia wozu, ruszył zwolna w drogę bez dwóch pasażerów dopełniających. Za mostkiem nad cuchnącą rzeczułką przystanął i wziął za połowę ceny idącą już pieszo kupcowę z Borysławia i nareszcie pojechał.

Pan Krausberg zeskoczywszy z wozu w Borysławiu, już nie szedł, lecz prawie biegł na Wolankę z rozwianym chałatem, z kapeluszem zsuniętym na oczy, czerwony niemal do siności. Zziajany, ze spływającemi kroplami potu, biegł do szybu Abruma, do „matki". Zwarty około szybu tłum ciekawych na wiadomość i widok rozstąpił się. On przeszedł, nie zważając na szepty zebranych, nie słysząc wykrzykniku podziwu, i spojrzał w otwór. Mimo ciemności, można było dojrzéć powierzchnię wosku o kilkanaście metrów od otworu jamy.

Od czasu do czasu dał się słyszéć głośny trzask druzgotanych desek oprawy szybowéj i głuchy huk gazów przedzierających się

przez zapory. Tak, to „matka!” i w dodatku tak blizka, a więc tania, bo w 26 metrze głębokości.

Zwrócił się do Abruma rozpromienionego:

— Ty masz u mnie nagrodę.

— Ile, panie Lejzor?

— Ja się namyślę, ty nie będziesz miał krzywdy.

Zbliżył się Efet ze słowami powinszowania.

— Nu, Efet, ja będę pamiętał o tobie.

— Pan Lejzor sobie przypomina swoje słowa, ja mam już obiecane...

— Co? Kiedy?

— Jak była „matka” u Weinsteina.

— Ja ci dam moją część, a resztę weź u Bratkowskich, oni ci zapłacą—zadrwił rozmyślnie.

— Co takie biedne kobiety mają?

— To ty się kontentuj tém, co ja tobie dam.

— Pan Lejzor nie zechce mojéj straty.

— Ty idź do roboty, my już pogadamy.

W imieniu robotników zbliżył się jeden, zlekka uchylił czapki i rzekł:

— I nam się należy, panie gospodarzu.

— Za co wam?

— Pracowaliśmy, i ciężko, a jamarz co był w szybie zginął od wosku.

— Jakto zginął? Abrum? co to jest?

— Jamarz Mikołaj był w szybie... no i „matka” nie pozwoliła mu uciec, on już tam został, ale my go odkopiemy.

— Jakże będzie, panie gospodarzu? — dopytywał się robotnik.

— Abrum, ja chcę mieć spokój, ty im daj po kwaterce wódki.

— To mało — mruknął chłop.

— Wam zawsze za mało, — krzyknął Abrum, — zamiast podziękować, wy jeszcze targujecie się z panem właścicielem.

Skrzyczany robotnik usunął się, a uradowany p. Krausberg dawał Abrumowi rozporządzenia, by natychmiast przystąpiono do wybierania wosku z jamy.

Pan Krausberg teraz dniował i nocował na Wolance, nie odstępując bogatego szybu. Tu przyjmował liczne odwiedziny znajo-

mych kupców, poszukiwaczy, nafciarzy, składających mu nieszczere powinszowania zaprawione zazdrością i goryczą.

A on, nieumyty, brudny od wosku i pyłu, z rękami czarnemi, z bielejącemi zlekka końcami palców, mytemi według obrządku przed modlitwą; w ciepłym chałacie zabłoconym, ze strzępami na dole, z obwisłą podszewką, siedział dumny, przyjmując lekceważąco dobre słowa i nienawistne spojrzenia. On miał wosk, który płynąc szeroką strugą do jego kasy, zamieniał się na złoto, pomnażając jego bogactwo, i z tego wosku, złota, ze swego szczęścia był nietylko dumny i szczęśliwy, ale czuł podziw ludzi i śmiał się drwiąco z zazdrości i gniewu współzawodników. Właśnie rozmyślał nad swém wielkiém szczęściem, nad widocznem błogosławieństwem Boga, gdy odezwały się trzy uderzenia dzwonka, i po chwili wyjechał ze szybu pobladły jamarz.

— Czy gazy? — spytał pośpiesznie właściciel.

— Iii, nie...

— Ny, czemu wylazłeś, dlaczego nie kopiesz?

— Ot, dlaczego, — wyjął z kubła bryłę wosku, na której znaczyła się wyraźnie krew.

— Nu, co to znaczy?

— Ja tam nie hycel żaden, abym się w krwi babrał, szukajcie sobie innego! — wołał rozdraźniony. — To krew Mikoły, chrześciańska, nie pójdę do jamy.

— Ty głupi, ty nie chcesz zarobku... Może kto z was pójdzie?

— Nie, — zawołali robotnicy prawie jednogłośnie.

Pan Krausberg porozumiał się z Abrumem, który wyszukał wreszcie lepiarza żyda, zdecydowanego zjechać na dół.

Zaledwie pierwszy kubeł wosku dobyto na wierzch, gdy robotnik zadzwonił, aby go wyciągnięto ze szybu.

— Nu, co się stało, Nuchim? — spytał właściciel.

— On tam siedzi przyduszony — wybełkotał zmieszany.

— Co za on?

— Nu, Mikoła... ja uderzyłem, a wosk odpadł od niego, i ja zobaczyłem jego oczy na wierzchu.

Abrum znalazł innych lepiarzy, mniéj wrażliwych na widok trupa, i ci po pewnym czasie wydobyli na wierzch ciało Mikoły, spłaszczone, z pogruchotanemi kośćmi. Pan Krausberg zawiadomił policyę, która zabrała zmarłego do pogrzebowego domu i pogrzebała we wspólnym dole z innemi ofiarami kopalń.

Wreszcie wyczerpała się „matka", i p. Krausberg mógł wyjechać do domu, a chcąc dzieciom sprawić niespodziankę, kupił na podsieniu cukierków za kilka centów i każdemu po makagidze z maku. Gdy wszedł do kuchni, uderzył go zapach gęsiny i smażonych jabłek.

— Sura, — zawołał, — czy ty we środę przygotowujesz na szabas?

Żona, zajęta przy kuchni, zaśmiała się uradowana, mówiąc:

— Lejzor, tobie się to należy za „matkę".

Wszedł do pokoju jadalnego, zrzucił chałat i zmęczony, usiadł wygodnie na sofie. Do wchodzącej żony rzekł:

— Sura, zawołaj tu dzieci.

Przybiegły i z wielkiemi okrzykami radości otrzymały przyniesione łakocie.

— Sura, ty bardzo rozrzutna, po co ta gęś, jabłka?

— Lejzor, ja tobie dam gęś, strudel z jabłkami i rodzynkami, bo ty się napracował!

— Po co te wydatki? To rozrzutność...

— Lejzor, ja to zrobiłam z moich oszczędności, ja tobie nie policzę tego... Jakże „matka"?

— Ona była dobra, ale już minęła — westchnął.

— Ty, Lejzor, znajdziesz drugą.

— Może... Sura, daj mi kawę, ja pójdę na rynek, do kupców...

— Ja zaraz tobie dam...

Przyniósłszy kawę, a widząc go opalonym od wiatrów, zakurzonym od pyłu, brudnym od wosku i zmęczonym, dodała z współczuciem:

— Lejzor, ty potrzebujesz odpocząć... tobie się to należy za „matkę"...

— Ty nie gadaj, Suro, ja mam interes.

Na rynku przed apteką spotkał syna, Mojżesza, który mu opowiadał gorączkowo:

— Już są wiadomości pewne o cerezynie, ona idzie w górę, a za wosk dawali wczoraj 22 guldenów, Niemcy zarabiają na naszym wosku 51 procent *netto*. Ja już słyszałem, że tu nasi chcą założyć fabrykę, ale bez nas. Teraz jest czas, trzeba to zrobić, bo nas wyprzedzą.

— Ty nigdy nie będziesz robił dobrych interesów, — mówił ojciec z goryczą, — tobie brakuje spokoju, ty zaraz gwałt robisz.

— Ja taki tylko z ojcem, z innymi ja spokojny i zimny.

— Ty głupi jesteś, każdy pozna po oczach twoich, co w tobie siedzi.

Zbliżyli się do giełdy. Szczęśliwego pana Krausberga otoczyli kupcy, winszowano, ściskano ręce, a bliżsi przymawiali się, aby wyprawił ucztę, bo „matka“ zasługuje na to. Uśmiechał się, dziękował za powinszowania, a dowiedziawszy się, że dziś za wosk gotowy dają 22.50 i chętnie tak płacą za przyszły, skinął na swego dawnego spólnika, pana Lindemana, i obaj odsunąwszy się na stronę zaczęli rozmawiać o téj szybkiéj zwyżce wosku.

— Słuchaj, Lejzor, ta cerezyna to musi być dobry interes. Niemcy kupują na gwałt nasz wosk, a oni nie są głupi. Nam trzeba coś zrobić...

— I ja tak myślę...

— Ja mam list, że oni mają 51 procent na wosku i to *netto*, a ich kosztuje transport... My będziemy mieli większy zysk na tutejszéj cerezynie .. Lejzor, co ty powiesz na fabrykę?

— A kto będzie należał?

— Nu, ja i mój syn Moritz... a ty Lejzor?

— Ja nie wiem, trzeba rzecz obgadać, ja wziąłbym Stillbacha.

— Może i on być... Na taką fabrykę trzeba gotówki ze trzydzieści tysięcy, reszta pójdzie na kredyt! ale ty Lejzor dobrze mówisz, to trzeba obgadać, tylko prędko, bo szkoda każdego centnara wosku, który dajemy Niemcom.

— Lejzor, — uśmiechnął się p. Lindeman, — nam będzie najlepiéj u ciebie, przy tobie szczęście teraz, nam potrzeba z tego korzystać.

Pan Krausberg przypomniawszy sobie gęś pieczoną i strudel, był zadowolniony, że przy wydatku żony załatwi może interes, i rzekł z pewną chełpliwością:

— Ja Lindeman proszę ciebie, i twego syna Moritza, i Stillbacha dziś do mnie na gęś gorącą i jabłka w cieście.

— Lejzor, ty zrobiłeś dobrze, nasz interes obgadamy dzisiaj, może on będzie dla nas „matką!“

Zgromadzili się wszyscy zaproszeni wieczorem w pokoju jadalnym, przy nakrytym już stole, gdyż ambitny syn Mojżesz uprzedził matkę o przyjściu gości.

Pan Krausberg, zobaczywszy butelkę wina rodzynkowego i przygotowane malutkie kieliszki, zmarszczył się, on nie chciał tego wydatku, dopiero rozjaśnił twarz, gdy się dowiedział, że i to wi-

no idzie na rachunek żony, któréj dawał dziesięć guldenów tygodniowo na utrzymanie domu.

Zasiedli, zajadając z głośném cmokaniem gęś natartą czosnkiem, ogryzając kosteczki, rozkoszując się każdym kawałeczkiem strudla, przyjmując obojętnie usługiwanie gospodyni, która zadowolniona, z wypiekami od ognia kuchennego, rozszerzając swe usta w uśmiechu, zapraszała gości dość umiarkowanie do spożywania i picia.

Wśród rozmowy ogólnéj o wosku, nafcie, rozmaitych interesach, rzekł pan Stillbach:

— Lejzor, ty pewno znasz te Bratkowskie?

— A tobie na co?

— Tę młodą zgodziła moja żona do mojéj córki, ona ją uczy.

— Czego ona uczy? — spytał pan Lejzor.

— Nu, czytać, pisać, rachować...

— Czy nie mamy szkoły?

— Ona bardzo kapryśna, bo chora, i dlatego wziąłem do niéj guwernantkę.

— Ile ty jéj płacisz?

— Ona bierze za godzinę 25 krejcarów.

— Ty dobrze płacisz, — uśmiechnął się pan Lindeman, — ona brała u mnie 20 krejcarów.

— Byłaby wzięła 15 — dorzucił Lindeman syn.

— Lejzor, możeby ją wziąć do naszéj Rózi? — wmieszała się pani Krausberg.

— Mamy czas, Suro, my pogadamy...

— Jak ona bierze 15, może u nas weźmie taniéj, a im potrzeba, bo one biedne.

— To późniéj, Suro, teraz idzie o interes.

Zaczęli się umawiać o warunki, a młody Lindeman tak jasno i wymownie przedstawił wielkie korzyści fabryki cerezyny, tak udowodnił cyframi swe słowa, że zgodzono się na budowę fabryki w jak najkrótszym czasie.

Pan Krausberg przystąpił wraz z synem Mojżeszem ze sumą 20,000 guldenów; panowie Lindeman weszli obaj, wnosząc każdy po 5,000, a pan Stillbach zdecydował się również na 5000 florenów.

— Ja myślę, że najlepiéj wysłać mego syna, niech zobaczy fabrykę i przywiezie technika — rzekł pan Lindeman.

— Po co technik? — zakrzyknął pan Krausberg — czy u nas ich mało i tanich? Niech on jedzie, wydostanie plan fabryki, przywiezie tutaj, a nasi technicy zbudują.

— Ty Lejzor mądry — rzekł z uznaniem pan Lindeman, — zawsze plan tańszy od przyjazdu Niemca; ty Moritz zrób to zręcznie weź sobie kopię planu, a my wybudujemy.

— Ja sobie już poradzę, — odparł młody z dumą, — ale co będzie z dyrektorem?

— My sprowadzimy na rok, na dwa, pomocnika dyrektora... on poprowadzi, a ktoś z naszych poduczy się przy nim przez ten czas, — odpowiedział pan Krausberg. — Nu, a my dajemy Moritzowi tylko na koszta podróży i plan.

— Jakto? a na życie? — zawołał stary Lindeman.

— Czy on ciebie w domu nie kosztuje, on przecież je i pije.

— Lejzor, ty za oszczędny, w domu on się pożywi przy nas, ale w drodze jemu potrzeba jeść i pić, to on dostanie guldena dziennie.

Po długich sporach zgodzono się wreszcie na centów sześćdziesiąt na dobę, a na nocleg osobno po trzydzieści.

Po wyjściu gości rzekł mąż z uśmiechem wdzięczności:

— Suro, ja tobie dziękuje za gęś i wino, ono było dobre!

XV.

Szczęście, które tak stale towarzyszyło panu Krausbergowi w jego operacyach dotychczasowych, w niczém nie zaznaczyło się w jego zwyczajach i stroju. Tak samo, jak dawniéj, wypijał z pośpiechem ranną kawę i szybko szedł na placyk Bazylianów, aby furmanką za dziesięć centów pojechać do Borysławia. Chałat ten sam brudny, z plamami nafty, zabłocony; kapelusz kastorowy, świecący z użycia; jarmułka wytarta, buty zrudziałe, stanowiły strój jego; tylko w ruchach pewniejszych; w śmiałém i ostrém spojrzeniu ciemnych oczu; w dźwięku jego głosu widoczne było samopoczucie gracza szczęśliwego, który każdą stawkę wygrywał. To swoje szczęście cenił on wysoko i bardzo szanował, uważając je za oddzielną istotę, która go zaszczyciła swoją łaską i stale mu towarzyszyła; nie wdawał się teraz w drobne interesa spółkowe, mimo korzystnych propozycyi, bo i dlaczego miało wzbogacać jego szczęście innych graczów? niech ono jemu służy i pomaga w zagarnięciu dobrych interesów i kapitałów.

Napróżno starali się inni nafciarze i poszukiwacze wosku wciągnąć go do siebie, cokolwiek pożyczyć od niego, kierując się zabobonem hazardu, że pożyczka od szczęśliwego przynosi szczęście, on

pilnował się starannie, aby nic nie uronić ze swego szczęścia, stał się jeszcze twardszym w interesach, zimnym i nieprzystępnym dla współwyznawców, którzy, mimo zazdrości, niezadowolenia, zawiedzionych nadziei, cmokając ustami, szeptali z uznaniem gorącém:

— Mądry człowiek! Bardzo mądry!

I pan Krausberg rósł w znaczenie, szacunek i chwałę, a ten blask jego spadał w części i na liczną rodzinę.

Na kopalni, niegdyś Bratkowskiego, praca gorączkowa wydobywania wosku ustawała z powodu zbliżających się żniw, które zmuszały robotników do opuszczenia kopalni; odetchnęli dozorcy, a pisarz Efet Roger, pochylony, w lejbiku watowanym, miał dosyć czasu na wygrzewanie się w słońcu lipcowém. Z dumą, właściwą wszystkim robotnikom, zajętym przy kopalni, dającéj wielką ilość produktu, patrzał wokoło, czując się współuczestnikiem szczęścia i powodzenia swego pryncypała.

— Nu, Efet, co słychać?

— Wszystko dobrze, panie Lejzor... Tu był Steiner po wosk do parafiny.

— Ile daje?

— Dwadzieścia pięć pięćdziesiąt.

— To mało, niech da siedmdziesiąt pięć! Czy widziałeś Abruma?

— Ja mu już mówiłem, niech pilnuje kindybału, aby zmieszać dla Steinera.

— To dobrze, Efet, — pochwalił pan Krausberg, siadając na ławeczce pod domem kancelaryi kopalni. — A ile wosku chce Steiner?

— On bierze cały wosk, 230 centnarów, który jest na składzie.

— Niech da 25 fl. 75 centów.

— On może i da...

Do siedzących zbliżyło się dwóch żydów, pochylonych wiekiem i zmęczeniem. Ubrani ubogo, w łatanych chałatach, z laskami w ręku, powłócząc nogami, stanęli przed panem Krausbergiem, który na ich widok sięgnął do kieszeni po jałmużnę i, wyjąwszy kilka centów, wręczył starszemu.

Ten, mruknąwszy zwykłe podziękowanie, zatrzymał datek w ręku i spojrzał z wymówką niemą na pana Krausberga.

Ten jasny wzrok zmieszał właściciela kopalni i w odpowiedzi mówił zgryźliwie:

— Czego chcesz więcéj?

— Ty sam, Lejzor, rzekłeś, — zaczął jałmużnik poważnie, — przez ciebie mówi twoja sprawiedliwość, ty słuchaj jéj głosu, bo jéj głos to głos Boga.

— Czy ci nie dałem?

— Kto daje braciom od serca, ten nie liczy okruszyn, — odezwał się głośniéj, i na jego bladą, znękaną twarz wystąpiły rumieńce, oczy zabłysły gorączkowo, — ty, Lejzor, masz łaskę u Boga, On doświadcza ciebie szczęściem i patrzy co ty robisz z tym Jego darem? Łzy twoich braci ty otrzyj chustką jedwabną, głód ich przemień ty w obfitość jadła i napoju, nędzę ich zamień na bogactwo, tak mówi Pan przez usta moje.

Pod wpływem jego słów, a bardziéj jeszcze płomiennych oczu, obaj powstali z ławeczki, i pan Krausberg uśmiechając się, z przymusem odpowiedział:

— Ty, Jankiel, myślisz tylko o twoich biédnych i chorych, ale i nam zdrowym trzeba żyć i bronić się przed wrogami.

— Lejzor, ja wiem co mówię i do kogo zwracam moje słowa. Ty nie szanujesz twoich braci, ty ich podmawiasz do złego, ja dużo wiem, ale milczę, bo my wygnańcy i wszyscy nieszczęśliwi. Ale Lejzor, ty z braćmi walcz sercem, a zwyciężysz, i będą cię miłowali i szanowali wszyscy bracia.

Pan Krausberg przypomniał sobie Abruma, lepiarzy i innych pośredników i wykonawców swoich planów. Zaniepokojony słowami jałmużnika, znów sięgnął do kieszeni po kilka centów, i wręczając, rzekł:

— Nu, dosyć Jankiel...

— Lejzor, jeśli to przeważy twoje winy, niech będzie dosyć... tylko pamiętaj, Bóg ma sprawiedliwą miarę w ręku i On ci odmierzy według zasługi.

— Jankiel, ty idź daléj... od mego progu nikt nie odszedł bez jałmużny, ja zachowuje zakon i przepisy.

— To twój interes, ale ty, Lejzor, sumienia nie przywalisz kamieniem, ani skałą. Bóg jednym palcem podniesie ciężar, i sumienie przed tobą stanie nagie, pokaleczone i ciebie przerazi w chwili kary i smutku.

— Jankiel, ja nie boję się mego sumienia, ono jest czyste.

— Bóg osądzi, nie ty, Lejzor.

Podraźniony, pan Krausberg, zaczął szybko mówić z Efetem o sprawach kopalni, odwróciwszy się od jałmużników, którzy po chwili poszli daléj, zmęczeni, uznojeni, powłócząc nogami, podtrzy-

mując nadwątlone siły nadzieją, że dla swych biednych i chorych współbraci zbiorą środki ulgi i ratunku.

Pan Krausberg, patrząc na oddalających się, rzekł do pisarza:

— Efet, ten Jankiel jest zwaryowany, on miał majątek i mógł być bogaty, a teraz co z niego?... On ma na głowie tylko chorych i zbiednieje jego rodzina.

— On ma jednak zasługę przed Bogiem, — zauważył pisarz, który sam biédny miał szacunek dla jałmużników.

— Każdy z nas, pracując, pomnaża chwałę Boga, — westchnął sentencyonalnie pan Krausberg i szedł do biura, by przejrzéć książki rachunkowe.

Wyprawiwszy Efeta na obiad, zasiadł przy stole i zagłębił się w rachunkach, porównywając co chwila cyfry wypisane z notatkami osobistemi. Tę robotę przerwało mu wejście p. Borucha Eisensteina, który, ocierając kraciastą chustką pot perlisty z czoła, usiadłszy na krześle, mówił zwolna, kręcąc długie, starannie utrzymane blond pejsy:

— Lejzor, ty mój krewny, to ja tobie coś powiem...

— Co ty mi, Boruch, powiesz? — spytał obojętnie.

— To jest taki interes... Hamerstein bardzo się droży z gruntami w Schodnicy, a komisya z banku anglo-austryackiego nie chce od niego kupować, ona chce grunta chłopskie...

Pan Krausberg spojrzał z zainteresewaniem i szybko rzucił:

— Boruch, czy to pewne?

— Ja tobie mówię prawdę, Lejzor... Ty posłuchaj daléj... Jak Lindeman dowiedział się o tém, on zaraz pojechał do Schodnicy i kupuje grunta chłopskie...

— Lindeman? Mój wspólnik kupuje, a nic mi nie powiedział? — oburzył się właściciel kopalni.

— To może być złoty interes, po co miał mówić tobie? On ma pieniądze i sam kupi.

— I co ty Boruch myślisz?

— Ja mam trochę zakopów w Schodnicy, ale to mało wszystko, ja chcę mieć dużo i dlatego przyszedłem do ciebie, Lejzor, bo ty mój krewny.

— Boruch, ty dobrze zrobiłeś, ja pomyślę o tém i dam ci znać.

Pan Eisenstein spojrzał mu w oczy, lekko się uśmiechnął rzekł tonem ostrzeżenia:

— Ten interes trzeba robić zaraz, albo nie robić wcale. Nie zrobisz ty, Lejzor, ja znajdę innego spólnika, a na naszéj konkurencyi zarobią chłopi, czy to się opłaci?

— Ty, Boruch, ostrożny, — uśmiechnął się pan Krausberg z przymusem, — ale ja nie wiem, czego ty chcesz?

— Ja włożyłem moje pieniądze w interesa, ja nie mam gotówki, a z chłopami tylko za gotówkę jest dobry interes; to ja tobie proponuję spółkę, ty mi pożyczysz na ten interes, a ja ci pokażę dobre grunta, bo ja znam Schodnicę.

Pan Krausberg jakiś czas milczał, wreszcie spytał:

— Boruch, jak idą twoje interesy?

— One były niezłe, ale teraz mam kłopoty, mnie pozarywali ludzie.

— Dlaczego ty na to pozwoliłeś? — uśmiechnął się z ironią.

— Co ja miałem pozwalać? — obruszył się pan Eisenstein, — tak Bóg chciał.

— Ileż ty masz?

— Ja mam u ludzi 2000 fl.

— A ile chcesz teraz?

— To zależy, może pięćset, a może tysiąc.

— Ja tobie dam trzysta, — rzekł po namyśle.

— Lejzor, to dobry interes, ty nie bądź skąpy, bo ja twój krewny.

— Boruch, ja ryzykuję tylko trzysta, — odpowiedział stanowczo.

Po kilku nieudanych próbach zwiększenia pożyczki, zdecydowali obaj jechać zaraz do Schodnicy. Jednokonnym wózkiem zaprzągniętym w lichego konia ruszyli w drogę, a minąwszy Borysław, jęli się piąć na wyniosłą, stromą górę, porośniętą starym lasem. Słaby koń z trudnością ciągnął wózek, popędzany przez idącego obok furmana żyda, dwaj pasażerowie, rozsiadłszy się wygodnie, omawiali interes.

— Boruch, ja ci coś powiem, z chłopami ty rób interes, kup na swoje imię, a potém ty mi ustąpisz u notaryusza.

— Dlaczego, Lejzor?

— Ja mam w tém mój interes... Lindeman jest mój spólnik, ja chcę być czysty wobec niego.

— Nu, a on przecież kupuje grunta

— Ty, Boruch, nie rozumiész tego... Ja mam z nim fabrykę, to ja chcę mieć wolne ręce, i zrobił on teraz interes z boku, może się i mnie trafić coś z fabryką.

— Ty, Lejzor, bardzo ostrożny, — podziwiał szczerze towarzysz.

— Ja zawsze robię rachunek, — odparł poważnie i rozmyślał w milczeniu nad swemi interesami.

Jechali zwolna pod górę. Wokoło szumiał las czarnych gonnych jodeł, przynosząc ze sobą zapachy żywiczne i wonie leśnych kwiatów. Od czasu do czasu, z pomiędzy pni drzew wznosiła się naga skała, wyrzucona i pogięta kataklizmem przed wiekami, zwolna kruszyło ją powietrze, rozsadzały rudawe porosty i siwe mchy. Czasem gdzieś, z głębi lasu załkała kania, zagruchały gołębie, zakwilił w górze jastrząb i ciężko ze szumem przefrunęła wrona kracząca. W południowém słońcu lśniły się igły jodeł, mieniły barwne kwiaty, kołysały się cienie przerwane smugami światła, a ten przepych starego lasu oddziałał na pana Krausberga, który rozglądając się w około rzekł:

— Boruch, taki las to dobry interes.

W odpowiedzi towarzysz cmoknął z zachwytu, mówiąc:

— A Lejzor, taki las przy kopalni i kolei to milion! Żeby on był szlachecki, możnaby coś zrobić, ale to rządowy — westchnął z żałością.

— Ty, Boruch, masz racyę. Rząd tylko nakłada podatki, a nie uruchomi takiego kapitału wielkiego—wskazał na las.

— On musi zbankrutować z taką gospodarką — dorzucił Boruch z ironią.

— To jego interes, — zakończył pan Krausberg.

Wjechali na szczyt góry, i furman wskoczył na wózek, nagląc konia do pośpiechu. Przed jadącymi rozciągała się wieś Schodnica, rozrzucona po jarach i pagórkach uprawnych. I tu, podobnie jak w Borysławiu, wznosiły się wieże kanadyjskie, zrobione z grubych belek drzewnych, przytrzymujących świder wiertniczy. Na zielonym tle lasów i pól te wieże białawe robiły wrażenie jakichś przyrządów mąk i kar dla ludzi olbrzymów, wyrywały się z otoczenia i sterczały nagie, białe, jak szkielety olbrzymich szubienic.

Wózek toczył się szybko po spadzistéj drodze, a gdy dojeżdżali do wsi, spytał się furman o zajazd.

— Ty jedź prosto, a potém na prawo od figury, — rzekł pan Eisenstein, i zwróciwszy się do towarzysza, dodał: — My pojedziemy na moje zakopy.

— Po co mi twoje zakopy, — zawołał pan Krausberg, — najpierw zajedziemy do Arona i dowiemy się, co zrobił Lindeman i jak się zabrać do chłopów.

— Lejzor, ty zawsze masz racyę.

Zajechali przed nizką, wydłużoną karczmę i wyszukawszy gospodarza, zasiedli we trzech w alkierzu, zajętym do połowy łóżkiem wysłaném wysoko piernatami w kolorowych powłoczkach.

— Aron, my przyjechaliśmy do ciebie, jak do swego, — przemówił pan Krausberg, — my dawni znajomi.

— To prawda, a jaki macie interes?

— Boruch chciał wziąć zakopy...

— Przecież ty masz u nas, — zawołał szynkarz, patrząc bystro niebieskiemi oczyma w twarz Borucha.

— Ja chcę mieć więcéj, — odpowiedział obojętnie, kręcąc pejsy.

— Tu jest jakiś interes, bo i Lindeman kupuje, — zastanawiał się Aron, rozczesując palcami rudawą brodę.

— Ile on kupił? — podchwycił pan Krausberg.

— Ja dobrze nie wiem, on robi przez Seliga, ale mówili mi chłopi, że Selig ich ciągnie.

— Aron, my nie zajechaliśmy do Seliga, ale do ciebie, ty nam poradź i pomóż.

— Dobrze, Lejzor, a co ja zarobię?

— Aron, ty pamiętaj, że goje u ciebie będą pili mohorycz, ty sprzedaż dużo wódki...

— Ja to wiem, ale co ja zarobię?

— To nie mój interes, to Borucha, niech on gada.

— Ja, Aron, dam tobie guldena z każdego chłopa.

— Boruch, ty żartujesz, co to gulden jeden za chłopa, a gdzie mój czas?

W ciągu téj rozmowy, przez otwarte drzwi alkierza, dolatywały głosy pijących w izbie szynkownianéj i piskliwe odpowiedzi Aronowéj, zastępującéj męża przy szynkwasie, która w téj chwili wsuwając głowę do alkierza, zawołała:

— Aron, czy można pokredytować Mykicie?

Wezwany wstał szybko i poszedł do szynkwasu.

— Ile jemu dać? — spytał cicho pan Eisenstein.

— Jemu można dać pięć, — a do wchodzącego Arona rzekł: — Nu, szkoda czasu, ile ty chcesz?

— Od każdego zakopu guldena.

— Co ty gadasz, Aron, — obruszył się pan Krausberg, — my nie wiemy ile będzie zakopów, a dla ciebie nie sprowadzimy geometry. Ty powiedz, ile chcesz od interesu?

— Po dziesięć guldenów z każdego chłopa.

Wreszcie, po długich targach, ułożono cenę sześć guldenów 50 centów, i Aron spytał:

— Gdzie chcecie kupować?

— Ja już mam grunt Hrycia, — odpowiedział p. Eisenstein, — i chciałbym kupić pograniczne.

— Hrycia?... Ten na pagórku, koło gruszy? — i na potwierdzające skinienie mówił daléj: — Z lewéj strony ma pole Łukasz, ten droży się, i jemu trzeba dać pod sekretem więcéj, aniżeli innym, on się na to złakomi; a daléj jest już jar i pastwisko gromadzkie z drogą... Z prawéj strony od Hrycia siedzi Maciéj, ten, jak się napije, zrobi to, co sąsiedzi, a potém ma dwie morgi Bazyli, on wchodzi w grunta dworskie, z nim niema co gadać, tam rządzi druga żona i ona sprzeda na złość pasierbom; nu, daléj jest grunt Jana...

— Ten ja już kupiłem, — objaśnił pan Eisenstein.

— Jakto kupiłeś? Kiedy? — zawołał zgorszony arendarz.

— Na wiosnę.

— Ile dałeś?

— Zadatku na pierwszeństwo zakopów dałem pięćdziesiąt guldenów.

— To wielki łotr z tego Jana, on mi nic nie powiedział o sprzedaży, — westchnął szynkarz, — ale on musi mi zapłacić i ty Boruch także.

— Za co ja? — oburzył się pan Eisenstein.

— Jan należy do mnie, taka umowa jest z Seligiem, ty musisz zapłacić.

— No, no, nie kłóćcie się — uspokajał pan Krausberg, — ty Boruch za grunt Jana zapłać Aronowi, a ty Aron zgódź się na dwa guldeny.

— Za Jana tak, jak za innych, inaczéj nie chcę mówić i robić interesu.

Wszczęła się kłótnia, zrywali się z krzeseł, już wychodzili, znów wracali, grozili, prosili, ale że Aron miał przewagę znajomości chłopów i ich stosunków, musiał pan Eisenstein zapłacić za kupno gruntu Jana.

— Aron, ty rób interes z chłopami, dzisiaj trzeba kończyć, — doradzał pan Krausberg.

— Ile chcecie kupić?

— Wszystkie trzy grunta kupuje Boruch.

— Nu, ja poślę po chłopów, a możebyście co zjedli?

— My po interesie przy mohoryczu coś przekąsimy.

— Niech i tak będzie.

Wstał i poszedł do szynkwasu, po krótkiéj chwili wrócił, mówiąc:

— Łukasz, ten chłop z lewéj strony Hrycia jest u mnie... Wy idźcie tędy do sieni i wejdziecie za chwilę do izby, ja go uprzedzę i przygotuję.

Aron wrócił do szynkwasu i z uśmiechem przyjaźni mówił do chłopa przygarbionego, z twarzą szeroką, pomarszczoną, z wąsem krótkim, przyciętym.

— Łukaszu, a możebyście się napili coś dobrego... mam rarytny arak, akurat dla was, takiego gospodarza.

— Ee, nie.. a drogi?

— Ja dla was, Łukaszu, spuszczę, spróbujcie, sam pan takiego nie pije; — i nalał czerwonawego płynu w kieliszek, podając chłopu.

Wziął i wypił, i odrzucając ręką włosy spadające mu na oczy, rzekł:

— Nu, dobry... a po ile?

— Dla was cztery centy, dla innych sześć.

— Dajże jeszcze.

Nalał i podał usłużnie, mówiąc cicho:

— Wiecie, Łukaszu, przyjechali tu kupcy na zakopy i pytali u kogo kupić, ja myślałem o was, bo wy mądrzy i zrobicie cenę, inni, aby grosz schwycić, a u was chwała Bogu jest wszystko, co wy na to?

— Iii, nie potrzebuję sprzedawać, zaczekam jeszcze.

— Jak pieniądz sam włazi do ręki, trzeba brać, dziś chcą kupować, a jutro ani się pokażą. Co o tém mówić, wy to lepiéj wiecie odemnie.

— Nie chcę.

— Nu, jak nie, to nie, ale ja sobie myślę, co wam szkodzi wziąć stówkę, albo i więcéj, a potém od każdego zakopu, kiedy dają, to trzeba brać. Grunt zawsze możecie uprawiać, i on swoje przyniesie.

— Hm... to niby prawda.

— To cała prawda, może oni zaczną kopać za pięć, za dziesięć lat... i co znaczy jedna dziura w gruncie, to jest to sobie nic, to nie żadne kalectwo, broń Boże.

— Ano zobaczę... posłucham...

— Te kupcy myślą, że ja z nimi będę trzymał, ale ja z wami, bo ja swój. Oni sobie pojadą, jak przyjechali, a ja tu żyję z wami, ja muszę dbać o wasz interes, a nie trzymać z nimi.

— Ty, Aron, niczego sobie i prawdę mówisz, bo co swój, to swój.

— Łukaszu, z was mądry człowiek.

Do izby wsunęli się dwaj kupcy.

— Nu, Aron, — zawołał pan Krausberg, podchodząc do szynkfasu, — jak długo będziemy czekali?

— Jeśli chcecie robić interes pewny, to tylko z tym gospodarzem. Łukasz jest u nas najpierwszy i najmądrzejszy, o tém wiedzą wszyscy.

I kupcy i chłop spojrzeli na siebie badawczo, a pan Krausberg rzekł:

— Nu, Łukaszu, chodźmy do alkierza, tam pogadamy spokojnie.

— Ee, nie, kradzionego nie sprzedaję, mnie i tu dobrze.

— Wy, Łukasz, mówicie sprawiedliwie, po co sekreta robić?— dodał szynkarz.

— Nu, niech i tu będzie... My chcemy kupić prawo na wasz grunt, ile chcecie?

— A co dacie?

— Mówcie wy najpierw. Ten grunt zostanie w używaniu waszém, tylko, że nam wolno na nim kopać i nikomu innemu.

— Ja to wiem, — rzekł chłop zwolna, — tak zapłacicie za prawo od morgi po 500 guldenów, a od każdego zakopu przy rozpoczęciu po 200 papierków i połowa nafty moja.

— Słyszysz? — zawołał drwiąco kupiec, — to coś nowego! Co nam zostanie?

— A to nie kupujcie, czy was siłuję?

Po długich rozmowach, namowach, piciu wódki, Boruch pochwycił prawą rękę chłopa i uderzając dłonią, mówił szybko:

— Nu, Łukaszu, niech będzie raz zgoda: za prawo dam wam 200 guldenów, a od każdego zakopu 100, za pierwszy płacę z góry. Co, dobrze?

Chłop w milczeniu słuchał, pozwalał uderzać w swą dłoń, ale w nastawioną dłoń kupca nie chciał położyć swéj ręki, wyczekując zwyżki.

Świadkiem tych targów byli i inni gospodarze, spoglądając z zazdrością na szczęśliwego Łukasza. Pomiędzy nimi był i Maciéj, a wypiwszy już czwarty kieliszek wódki, zbliżył się do pana Eisensteina, mówiąc:

— Dacie mi tyle co Łukaszowi, ja odstąpię prawo na swój grunt!

Zgorszony Łukasz splunął i zawołał głośno:

— Ot durny!

— Durny, nie durny, a swoje zrobię, czy to nie mój grunt? czy ja nie gospodarz?

Z Maciejem przyszło łatwo do zgody, a wówczas pan Eisenstein wziął na bok Łukasza i w tajemnicy dodał mu do ceny kupna dwadzieścia pięć guldenów, co tak pochlebiło chłopu, że zgodził się na inne warunki.

Dano zaliczkę przy świadkach, umawiając się o termin przyjazdu do Drohobycza, aby zrobić umowę notaryalną.

Do izby karczemnéj, napełnionéj dymem taniego tytoniu, wyziewów wódki, potu ludzkiego i ostrego zapachu butów, wysmarowanych naftą, wszedł Bazyli ze swoją żoną, kobietą młodą, uśmiechniętą, ubraną odświętnie mimo dnia powszedniego.

Z Bazylim, mimo jego niechęci, przyszło łatwo do zgody, dzięki żonie, która za obiecaną chusteczkę jedwabną i sznur korali nakłoniła męża do sprzedaży.

Kupcy po ukończeniu interesu, postawili flaszkę wódki, jako mohorycz. Karczma rozbrzmiała wesołością, okrzykami, poczęstunkiem. Aron zacierał ręce, dziękując kupcom i zobowiązując się do dostawienia chłopów do notaryusza.

Usiedli na wózek i zdala dolatywały ich odgłosy krzyków pijących; zgorszony tém, pan Eisenstein odezwał się do milczącego towarzysza:

— Lejzor, oni są bydło pyskate.

— Niech sobie będą, co nam to szkodzi, oni pracują na nas.

Po dłuższém milczeniu rzekł pan Eisenstein:

— Lejzor, ja mam całą spółkę, ja ci dopłacę u notaryusza całą połowę.

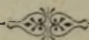
— Niech i tak będzie, tylko kontrakty z nimi na twoje nazwisko.

— To już umówione.

— Boruch, ale to sekret.

— Ja wiem!

(*D. c. n.*) *Artur Gruszecki.*



Nasi moderniści.

„Dwojaka jest droga, by sztuką życie ogarnąć. Jedna szeroka, wydeptana, bezpieczna i wygodna, druga kręta, prowadząca przez przepaści, pełna śmiertelnych niebezpieczeństw. Zupełnie jak w bajce. Wygodna droga, to droga mózgu, droga pięciu biednych zmysłów, które obejmują życie tylko w jego przypadkowościach, w jego smutnéj a głupiéj codzienności. Stroma, przepaścista droga, to droga duszy, dla któréj życie ciężkim snem, a bolesnem przeczuciem jakiegoś innego życia i zaświata, przeczuciem innych związków i innych głębi, jak te, do których biedny nasz mózg dotrzéć zdoła...”

Tak powiada główny przedstawiciel naszych „modernistów”, którzy sami siebie nazywają „Młodą Polską”.

Zatém, według Przybyszewskiego, ci co naprawdę usiłują „sztuką życie ogarnąć“, muszą z dwu dróg obrać drugą—krętą, prowadzącą przez przepaści, pełną niebezpieczeństw — drogę duszy. Ciężka to droga, ale innéj niema, skoro się chce widzieć rzeczy niepożyte, „to, co odwiecznym strumieniem płynie niezależnie od wszystkich przetwarzań i zmian od jednego bieguna wieczności do drugiego, bez końca, bez brzegu...”—Zadanie zaiste olbrzymie. Jakież siły?

O szczegółach z życia Przybyszewskiego wiemy z jego listu, ogłoszonego w Nr. 10 „Tygodnika Ilustrowanego” z r. 1899. — Urodzony w r. 1868, z ojca nauczyciela wiejskiego i matki „niezwykle muzykalnéj i świętéj kobiety”, — jéj zawdzięcza założyciel naszego

modernizmu miłość do muzyki, która u niego przechodzi w maniactwo.

Wyrósł na Kujawach w niezwykle pięknéj okolicy, którą, jak zapewnia — „kocha więcéj niż najpiękniejsze obrazy Norwegii lub Hiszpanii". Wrażenia z tych czasów i miejsc przewijają się w jego pismach: „te nasze nocy księżycowe, ta nasza jesień, te nasze płaszczyzny, jezioro Gopło, szańce szwedzkie, nasze ogrody, wierzby, bagna, torfowiska..." Będąc dzieckiem, pisał antyfony, litanie, potém psalmy i mowy pogrzebowe, a wreszcie wiersze, — wiersze bez końca, „wzorowane na Słowackim i Ryszardzie Berwińskim". „Pierwsze słowo niemieckie usłyszałem, mając lat 12; potém oddano mnie do gimnazyum. W szkole byłem leniwy, bo zawsze się czém innéin zajmowałem, ale szło mi dobrze". Po ukończeniu gimnazyum udał się do Berlina na studya. Rozpoczął od architektury i historyi sztuk pięknych, po roku przerzucił się na medycynę głównie dla psychologii fizyologicznéj; po pięciu latach napisał obszerną rozprawę o strukturze mikroskopijnéj rdzenia pacierzowego i kory mózgowéj. Obok tego pracował nad historyą, głównie czasów Napoleońskich, i nad filozofią, głównie Fechnera; redagował pismo polskie, wreszcie „Bóg wie, czegom wtedy nie robił..." Poznał późniejszą swą żonę, „ale—pisze—aby się ożenić, na to trzeba mieć kawałek chleba w ręku, więc zostałem... literatem". Zaczął pisać po niemiecku, bo nie miał żadnych stosunków w Galicyi, tymczasem trzeba było gwałtownie na chléb zarabiać, zresztą miał już pewne nazwisko w Niemczech. „Jestem—kończy Przybyszewski — nawskróś Polakiem, żona Norweżka, ale dzieci po polsku chowane; żonie się trudno po polsku nauczyć, témbardziéj, że dotąd pisałem tylko po niemiecku". W r. 1897 Przybyszewski przyjechał do Krakowa i objął redakcyę „Życia". Wpadł odrazu, jak sam mówi, w wielki wir i chaos. Młodzi przyjęli go z rękami otwartemi, lecz ogół zachował się obojętnie. Większość dotychczas nic nie wie o Przybyszewskim, a niejeden wyśmiewa go i potępia... Zwykły to los reformatorów, z którymi otoczenie nie odrazu pogodzić się może.

Przedtém Przybyszewski wydawał swe dzieła tylko po niemiecku, i one zyskały mu rozgłos w Europie. Wymieniam z nich główniejsze: „Satanskinder" (Dzieci szatana), „Wigilien" (Wigilie), „Todtenmesse" (Msza żałobna), „Homo sapiens" (3 tomowy cykl powieści), „Auf den Wegen der Seele" (Na drogach duszy), „Das Werk von Eduard Munch", „De profundis".—Dzieła te są u nas bardzo mało znane, bo w księgarniach dostać ich nie można, a tłómaczyć je na język

polski Przybyszewski nie pozwala, gdyż ma zamiar sam je na nowo napisać po polsku. Po powrocie do kraju Przybyszewski—jak sam powiedział — „ani słowa po niemiecku nie napiszę“. Z utworów po polsku dotychczas wydał w „Życiu“: „Wigilie”, „Na drogach duszy“, „Androgyne“; a „Jasne nocy” — pieśń II poematu „Nad morzem“ w „Tygodniku Ilustrowanym”; na scenie krakowskiéj był wystawiony dramat „Dla szczęścia”; w rękopisie spoczywa „Rzecz o satanizmie”.

II.

Rozejrzyjmy się w treści. Oto z polskich dzieł Przybyszewskiego najwybitniejsze — „Wigilie”.

Artysta, nie rzemieślnik, nie „głupota zamieniona w mięso“ [1]), lecz artysta wybraniec siedzi w pracowni po bolesnéj stracie żony i kochanki, która go zdradziła. W tém bezgraniczu nieszczęścia i rozpaczy, kiedy zatraca się świadomość czasu i miejsca, gdy wszystko wokół zatacza pijane kręgi, gdy rzeczywistość znika, a wizye rozszalałéj wyobraźni stają na jéj miejscu z przerażającą wyrazistością najdrobniejszych nawet szczegółów,—w tym momencie maluje nam autor swego bohatera, a wybiera tę chwilę dlatego, bo wtedy działa w człowieku wyraźniéj niż kiedykolwiek indziéj naga dusza, rzeczywistość zaś z jéj przypadkowemi cechami znika z przed oczu. — Jak się ta naga dusza nazewnątrz przejawia?

Noc. Pracownia; na ścianach obrazy; przed niemi w rozpacznéj ekstazie, pod bezpośredniém wrażeniem bolesnego rozstania, siedzi nieszczęsny. Księżyc ciska gęste, grube snopy światła do pracowni i w srebrnych zatokach zanurza wszystkie obrazy, z których „ram czołga się ku niemu lubieżna chuć pijanéj hetery”. Czuje, jak mu mózg krwią napływa. Przestaje być czasem i przestrzenią, ograniczoném jestestwem, staje się czystą, nagą duszą, — oczy jego nieśmiertelne docierają do głębi wszechjestestwa. Teraz pojmuje, czego mózg jego pojąć nie mógł. Pojmuje, co dusza jego myślała, gdy ręce bezwiednie tworzyły. I ze wszystkich jego obrazów wyłania się „samica—wola wszechświata...” „A cóż Ty, Jahweh, czemuś mówił: obficie rozmnożę boleści twoje i poczęcia twoje, w boleści rodzić będziesz dzieci, a wola twa poddana będzie mężowi

---

[1]) „Na drogach duszy“.

twemu, a on nad tobą panować będzie... Wstyd Ci, wstyd, bo ponad wszelkim bytem w kłam Twym słowom święci się samica”...

Widzenie na chwilę znika, przeistacza się i powraca. I znów pracownia, znów obrazy, a twórca ich siedzi i myśli, czemu ją kochać musiał. Serce rozpala się wspomnieniem, jaśnieje przebłyskami ognia, co w najtajniejszéj głębi jego istoty się żarzy. I przed oczyma jego duszy długim korowodem przesuwają się obrazy: Zmrok wieczorny w kościele wiejskim. Głęboka cisza. Cisza oczekiwania czai się na sklepieniach i ścianach, cisza w parném upojeniu kadzideł, cisza w głuchym, jakoby podziemnym odgłosie organów... Naraz pęka cisza, ryknęły organy, a z żelaznych objęć oczekiwania wyrywa się pieśń straszna, potężna, pieśń co mury rozpiera i groby rozsadza, pieśń bólu i dnia sądnego: Salve Regina!... — Nowa transfiguracya widzeń. Noc. Iskrzy się niebo. Miliony świateł; światła i światełka piętrzą się w górę. A woń róż rozkwitłych płynie gdyby jaśnienie mgieł w parnéj nocy letniéj. Tłum ludzi, a ponad nimi zwiesza nieszczęście czarne skrzydła upiora... i t. d. Wszystko to jedno od drugiego tak różne, tak rozmaite, ale we wszystkiém brzmi ten sam ton nastroju, ten sam akord, co coraz w inne się formy wciela. „Bo w głębiach duszy przemienia się drżące wzruszenie i nabożna skrucha mrocznych kościołów w miękkie a drobne kształty jéj ciała, a odległe drganie ciszy i westchnień stapia się w cichém zamyśleniu jéj oczu — głucha pieśń smutku i bólu — to tęsknota jéj głosu”. Jeszcze nowy obraz: szeroki step burzanów, pożółkła trawa, spiekłe zielsko. A ten smutek stepów, ta posępna jesień, syta bólu i tęsknoty, ta duma szeroka spieczonych burzanów—to jeszcze ona!.. Wszędzie, we wszystkiém ona. Ją tylko jedną odtwarza wiecznie jego dusza, w każdym kształcie, w każdéj myśli i każdym nastroju. Zanim ją ujrzał, już była w nim, — i jak zorza wieczorna, łagodziła smutek jego duszy, wświecała w niego swe źrenice, z życia jego splatała jaśniejącemi rękoma szerokie dumy jego pól rodzimych. A że była kształtem jego pieśni, barwą i wonią i tonią jego duszy, więc kochać ją musiał... „I kocham cię! Kocham cię, jako moją sztukę, kocham cię, jako całą moją odwieczną przeszłość, kocham cię, jako tchnienie méj ziemi rodzinnéj, jako upojenie i zachwyt kościelnéj zadumy, boś była moją wiosną i mojéj potęgi kwitnącą pychą. I kocham cię jeszcze, boś dała mi cierpienie i tęsknotę,—tęsknotę, co myśli twórcy kojarzy, ręce ku Bogu wyciąga, mózg trawi żądzą poznania,—bolesną a odwieczną tęsknotę bytu, wieczny niepokój a rozkosz. Zapomniałem o tobie, zagasł mi przepych twego ciała, zanikła żądza. Tylko to jedno pozostało,

czém cię pragnąłem, czém cię wypieściłem, czém cię dusza moja przetrawia: tęsknota. Ty, — ty odwieczna kochanko moja!...” I wszystko teraz znikło, wszystko pochłonęła: zdrada — ...rozpacz...

W téj otchłani bólu dusza jego krzyczy za chwilką szczęścia, chociażby zwierzęcego szczęścia. Daremnie! — ból to wieczność, z któréj się wszystko wyłoniło; bólem przemawia wszelka przeszłość, a i w przyszłości nic, prócz bólu... Stłumić ten ból chociażby chwilką tworzenia?—Napróżno!—nie może już pracować. Nie ma już téj tęsknoty artysty, tęsknoty początku, rodzenia, bytu, — inna tęsknota teraz mu duszę nurtuje. Tęsknota za „nią” złamała mu duszę. Każdą chwilę szczęścia przy niéj raz jeszcze w myślach przeżywa.

Jakżeż był wtedy szczęśliwy! A teraz? Kędyż jéj szukać? „Dniu mój, me słońce, światło me, kędyż cię szukać? Oh, jasna moja, święta kochanko, o serce méj duszy! czoło twe oplatam czarnym cierniem méj tęsknoty, otulam cię w głuche opony burz mego życia, sypię na twą jasną główkę gwiaździsty deszcz złotych wspomnień dziecięcych,—„ty...” Lecz tu zgrzyt nagły: „ty, cudzołożnico!...” I wszystko się skończyło... niema już jéj, zostało tylko cierpienie... Lecz oto na kirem pokryte ugory jego duszy spada blada róża, gdy w natłoku cierpień wołał do Ukrzyżowanego: „Dopomóż mi!”

W duszy jego strugami złota prysnęło wschodzące słońce. Uczuł ją w sobie: „Ty we mnie. Ja tobą, tyś mną! Czuję cię w sobie, spoczęłaś we mnie, serce mego serca, duszo méj duszy...” Widzi ją znowu w nagim przepychu jéj ciała, ale jest już mu obca, daleka. „Nie ciebie, z drażniącym niepokojem wiecznych pragnień — potrzebuję, ale ciebie we mnie, ty méj duszy odwieczna kochanko, ty mego serca bezbrzeżna potęgo, ty, krwi méj myśli”.

III.

W „Na drogach duszy” wypowiedziany został pogląd założyciela „modernizmu” na miłość i kobietę,—pogląd ułatwiający zrozumienie „Jasnych nocy”. Według Przybyszewskiego miłość to bolesna, pełna trwogi świadomość nieznanéj strasznéj siły, która dwie dusze rzuca ku sobie i pragnie je zlać w jedno, to intensywne cierpienie, w którém dusza się łamie, „bo czynu Nowego Testamentu, czynu owego stopienia się w jedno, czynu absolutnego androgynizmu dokonać nie może”. Miłość to świadomość strasznéj jakiéjś

głębi, przeczucie jakiegoś otchłannego dna w duszy, na którém życie tysiąca generacyi się przelewa, tysiące wieków ich mąk i udręczeń, ich szał rozrodczy i żądza bytu. A kobiéta—to straszliwa kosmiczna potęga; ona w mężczyźnie obudziła namiętność, przykuła go do siebie podstępną a fałszywą pieszczotą, wydelikaciła jego instynkty, ujęła żywioł jego żądzy w nowe formy, wszczepiła mu w krew jad szatańskiego bólu. Peryferycznie, może miłość być szczęściem. Wszak ona tak cudownie potęguje siły ducha... [1]). Ale prastara, odwieczna dusza oszukać się na długo nie da. Dla niéj, — dla tego potężnego Króla-Ducha, co przeżył wszystkie burze rozwoju, — miłość to wiecznie kolący ból, wieczna zgryzota i męczarnia, wieczne jarzmo niewieście i niemoc zaspokojenia wiecznie głodnych demonów żądzy. Wśród najsilniejszego rozkwitu szczęścia wybucha nagle lawa ognista starego wulkanu, i nadchodzi chwila, w któréj się poznaje, że całe to szczęście szczęściem robaków, które słońce na śmieciach wylęgło: Jest wprawdzie chwila, w któréj kobiéta przestaje być upiorem, wilkołakiem. W bezwzględném oddaniu się jednemu mężczyźnie — jednemu i ostatniemu, zanika wszystko, co w niéj jest brudem i żądzą zniszczenia; jest chwila ta w duszy kobiéty, w któréj siebie i wszystko wokół zapomina i staje bezprzestrzenną i bezczasową istotą. Rzadkie to wszakże, niebywałe prawie chwile... Więc tém czarniejsza właśnie rozpacz mężczyzny, co szuka téj jednéj jedynéj, szuka wszędzie, widzi ją wszędzie i nigdzie znaleźć nie może... I z tego to właśnie wywija się wątek „Jasnych nocy".

Mamy tu najpierw fantastyczną parafrazę z Biblii. On stoi na szczycie duchowéj potęgi, — jest wszechwolą ziemi, przez którą się wiecznie przetwarzała, jest siłą rozdzielającą wody od ziemi, rozumem, który wykréślił dla gwiazd niezmienne tory, sercem wszechświata, jego tętnem i karmią.

On—to właśnie owa prastara, odwieczna dusza wszechistnienia... I on to, gdy kąpał swoje dzieło w białém świetle, gdy roztapiał fale w błękitnych mgłach zmroku, gdy zmęczony dniem gasił światła i otulał ziemię w czarne zgło nocy, gdy jedna wieczność po drugiéj błyskawicą prześliznęła się przez jego duszę, — on wśród ogarniającego go niepokoju uczuł, że jeszcze jedno wielkie pragnienie czeka swego „Stań się!"—Nie było „jéj"—téj drugiéj jego poło-

[1]) „A że byłaś kształtem mojéj pieśni, barwą i wonią i tonią mojéj duszy—musiałem cię kochać" („Wigilie").

wy. Aż wreszcie nadeszła chwila, gdy przeczute tęsknotą słowo miało się stać ciałem. Wola w ramiona swe ujęła wszechświat, w nocy wielkiego cudu błysnął jak słońce piorun słowa, co światy tworzyło i w proch je kruszyło: „Stań się!” — I powstała! A ze źródła jego potęgi spływała bezgraniczna łaska w jéj duszę, spływała, aż moc jéj z mocą jego się zrównała...

A ona? — ona czuje, że jest tylko połową tego kosmicznego „Ja-Ty“. Błądzi samotna, strojna w przepych jego raju, a serce jéj więdnie w tęsknocie, jak kwiat w żarach słońca podzwrotnikowego. W swych snach wyciąga swe blade ręce ku nieznanemu bóstwu, oczy jéj szukają tego bóstwa, którém oddycha w woni swych ogrodów, które pije w pieśniach oceanu. Raz, gdy włosy jéj zmrok morza jaśnieniem bladych gwiazd przeświecają, spada noc z jéj źrenic: ujrzała go na przeciwnym brzegu. Chwilę patrzała zdumiona, przez chwilę rozbłysła łaska jego miłości ognistém słońcem wokół jéj czoła, — i naraz, jakby się roztopiła w zorzach wieczornych, spłynęła w górę. „Tak opada rosa, gdy wiatr poranny przez łąki przewieje. Tak przekwita na brzegu ostatni akord fal, gdy dalekie wiosło trąci o szklistą powierzchnię jeziora.. “

To był początek ich miłości. O tém to rozmyśla „on“, rzucony samotnie wśród świata ogromów. A rzeczywistość?—„Nie byłem, bogiem nie byłem królem, wiem tylko, żeśmy razem na tym brzegu spędzili długie dni szczęścia, błądziliśmy wśród skał po krętych ścieżkach, a w ciemnych przepaściach rwaliśmy rzadki kwiat paproci“. Od téj pory spokoju nie zaznał. Ona — znikła, zagasła, a może umarła, ale on wciąż jeszcze widzi ją na jawie i we śnie, w słonecznych roztoczach i białych oparach mgieł, słyszy jéj głos w huku burzy i rozkołysanéj tęsknocie zasypiającego morza... Widzi ją, słyszy, a znaleźć nie może. I odtąd całe życie jego—to jedno długie jéj poszukiwanie. „Po wszystkich morzach błądziły moje okręty, ale nie mogłem odnaleźć twéj białéj ojczyzny, zbiegłem pół ziemi, ale nie mogłem pochwycić twego wzroku, co w mojéj duszy echem dalekich wspomnień przyświeca...“ A potęga téj miłości wzrasta i wzrasta...

IV.

Co o tém poetyckiém wybujaniu swéj wyobraźni trzyma sam Przybyszewski?—We wspomnianéj rozprawie „Na drogach duszy“, stanowiącéj w osnowie swéj rzeczowéj impresyonistyczne studyum o malarzu Edwardzie Munchu i rzeźbiarzu Gustawie Wigekandzie,

znajduje się również kilka poglądów mistrza na sztukę i artystę. Uzupełnić się to da wyjątkami z jego „Confiteor" (w „Życiu") i artykułu wstępnego w zeszycie 38 „Życia" z r. 1898, skreślonego przy objęciu przez Przybyszewskiego po Sewerze redakcyi tego pisma. Sztuka jest odtworzeniem tego, co jest wieczne, niezależne od zmian lub przypadkowości, niezawisłe ani od czasu, ani od przestrzeni, przeto odtworzeniem istności, to jest „duszy", czy onawe wszechświecie, czy w ludzkości, czy w osobniku się przejawia. Tę istność każdéj rzeczy pochwycić może tylko taki artysta, który idzie — jak i u Cieszkowskiego — „drogami ducha", bo dusza, według modernistów, jest organem obejmującym rzeczy nieskończone i bezobszarowe, organem, w którym spływają się ze sobą niebo i ziemia. „Dusza — to ustawicznie do wnętrza skierowany wzrok, to stan, w którym całe, na milionowe cząstki rozbite życie jednoczy się w jedno wielkie słońce, milionowe członki składają się w jedno olbrzymie ciało, a miliony stuleci stapiają się w jednéj sekundzie".

Dla mózgu istnieje przedmiot tylko w czasie i przestrzeni, dla duszy istnieje bezprzedmiotowa, bezprzestrzenna i bezczasowa istota rzeczy. Niepojęte dla mózgu dokonywa się w duszy, która uwalnia i oczyszcza wszystko z przypadkowości formy, w jakiéj się rzeczy i sprawy mózgowi przedstawiają. Programu żadnego sztuka nie ma i granic żadnych nie zna, jak nie zna ich życie. Wszelki przejaw duszy, niezależnie od tego, czy jest w naszém pojęciu dobry lub zły, jest substratem sztuki; wszystko zależy jedynie od tego, w jaki sposób jest odtworzony. Substrat sztuki istnieje dla nas jedynie ze strony swéj energii, zupełnie niezależnie od tego, czy jest pięknem, brzydotą, czystością, harmonią, rozpasaniem, zbrodnią lub cnotą; jedynym tu sędzią, jedynym kryteryum— stopień potęgi, z jaką dusza na zewnątrz się uwydatnia. A artyści? Artystami są ci, co idąc drogami duszy, składają jéj ofiary niepodzielne, a tworzą tylko w chwilach naintensywniejszego jéj wezbrania, jéj najboleśniejszego wybuchu, „nowi prorocy, pełni łaski mistycy, ogarniający świat nie okiem i uchem, lecz organem duszy"—tajemniczym, syntetyzującym, który widzi tylko rzeczy niepożyte, wieczne i dociera do ich numenów. W duszy takiego artysty niema rozbratu pomiędzy tonem a dźwiękiem. Zupełnie różnorodne uczucia zlewają się w jeden oddźwięk różnowartościowy, muzyka staje się linią, dźwięk zapachem — jak w znanym sonecie Baudelaire'a: „*Les parfums, les couleurs, et les sons se répondent...*" Taki artysta nie jest sługą, ani kierownikiem, nie należy

ani do narodu, ani do świata; nie służy żadnéj idei, ani żadnemu społeczeństwu. Jest on jakoby mag starożytny — „stoi ponad światem, ponad życiem, nie okiełznany żadném prawem, nie ograniczony żadną siłą.” Nie należy wszakże wnioskować z tego, jakoby artysta nie miał żadnego związku ze swym narodem. Naród — to cząstka wieczności; w nim tkwią korzenie artysty, z ziemi rodzinnéj ciągnie on najżywotniejszą swą siłę. W narodzie tkwi artysta, nie w jego przecież polityce, nie w jego zewnętrznych przemianach, tylko w tém, co jest w narodzie wieczne: w jego odrębności od wszystkich innych, rzeczy niezmiennéj i odwiecznéj. Tacy są artyści, — „nieliczna garstka wybranych, w których tradycya czasów przeszłych o świętości myślenia i świętości sztuki żyje silniéj niż kiedykolwiek.”

Przykazanie naczelne, — że artysta odtwarza tylko rzeczy niepożyte, — to, „co odwiecznym strumieniem płynie niezależnie od wszystkich przetwarzań i zmian, od jednego bieguna wieczności do drugiego, bez końca — bez brzegu”, — nie jest bynajmniéj zachętą do jałowego wzlatania w nieskończoność i mimowiednego bujania w sferach nadzmysłowych; jest to przeciwnie usiłowanie i próba zbadania niejako tych sfer, a przynajmniéj tych ich przebłysków, które w świecie zmysłowym, w życiu doczesném, uderzają baczny i niezaślepiony ciasnym materyalizmem umysł. Idzie o rzucenie odblasku światła na owo bezkreśne *mare tenebrarum*, o dokładniejsze przyjrzenie się nieskończonéj, istotnéj treści człowieka.

W najbliższych następstwach tego założenia, Przybyszewski godzi się i schodzi z celniejszymi przedstawicielami tegoczesnéj wiedzy estetycznéj. [1]) Sztuka nie jest reprodukcyą natury. Utwór artystyczny zawiera nie samo życie *au crudo*, lecz jego kwintensencyę, wyprodukowaną w mózgu poety lub plastyka. Im samodzielniejszym będzie artysta, im więcéj ujawni uczucia, inteligencyi, wyobraźni, oraz owego nie dającego się określić dokładnie daru, zwanego talentem, im wyższy obierze punkt widzenia, im szersze ogarnie horyzonty, im głębiéj sięgnie w otchłanie nieskończoności, która nas zewsząd otacza, oraz im oryginalniéj, szczerzéj, dobitniéj, pełniéj, a zarazem treściwiéj, wyrazi to, co czuje, w formach zmysłowych, czyli im większą sumę własnéj energii duchowéj zamknie

---

[1]) Porówn. Miriam: „M. Maeterlinck i jego stanowisko w literaturze belgijskiej i powszechnej“. I. Matuszewski: „Subjektywizm w krytyce“; „Sztuka i społeczeństwo“.

w daném dziele, tém silniejsze, trwalsze wrażenie sprawi na pokrewnych nastrojem umysłach. Głębia więc wewnętrzna, nieskończona, ukryta na dnie, — oto co jest, obok właściwéj naturom poetyckim umiejętności ich oddania, najważniejszym z warunków i najpierwszém ze źródeł piękna poetyckiego. Z upadkiem wszystkich określeń i pojęć absolutnego piękna, a wobec nieodzownéj potrzeby jakiegoś kryteryum przy ocenie dzieł sztuki, ta miara, jako najzgodniejsza ze stwierdzonym faktem wiekuistości tworów geniusza, lecz zarazem ciągłéj ewolucyi form i postaci piękna, zdaje się być jedyném *principium*, odpowiadającém jako tako na tajemnicze: dlaczego — dlaczego to jest piękném, a tamto brzydkiém? czemu jednego zowiemy geniuszem, a drugiego tylko talentem? — i co tym, arcydziełami zwanym tworom geniuszu ludzkiego wiekuiste w świecie piękna zapewnia życie? — Potwierdzenie tego zdania znajdziemy téż u wszystkich wybitniejszych estetyków spółczesnych. Juliusz Zeyer, znany poeta czeski, tak wyjaśnia tę kwestyę: „Każda twórczość artystyczna jest to zdolność do wizyi i do komunikowania tych wizyi otaczającym. Im w wyrazistszéj komu wizyi jawią się rzeczy same w sobie, a więc ich rzeczywista istota i istnienie, to czém są, a nie to tylko czém się wydają powierzchownie zmysłom naszym, tak niedoskonałym; im bardziéj wizyonerskiemi słowy, im z większą potęgą, im intensywniejszemi światłami i cieniami kto tę swą wizyę innym przed duszami wyczarować zdoła; im absolutniéj kto duszami innych owładnie i w swojém kole czarodziejskiém zakląć potrafi, tém większy to artysta poeta. Głębia perspektywy stanowi wielkość sztuki. Suggestya płynąca z przedmiotu dopiero nadaje mu wartość". Ruskin, reformator estetyki w Anglii, powiada: Geniusz prawdziwy zdradza wielkość swą już w samym sposobie traktowania rzeczy: *maximum in minimis*, a wielkość ta zasadza się na umiejętném pochwyceniu charakteru specyficznego danego przedmiotu z uwydatnieniem jednocześnie wszystkich rysów piękna, jakie posiada on wspólnie z wyższemi sferami bytu..."

V.

Bezpośredniém następstwem powyższych poglądów na sztukę przywódcy modernizmu jest — powszechnie rozpoznawane, to znów ogólnie potępiane hasło: sztuka dla sztuki.

W literaturze tegoczesnéj ma ono licznych zwolenników, — ale ma téż i kilku wpływowych oponentów. Przypomnijmy, że nie-

dawno jeszcze Lew Tołstoj w swojéj rozprawie: „Czto takoje iskusstwo?" — usiłował przekonać swych czytelników, że wyłącznym celem sztuki powinno być wzbudzanie uczuć braterskich; dowodził naprzykład, że piękno nie może być zasadą sztuki, a zarazem powstawał na tak zwaną tryadę estetyczną („Piękna, Prawdy i Dobra), gdyż „piękno jest to, co nam się podoba", zaś to, co się nam podoba „bywa przeciwne dobru". „Dobro po większéj części odpowiada zwycięztwu nad namiętnościami, piękno zaś jest podstawą namiętności naszych. Dobro nie daje się określić rozumem: jest tém, co przez nie określonem być nie może, lecz które wszystko określa; prawda zaś oznacza tylko zgodność wyrażenia myśli z rzeczywistością przedmiotu..." — i tak daléj. Inaczéj sprawa ta staje u zwolenników sztuki dla sztuki. Ignacy Matuszewski naprzykład [1]) powiada: „Zkąd mogło powstać pytanie, jaki cel ma sztuka? Szukanie celów i przyczyn istnienia — to właściwość, stanowiąca siłę, ale zarazem i słabość umysłu ludzkiego. To początek wiedzy i źródło absurdów, parodoksów i przesądów". Mierząc świat swoją antropomorficzną miarą, ludzie, ilekroć nie są w stanie odnaleźć celu jakiego zjawiska, narzucają mu cel odpowiadający potrzebom i widokom danéj chwili, — następnie zaś całe wieki muszą pracować nad tém, żeby obalić błąd, który im bardziéj porasta mchem zadawnienia, tém większą zyskuje powagę. Dziedziną, w któréj szukanie celów najwięcéj może wyrodziło poważnych takich pomyłek, jest estetyka, ale nie brak ich nawet nauce. Pomimo stwierdzonéj dziś już pewności, że uczony pracuje tak samo, jak roślina rośnie, jak słońce świeci, popychany wewnętrzną potrzebą, trawiony gorączką, pożerany niepohamowaną ciekawością poznania, to przecież po dziś dzień wyniki jego badań często przerażają społeczeństwo, które w nich widzi groźny zamach na podstawy istniejącego porządku. Czyż trzeba aż do czasów Sokratesa sięgać po przykład, że między nauką czystą, „bezcelową", a społeczeństwem, — zawsze ścigającém jakieś cele, harmonia ustala się niełatwo i nie odrazu, — i że gdyby filozof zamiast hołdować nagiéj prawdzie rachował się zbyt ściśle z wymaganiami i pożądaniami swego otoczenia, nie wyszedłby daleko poza szranki pospolitości, nie zbogaciłby skarbnicy wiedzy cennemi zdobyczami. Owóż, nader ważną analogię pomiędzy sztuką a nauką czystą stanowi pozorna bezużyteczność (w znaczeniu codziennem, ciasnem tego terminu)

---

[1]) „Sztuka i społeczeństwo" 1899 r.

ich wysiłków i dążeń. Jak nauka dąży bezinteresownie do prawdy, tak sztuka — do piękna. Ale prawda i piękno, pojmowane bezwzględnie — to tylko symbole, nie rzeczy konkretne. Piękno i prawda oznaczają pewne aspiracye, drogi, kierunki, któremi ludzkość dążyć musi naprzód pod karą duchowego upadku, zwyrodnienia i zastoju. To, czego ogół nie dojrzy sam w świecie rzeczywistym i w głębi swojego serca, znajdzie w dziełach filozofów, poetów, artystów, którzy pod powłoką materyi dostrzegają ducha, z pozornego bezładu wydobywają porządek, z brzydoty piękno, z chaosu harmonię logiczną albo estetyczną. Skala wrażeń estetycznych człowieka przeciętnego jest bardzo ograniczoną, dopiero artysta uczy go zachwytu, rozwija w nim wrażliwość, rozszerza widnokrąg jego wyobraźni, słowem, potęguje jego życie duchowe. A więc — powie kto może — jest to właśnie cel działalności artysty. Bynajmniéj, — to tylko skutek, który przychodzi sam przez się, jak roślinność wytryska z gruntu, nasyconego promieniami słońca; słońce wcale się o to nie troszczy, świeci, bo świeci, bo swoim ogniem żyje i dla siebie.

To „śpiewanie sobie" — jak się niegdyś jeszcze Kraszewski wyraził, ta służba własnemu bóstwu, czyliż ma oznaczać, że artysta powinien się wyprzéć wszystkiego, co ma związek z życiem społeczném i nie dotykać się wcale tematów politycznych, socyologicznych i etycznych? Ależ wcale nie... Moralność, polityka, historya i życie społeczne w ogólności są takim samym dobrym materyałem, jak psychologia indywidualna, normalna i patologiczna, jak mistyka, jak nastroje i tęsknoty istot nadczułych, jak zbrodnia i cnota, światła i cienie, kolory i linie, dźwięki i rytmy, myśl i materya, słowem wszystko, co jest, co było, będzie—i nawet—być może—czego nie było i nie będzie nigdy na świecie... Istotę dzieła stanowi nie temat, lecz opracowanie, nie surowy materyał, lecz to, co się z niego pod ręką mistrza narodzi. Społeczeństwo samo odszuka i wyssie pokarm duchowy, zawarty w arcydziele; obowiązkiem artysty jest ten pokarm stworzyć: „Rzucamy myśli i formy, tak jak przypływ morza rzuca na brzeg ryby, muszle, meduzy, topielców ..— wy zaś róbcie tak, jak robią rybacy: bierzcie z tego dla siebie, co jadalne, a co niejadalne, poniechajcie..." — tak pisał w „Życiu" w imieniu „Młodéj Polski" Artur Górski. Ponieważ zaś praca twórcza wymaga niesłychanéj koncentracyi myśli i woli, musi więc ona — i tylko ona — być dla artysty celem.

Jako drugie zrzędu następstwo naczelnéj zasady Przybyszewskiego, że „substrat sztuki istnieje dla nas jedynie ze strony [illegible]éj

energii, niezależnie od tego, czy jest dobrém, czy złém" i t. d., — jawi się szereg twierdzeń o niezawisłości sztuki, któréj tak gorąco hołdują moderniści. Jednèm z takich twierdzeń jest i ich pewnik, że sztuka z istoty swéj jest „subjektywną" i „indywidualną". Już romantyzm, zwaliwszy zasadę bezwzględności reguł estetycznych, arystotelesowych i pseudo-arestotelesowych, — zrobił olbrzymi krok naprzód przez to, że za ognisko, zkąd tryskają promienie piękna, uznał nie świat zewnętrzny, lecz samo serce poety. Subjektywizm odniósł odtąd w sztuce bezwarunkowe zwycięztwo nad objektywizmem. Od owéj pamiętnéj doby dzieje literatury powszechnéj przedstawiają ciągły postęp i rozwijanie się zwycięskiego subjektywizmu artystycznego. Wszak jeszcze Rousseau, którego można uważać za ojca kierunku indywidualistycznego w pedagogice i literaturze [1]) szczycił się z tego, że „nie jest takim, jak inni ludzie". „Trzeba być — powiadał — i pozostać sobą, to bowiem, czém się człowiek wyróżnia od reszty, nie zaś to, w czém się do niéj zbliża, stanowi jego wartość". A już w r. 1860 Sainte-Beuve pisał: „Talent nie byłby talentem, gdyby nie był nieprzewidziany, — jeden z pośród wielu, jedyny ze wszystkich". Obecnie subjektywizm, czyli indywidualizm artystyczny, został podniesiony do godności zasady, — boć przecie taki nawet propagator „prawdy realnéj", jak Emil Zola, określając istotę dzieła sztuki, nazywa je „kącikiem natury, widzianym po przez pryzmat temperamentu autora". Świadczy to, że natura daje tylko surowy materyał, z którego dopiero twórczy umysł artysty urabia dzieło. Co do tego, nie ma dzisiaj dwu zdań: i Carrière, i Schasler, i Hartmann, i Veron, i Taine, i Guyau, i Hennequin, i John Ruskin uznają podmiotową naturę wrażeń estetycznych, którym po za granicami ducha ludzkiego nie odpowiada nic realnego.

VI.

Pozatém należałoby jeszcze w kilku słowach scharakteryzować ogólne stanowisko literackie modernizmu wogóle i „Młodéj Polski" poszczególnie. Nie jest to łatwe, gdyż świeży ten nasz „kierunek" pozostaje dopiero jeszcze w swoim „*Sturm und drang—periode*". Żaden z artystów, należących do grona, nie wypowiedział się stanowczo z swojém „wierzę". Poprzestać trzeba na okruchach... i trochę na domysłach. Najnowszy powiew w poezyi i wogóle w literaturze rozpoczął się — jeżeli nie na gruzach, to na

---

[1]) Zob. Spasowicz „Pisma", tom II, str. 69 i nast.

schyłku rozgłośnych, lecz krótkotrwałych tryumfów naturalizmu. [1]) Naturalizm—realizm—pozytywizm—, w początkach swoich zapowiadał się świetnie, — wywierał wpływ potężny głównie bezwzględnością swego skalpelu empirycznego. Naturalizm jednak — według modernistów — to także tylko wyraz — i za szeroki wyraz. Klasycy nazywali poezyę naśladowaniem natury. Rousseau w swéj „Heloizie" sądził, że maluje żywą naturę. Romantycy mieli za hasło zbliżyć się do natury. Nareszcie Zola stworzył realizm radykalny, który nazwano naturalizmem sześciennym, — w trzeciéj potędze, chociaż w Rosyi tenże naturalizm staje się coraz bardziéj metafizycznym i mistycznym. W saméj Francyi wyczerpał się on prędzéj, niż jakikolwiek inny kierunek. Po Balzac'u, Flaubercie, braciach Goncourt wydał on jeden tylko talent, który, co prawda, starczył za kilku. Jest nim Zola, który nie w jedném ze swych dzieł „bezlitośnie rzuca do salonów zmorfinizowanemu mieszczaństwu błoto straszliwéj prawdy, — zgniliznę dzisiejszego społeczeństwa." Okrom Zoli, wszyscy inni tak zwani naturaliści lub półnaturaliści, jak Daudet, Maupassant, Bourget, Huysmans, albo nie zdołali się utrzymać w zasadach mistrza, albo talentu im zbrakło, aby się wydobyć z pod jego przygniatającéj powagi. Naturalizm więc, rzec można, dziś upadł prawie zupełnie. Sam Zola zresztą, o ile jest wielkim, jest nim nie dla swéj zasady i szkoły, ale dla swego talentu. Jeżeli dzieła jego robią na nas wrażenie, toć chyba nie wtedy, gdy nas przytłacza górami nagromadzonych szczegółów, ale wtedy dopiero, kiedy zapomnimy o nich, kiedy wyjdziemy z chaosu jego dekoracyi, kiedy obejmiemy całość jego pomysłu. Bądź co bądź — według modernistów — naturalizm nie ma siły reformatorskiéj i odradzającéj; bo fotografia i statystyka — to bierność. Wiekowi naszemu potrzebny w literaturze kierunek czynny,—kierunek, któryby z chaosu żywiołów, zjawisk i postaci, wyprowadzić umiał syntezę,—któryby, unosząc się po nad wieki i kraje, pragnął— przynajmniéj pragnął stworzyć prawa i zrozumiéć istotę życia i natury. Kilkanaście lat temu rozpoczął się w całéj Europie gorączkowy ruch w poszukiwaniu drogi w tym kierunku. W ruchu zawsze przodująca Francya wzięła udział najżywszy. Tutaj najpierw zaczęli występować młodzi poeci, głoszący przyjście „nowéj dążności", nowéj wiary estetycznéj. Dziennikarscy reporterowie nazwali poezyę ich — poezyą upadku (*décadence*). Twórcy młodéj szkoły

---

[1]) Zob. Antoniego Lange: „Studya z literatury francuskiej".

przyjęli początkowo tę nazwę, — ale sam dekadentyzm przetrwał niedługo, wydając z siebie nową latorośl — symbolizm. Symbolizm znów, zaraz po ukonstytuowaniu się, rozdzielił się na dwa odłamy: impresyonistów z Paul Verlaine'em i symbolistów właściwych ze Stefanem Mallarmé na czele. Zobaczmy, co to jest.

Najpierw, dekadentyzm, aczkolwiek przeżyty, ma jeszcze tu i owdzie swoich wyznawców. Dekadent — to artysta muzyk i rzeźbiarz języka, czciciel sztuki dla sztuki, analizator natchnienia, artyzmu i kreacyi; on rozważa natchnienie, staje wobec niego, niby prosektor, chce uświadomić sobie stan kreacyi. Rzecz prosta, że zamykanie sztuki w tak ciasnych ramach jak wirtuozostwo formy i u ś w i a d o m i e n i e stanu kreacyi, jest obecnie co najmniéj za kosztowne. Z tego téż punktu widzenia Przybyszewski nieraz napadał na sztukę dekadencką. Nie ulega jednak wątpliwości, że z owego refleksyonizmu, czy r a c y o n a l i z m u estetycznego dekadentów, wzięły początek impresyonizm i symbolizm. Impresyonizm, coraz bardziéj zagłębiający się w szczegóły psychiczno-wrażeniowe, utrwala w pieśniach coraz wewnętrzniejsze, coraz bardziéj tajemnicze i nieuchwytne wyobrażenia, a zrywając ze s z t u c z n ą poezyą, chce powrócić do czystéj, naturalnéj, l u d o w é j poezyi. Symbolizm właściwy pragnie, idąc od symbolu do symbolu, szukać i s t o t y natury i życia. Zwraca on uwagę zarówno na formę, jak i na treść. Pod względem treści stwarza symbol, pod względem formy — instrumentacyę muzykalną wiersza. I z tych to dwóch kierunków powstał w czasach ostatnich modernizm. Odbijając i syntetyzując w sobie zadania symbolizmu i impresyonizmu, modernizm, z zasady, — jak widzieliśmy — żadnych programów nie wygłasza, bo — „sztuka ich nie ma”. Nie stanowi téż właściwie żadnego ściśle określonego kierunku, ani zwartéj szkoły. W każdym kraju ma nieco odmienne, lokalne zabarwienie, posiadając po za tém pewne wybitne wspólne dążności, bądź odziedziczone po swych poprzednikach, bądź „wytwarzające się” obecnie. Nasza „młoda Polska” nie przedstawia również żadnéj zorganizowanéj „wspólnoty”. W jedném tylko „Życiu” krakowskiém, dokoła Przybyszewskiego, zgrupowało się kilka młodych talentów silnie związanych ze sobą wspólnemi sympatyami — jeżeli nie dążeniami i przekonaniami. Obok tego jądra każdy z poetów podąża swoją własną, samoistną drogą. Razem z Przybyszewskim pracują: Stanisław Wyrzykowski, Stanisław Wyspiański, Alfred Wysocki, Artur Górski, Stanisław Brzozowski, Maciéj Szukiewicz, Władysław Orkan i inni. Po za nimi, każdy swoim torem, podążają: Kasprowicz, Lange, Prze-

smycki (Miriam), Tetmajer, Rydel, Żuławski, Szczepański, Niemojewski, Jelenta, Marya Komornicka, Adam M-ski, Zdzisław Dębicki i inni.

VII.

Lubo moderniści wyrzekają się z zasady wszelkiéj tendencyi społecznéj, wszelkich programowych widoków oddziaływania na bieg zagadnień moralnych, społecznych i politycznych, doktryna ich nie może pozostać bez wpływu na sprawę dalszego rozwoju, nietylko pod względem umysłowym, ale i faktycznie. Rodzaj i natężenie tego wpływu zależéć będą przedewszystkiém od tego, czy modernizm w pogoni za odzwierciedleniem duszy czystéj, obnażonéj, zdoła odnaleźć w niéj i w sobie tyle dzielności żywotnéj, ażeby choć poruszyć i wstrząsnąć grubą i zastarzałą ową skorupę zastoju, martwoty i fałszu, jaka przytłacza treść tegoczesnych naszych stosunków. A złowroga to skorupa! Znany krytyk i estetyk, Stanisław Krzemiński, w jednéj z ostatnich swych rozpraw [1]) daje nam pod tym względem obraz o barwach nader ciemnych i ponurych, jak gdyby zapożyczonych z palety modernistów.

Bouckle w literaturze naukowéj—powiada w treści — a większość ludzi w swéj samowiedzy nie spostrzegają żadnego postępu moralnego ani w przeszłości dotychczasowéj, ani w warunkach życia tegoczesnego. Rzeczywiście, spójrzmy w zakres obyczajów współczesnych; nie spostrzegamy nigdzie, aby one w czémkolwiek były dziś lepsze od dawniejszych, chociaż są lepiéj ukrywane, niż dawniéj.

Cywilizacya na umoralnienie ich bynajmniéj dodatnio nie wpłynęła i nie wpływa, a może nawet przeciwnie. Szerząc zewnętrzny porządek, „materyalizując niejako ducha”, wprowadza ona i w samo życie mechaniczność, powierzchowność, materyalizm, a taki typ życia do podnoszenia natury ludzkiéj przyczyniać się nie może. Nie lepiéj się dzieje i w życiu społeczném, z którego powstają węzły łączące ludzi, ale téż powstają i jarzma ich tłoczące i pęta,—a pęt tych jest i—o ile obecny tryb i tok zdarzeń potrwa—być musi coraz więcéj, bo życie różniczkuje się coraz bardziéj.

Człowiek, pod wpływem natury żywiołowéj i społecznéj, przedstawia nam się, jako produkt ślepych popędów i kaprysów własnych,

[1]) „Postęp i człowiek“, 1899 r.

a także popędów i kaprysów najbliższego mu kręgu istnienia. Najważniejszym z ujemnych czynników—nawet u wysoko rozwiniętych społeczeństw zachodnich—jest państwo, które wtłacza w człowieka mechaniczność i wymaga tylko spełniania pewnych zewnętrznych czynności.

Skutkiem ścierania się w człowieku natury żywiołowéj ze społeczną, kłamstwo, fałsz i obłuda stają się niemal regułą postępowania. Człowiek w gromadzie — szczerze, organicznie, z własnéj woli obraca się tylko naokoło samego siebie, — żaden ideał od grubych interesów egoizmu go nie oderwie; egoizm jest jedyną siłą rozpędową wielkiéj gromady ludzkiéj. Że zaś egoizm ten starannie bywa ukrywany—ztąd układny, grzecznie upozorowany podstęp—pełnym wszędzie płynie korytem. Wszystko tonie w konwencyonaliźmie od chińskiego gorszym, bo wykwintniejszym. Płytkość, powierzchowność, — rodzić mogą tylko nieszczerość i obłudę. Mieszanina egoizmu, mechaniczności, płytkości — oto specyalna zoologiczna odmiana jestestw w ziemskiéj przyrodzie—odmiana, zwana „filistrem". „Filister — jak się Krzemiński dosadnie wyraża — to tylko dobrze robi, co do komory swéj dla siebie zwieźć może; — wszystko inne fuszeruje: miłość, rodzicielstwo, obowiązki społeczne, naukę, sztukę, uczciwość..." Wszystkie te czynniki składają się obecnie na to, aby rzeczywisty postęp uczynić niemożliwym. Cała dzisiejsza ludzkość z całą swoją cywilizacyą i kulturą wygląda tak samo, jak i za czasów Homera, który człowieka nazywał z istot ziemskich „najnędzniejszą". Wciąż jeszcze i wszędzie—jak przed wiekami, otacza nas dzika puszcza, ryk i jęk, chrzęst i łomot, — walka, rozbijanie i śmierć...

Gdyby moderniści sprawili drobny tylko wyłom w téj twierdzy konwenansowego kłamstwa i obłudy, już by postępowi oddali usługi niepożyte. Dotychczasowy pesymistyczny nastrój niektórych prac modernistów nie powinien nas dziwić, gdyż jest to reakcya owéj ich „czystéj, nagiéj duszy" przeciwko temu, co się naokoło niéj dzieje. Jest to téż—ich zdaniem—dowód przeciwko psychologom-naturalistom, twierdzącym, jakoby dusza miała być tylko *tabula rasa*, na któréj wpływy zewnętrzne wypisują rozmaite wrażenia. Tak być nie może, skoro dusza reaguje na te wszystkie wpływy zewnętrzne. Reakcya ta przejawia się u modernistów w strasznym bezbrzeżnym bólu, i ztąd pesymistyczny nastrój dzieł, usiłujących malować stan duszy. Jeżeli zgodzimy się, — a trudno się nie zgodzić — z twierdzeniem Krzemińskiego, że wokoło nas „wszędzie dzika puszcza, ryk i jęk, chrzęst i łomot, walka, rozbijanie i śmierć",

to nie może nas dziwić niepokój śmiertelny i rozpacz w głębi naszéj duszy.

Grozi to wprawdzie modernistom, że dążąc do stworzenia fenomenologii ducha, mogą zbłądzić i zatopić się tylko w jego patologii...

Ale miejmy nadzieję, że tak nie będzie. Jeżeli dotychczas ta „naga dusza” modernistów objęła tylko piekło wokoło nas, to może, jak się wyraził Przybyszewski—„narodzi się inna, która niebo obejmie”, obejmie jasne, radosne poloty ducha ludzkiego ku prawdzie i szczęściu. W każdym razie, — jakakolwiek przyszłość czeka młodych naszych reformatorów w dziedzinie zagadnień społecznych, ideały ich artystyczne i problematy psychologiczne zasługują raczéj na współczucie i uwzględnienie, niźli na poniewierkę, lekceważenie i szykany, jakie ich na razie spotkały i spotykają po dziś dzień jeszcze.

Stanisław Słoński.



Zjazd 1404 roku w Korczynie

w przedstawieniu Długosza, Kromera i aktów spółczesnych.



Oto, co opiewa tekst Długosza w téj mierze:

„Dla obmyślenia wypłaty czterdziestu tysięcy florenów mistrzowi i zakonowi pruskiemu za wolność i wykup obiecany ziemi Dobrzyńskiéj, Władysław, król polski, z Torunia ustąpiwszy i w ziemiach Wielkopolski całe lato spędziwszy, kazał zwołać sejmiki (conventus particulares), aby na nich cała szlachta ze swoich prywatnych dochodów (de suis privatis introitibus) uchwaliła podatek pieniężny na uiszczenie rzeczonego okupu. Z ziem zaś Wielkopolski ustępując w jesieni (in autumno) w Nowém Mieście Korczynie na dzień św. Marcina złożył sejm walny całego królestwa (totius regni sui generalem diaetam), na którym za wszystkich prałatów, baronów i rycerstwa całego państwa wolą (gratificatio) i zgodą, uchwalono na wykup ziemi Dobrzyńskiéj: z każdego łanu obsiadłego (laneo possesso) po dwanaście groszy (za włączeniem zwykłych dwu królewskich) królowi zapłacić, w taki jednak sposób, żeby tego rodzaju dobrowolny podatek nie przesądził praw i wolności szlachty, ani téż na przyszłość nie przekształcił w konieczny obowiązek (ad debiti necessitatem). Zatém zaczęto sam podatek wybiérać i na ręce poborców, wyznaczonych (deputatorum) przez Władysława króla polskiego, po miastach główniejszych składać. Warunki bytu

(pro conditione) osadników (colonorum) i wsi (villarum), oraz uczciwość poborców sprawiły, że, po zrobieniu rachunku, podatek doszedł do stu tysięcy grzywien".

Jakkolwiek daty i miejsca pobytu Jagiełły, od czasu wyjazdu z Raciąża do czasu przybycia na zjazd w Korczynie 1404 r. nie stanowią zupełnego spisu i nie wyjaśniają całego „dróżnika" królewskiego (itinerarium) w wskazanym okresie roku, to jednak już te niedokładne dane, które podajemy dobywają, na jaw pewną niezgodę między opowieścią Długosza a współczesnych dyplomatów wskazówkami.

Oto ten wykaz chronologiczny i topograficzny podróży Jagiełły.

23 maja	1404 r.	jest	w Raciążu	(Dogiel IV str. 78).
27 „	„	„	w Toruniu	(Rzyszcz i Muczkow II str. 819).
2 czerwca	„	„	w Łęczycy	(Raczyń Cod. M. P. str. 263—5).
15 sierpnia	„	„	w Ostrzeszowie	(Korytkow. Prał. i kanon. k. m. Gniezn IV str. 25).
22 „	„	„	w Wiślicy	(Mogilski str. 93).
29 „	„	„	w Korczynie	(Rzyszcz i Muczk. I str. 286).
1 września	„	„	„	(Helcel Star. Pom. Pr. Pol. II № 1807 Kod. m. Krakowa I str. 357).
8 paździer.	„	„	we Lwowie	(Akt Grodz. i Ziem II st. 51—52).
11 „	„	„	w Gródku	(A. G. Z. X. № 35).
11 listopada	„	„	w Korczynie	(Rzyszcz i Muczk. II str 369—370).

Jakkolwiek bardzo niedokładny, ułamkowy, niewystarczający do wykreślenia ścisłego obrazu wędrówki Jagiełły, ma przecie ten spis tyle szczegółów autentycznych, że na ich podstawie możemy uznać za fałszywe określenie Długosza: in terris Maioris Poloniae in autumno discedens.

Widoczną jest rzeczą, że w ciągu tygodnia trzeciego (15—22) sierpnia Jagiełło opuścił Ostrzeszów wielkopolski dla małopolskiéj Wiślicy, w początkach września bawi w Małopolsce, a do Korczyna na św. Marcin wracać się zdaje z Rusi Czerwonéj. Zaczém całego lata nie spędził Jagiełło (jak chce Długosz) w Wielkopolsce i z niéj do Korczyna, na jesieni, nie przybył.

Ten jeden punkt niezgody ustaliwszy między tekstem XV wieku a źródłami pierwszorzędnemi, zwracamy uwagę na drugi objaw niezgody ich.

Długosz sumę wykupu oznacza na 40000 i wspomina tylko ziemię Dobrzyńską, tymczasem akty spółczesne 10 czerwca 1405 r., jak to wiedział Gołębiowski (Panowanie Władysława Jagiełły 1846,

str. 116), mówią i o Złotoryi; sumę wykupu oznaczają na 60000 florenów węgierskich i 2400 kup groszy pragskich.

Przemilczamy już, jak dalece układy raciąskie u Długosza mają szczuplejszą treść od... źródłowych (tamże, Gołębiowski).

Conventus particulares agi ordinavit mówi Długosz. Kromer objaśnia et particularibus conventibus habitis, qui tunc primum haberi, propter novam rem, ceperunt.

Tekst uchwały podatkowéj z 11 listopada 1404 r. zawiéra wyrażenie: matura consiliorum deliberatione prehabita.

Jest to jedyny ustęp tekstu współczesnego, na którym Długosz mógł osnuć swoje wyrażenie (con. particul. agi ordinavit) o stosunkach 1404 r., jeżeli nie było odrębnego, dziś zaginionego edyktu, zwołującego owe conventus particulares i używającego niezwykłego terminu technicznego, zamiast consilium, consilia.

Wyznać trzeba, że zwrot: matura consiliorum deliberatione prehabita, jest niezwykły. Jest to plurale, wskazujące wyraźnie znaczną ilość odbytych „narad", czego np. nie daje (tylko domyślnie) przywilej 1388 *maturo* super eisdem habito consilio et tractatu.

I istotnie, jestto bodaj unikat... jeżeli consiliorum nie jest mylném odczytaniem, zamiast consiliariorum [1]). Wszakże, nawet uznając niezwykłość wyrażenia w liczbie mnogiéj użytego, na oznaczenie możebnych, nietylko w tym razie, wielokrotnych, zrazu niezgodnych, obrad; jesteśmy bodaj w prawie zapytać, czy koniecznie częstość consiliorum, z tego plurale wynikająca, ma w temże plurale także wskazówkę różności miejsc, kędy te consilia się odbywają, coby wyrażenie Długosza conventus particulares (zjazdy prowincyonalne ziemskie, w różnych dzielnicach przed ogólnym zjazdem w Korczynie odbyte) usprawiedliwiało? Naszém zdaniem, wyraz consilia dopuszcza tylko znaczenie wielości obrad. Wszelka mowa o różnych miejscowościach, kędy się te liczne obrady odbywały, jest oparta na ...nieusprawiedliwioném ogólną praktyką językową, rozwinięciu dosłownego znaczenia plurale: consilia.

Jeżeli będziemy zresztą szukali analogii dla faktu częstości obrad w jednym przedmiocie, to w uchwale dotyczącéj ustanowienia najwyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim przez Kazimierza Wielkiego — znajdujemy wykaz dostojników kościelnych, różnego stopnia, daléj świeckich, rycerzy i szlachty, nakoniec raj-

---

[1]) Por. 1350 consilio habito cum quibusdam nostris consiliariis (Małopolski I str. 274) 1404 w Toruniu per consiliarios l. regni (Rzyszcz. Muczk. II 819).

ców, wójtów, ławników miejskich i sołtysów, oraz oficyalistów wiejskich, którzy składają radzący nad ową instytucyą synodum, conventionem et consilium. Z tych trzech wyrazów możnaby wywnioskować istnienie zgromadzenia kleru (synod) świeckich dygnitarzy i szlachty (conventio) i stanu trzeciego (? consilium), w trzech odrębnych izbach, toczących szczegółowe obrady (de quorum singulorum consilio), a potém wspólnie (omnium et s. c.), za radą i zgodą wspomnionych wszech asesorów (de consilio et consensu praedictorum omnium assessorum nostrorum), ostateczny przywilej redagujących i pieczęci zawieszeniem stwierdzających. I wogóle, trzeba chyba przypuścić, że za Jagiełły, jak teraz, do zgody odrazu niedochodziło, i gorące oraz częste rozprawy, choćby w téj saméj materyi, toczyć się musiały. To consilia mogą wyrażać. Ale téż nic więcéj.

Gdyby te już dwie (pora i consilia różnomiejscowe) wytknięte sprzeczności Długosza z tekstami dyplomatów nie budziły zarzutów przeciw jego wykładowi (conventus particulares) wyrazu consilia z 1404 r., to dalsze uwagi porównawcze nad tekstem Długosza i przywileju z 1404 r. okażą nam taki między niemi rozdźwięk, że ufność w omówienie Długoszowe (conventus particulares) przywilejowego consilia będzie musiała zmaléć; trudno bowiem będzie uzasadnić rzetelność kronikarza w tym jednym punkcie, gdy wszędzie okazał się niedokładnym.

Dlugosz mówi, że szlachta ma uchwalić podatek de suis privatis introitibus.

Przywilej 1404 roku, wyrażając się quilibet kmethonum de villis eorum de quolibet laneo seu manso possesso nic innego nie miał na myśli, jeno dochody prywatne, to jest poc'odzące z ich majątków, na których siedzieli kmiecie czynszowi. Po za czynszami, innych dochodów prywatnych np. z handlu, pod postacią ceł, z sądów sołtysich, wójcich i t. p. przywilej nie obciąża. A tylko w tym razie uogólnienie Długoszowe miałoby racyę.

Jeżeli zważymy, że przywilej orzeka, iż podatek tylko hoc anno et sub scripto na wykup ziemi ma się pobrać po 5 skotów czyli dziesięć groszy z łanu, bez ujmy na przyszłość, i że szlachty contra privilegia et jura ipsorum ad ulteriores solutiones (praeterquam ad solutionem duorum grossorum de quolibet laneo possesso juxta descriptionem in aliis privilegiis per nos factis anno quolibet faciendum) cogere et arcere nolumnus, racione seu aliquo colore, wbrew danym przywilejom, do innego podatku nie będzie pociągało się, prócz 2 groszy z łanu co roku;—zaś Długosz twierdzi, że de quolibet laneo possesso duodecim grossi (usualibus duobus regalibus inclusis)

Regi solverentur, że po 12 groszy z łanu, włączywszy zwykłe 2 grosze, miało się 1404 r. płacić: to znajdziemy między oboma tekstami poważną różnicę.

Wedle przywileju, na ten jeden rok, za skryptem, król weźmie po 10 groszy z łanu. Wedle Długosza, weźmie 2 zwykłe i nadto 10 groszy.

Z tego, jego punktu widzenia, dopiero wyjaśnia się sens de privatis introitibus, nieznanych przywilejowi, tylko Długoszowi.

Opłaty czynszowe, po opłacie 2 groszy corocznych, stanowiły wyłączną, wolną od wszelkich opłat publicznych własność szlachty. Co pozostało od tych 2 groszy z czynszu łanowego, to już było prywatnym dochodem. Przypuściwszy: „ferto" tego czynszu z jednego łanu (12 groszy), będziemy mieli w różnicy (12 — 2) między tym wiardunkiem (dochodem ogólnym z jednego łanu), a podatkiem królewskim, dwu groszy z łanu, zapłaconym: sumę dochodu (10 groszy), niewątpliwego, wolnego od wszelkich pretensyi. Długosz, włączając 2 grosze królewszczyzny zwykłéj do 10 groszy wyjątkowéj na rok 1404 opłaty z łanu, uważał, że owe 10 groszy z 1404 r. ciążą na dochodzie, (pozostałym z łanu od spłaty królewszczyzny) dotąd nietykalnym, osobistym.

Takiego jednak wykładu rzeczy wyraźny tekst przywileju nie dopuszcza. Najwyraźniéj na ten jeden rok czynsz podniesiono do 10 groszy. I to ma nie obalać przywilei i praw „co do przyszłych opłat" tylko do 2 groszy obowiązujących. To ma się znaczyć, że na ten rok 1404 zniesiono opłatę 2 groszy, wprowadzając natomiast inną, ale lat następnych znowu wróci norma przyjęta, dwugroszowa.

Ponieważ przywileje z r. 1386 i 1388 uwolniły od opłaty dwu groszy: sołtysów, służbę, młynarzy, karczmarzy i zagrodników pól nieuprawiających, a w przywileju 1404 r. o nich wcale mowy niema, pytanie o to, czy te kategorye obciążono 1404 roku, jest bezprzedmiotowe.

Przychodzi ostatni punkt tekstu Długosza. Coepit subventio exigi et in manus collectorum a Wladislaw .. deputatorum in civitatibus principalioribus consignari.

Tekst 1404 r. ma ad manus ipsorum et per ipsorum electorum dare et solvere debent irrecuse.

Wyrażenie przywilejów nie jest dość jasne, bo zdaje się wskazywać na istnienie nowego sposobu poboru. Szlachta ma zbiérać podatek do rąk własnych i nadto jacyś przez nich „obrani". Tym sposobem powstałaby sprzeczność nietylko między tekstem przywilei i Dłu-

gosza, ale i z ogólnym systemem dokonywania poboru przez delegatów królewskich.

Otóż w edykcie z 23/11 1422 Niepołomskim, dotyczącym usunięcia fałszywéj monety, (Akt. Grodz. i Ziems. IX, str. 34), czytamy o składaniu fałszywych pieniędzy po miastach (apportare ad deputatos seu deputnddos in dictis civitatibus huiusmodi *electores*, którzy debebunt pecunia *eligere* et bonos a malis separare na ręce osobnych delegatów, nazwanych „wybieraczami" (electores) dlatego, że wybierają monetę fałszywą. W Płocku 1442 r. jest elector cerevisiae (Acta Capitulor ed Ulanowski, str. 897 Nr. 339), co także nie może oznaczać człowieka, obranego przez piwo, lecz pobierającego piwo (podatek lub w naturze).

To użycie wyrazu electorum w znaczeniu poborcy, (elector), w stosunku do pieniędzy, nie zaś w znaczeniu tém (electus), jakoby 1404 raz pierwszy i jedyny szlachta sama obrała z swego łona poborców, zastępując przez nich poborców królewskich, ten raz jedyny w poborze jedynego podatku — nakazuje i frazes 1404 ad manus ipsorum et per ipsos electorum dare tłómaczyć odpowiednio. Zawsze, pod względem składniowym, nawet w razie przekładu „do rąk ich i przez nich wybranych" opuszczony wyraz ad manus musiémy powtórzyć domyślnie (et ad manus per ipsos electorum). Dosyć ten drugi wyraz domyślny ad manus, położyć po per ipsos (przez szlachtę) ad manus electorum (do rąk poborców), by frazes się wyjaśnił i otrzymało się zgodę z ogólną praktyką, już za Kazimierza „II Wielkiego" istniejącą. [1])

Zdaje się zresztą, że określając tak ważny przywiléj, jak obieranie przez naród poborców, użytoby w akcie 1404 r. dokładniejszych, jaśniejszych wyrażeń i przynajmniéj całego zdania, podnoszącego ważność choćby doraźnéj téj instytucyi (jak 1249, 1255 r.).

Nawiasem, już w zakończeniu, powiemy, że fidelitas exoctorum 1404 wychwalana przez Długosza, niezupełnie zgadzać się zdaje z prawdą. Tak Iwo z Radzymina, marszałek dobrzyński, cierpiał 1408 sądowie z racyi zaboru tego podatku 1404 (por. Rozpr. i pos. wydz. fil. hist. Akad. um. XXI str. 328—330), podobnie jak kole-

---

[1]) 1357 Mathieson kanonik krakowski, 1365 Stefan collector exaccionum regalium, 1360 exactores et collectores pecuniarum nostrarum et exaccionum regalium (Małopolski III, str. 109—110, Małopolski I, str. 329 i 300).

ktorzy łęczyccy w 1412 r. (Sejmiki Pawińskiego, str. 4 Nr. 3—6 dodatki).

Tak zbijając prawdomówność tekstu Długosza, do oceny tekstu Kromera zacytujemy ogólnie rozprawę *dr. L. Finkiela* o tym historyku, dowodzącą, że Kromer „albo sam się łudził swoją oryginalnością, albo innych zwodził, że nietylko korzystał w sposób niedozwolony (wedle naszych przynajmniéj pojęć) z Długosza, ale nawet szedł za nim... niewolniczo, częstokroć biorąc z treścią nawet słowa, nawet formę". Z tego zdania wypływa wniosek, że Kromer tylko silniéj akcentował stylowo, powiększał dowolnie peryfrazy w streszczeniu aktu z 1404 r., dokonane przez Długosza. Domysł zaś, by Kromer, korzystający istotnie pierwszy z dyplomatów (jak to przyznaje Finkiel), w swoim tekście opierał się na jakimś zaginionym edykcie, zwołującym sejmiki 1404 r., rozbija się o spostrzeżenie Finkiela, że jeżeli Długosz nie dał do tego pohopu, by wsunąć jakiś dokument, to „inaczéj dokument dla Kromera był bez wartości". Tego wsunięcia l. c. u Kromera niema.

Z całości wywodów naszych, dotychczasowych, płynie jedna myśl zasadnicza, że jedyném i prawdziwém żródłem wiadomości o uchwałach podatkowych roku 1404 może być, nie Długosz, lecz akt z 1404 r. dotąd znany, i wielokrotnie z Długoszem sprzeczne inne wskazówki dokumentowe.

Co zatém idzie, z usunięciem opowieści Długosza, ginie kataklizmowy, gwałtownie nowy charakter zjazdu 1404 r. w Korczynie odbytego.

Przeciw temu zdaniu mogłoby świadczyć concilium generale sieradzkie z 2 lutego 1399 r., uchwalające dokument, w którym jest zaświadczony byt skarbu ziemskiego i ziemskich poborców (sejmików ziemskich), wogóle samorządu fiskalnego (Sejmiki, str. XXXVII, Nr. 119 por. str. 10), bo i uchwalony jest podatek miejscowy.

W Tece Pawińskiego (IV Nr. 4635, 4879, III Nr. 2114) jest sprawa z 1393 skarbnika łęczyckiego, Dersława Tłuk zwanego, z Pietraszem de Scoszewi (habuit szmowę cum Derslao, posłan po penądze przy achacz et non venit), mogąca dotyczyć nierzetelności kolektora w złożeniu zebranego podatku podskarbiemu. Gdyby nasz domysł był prawdziwym, to sejmiki prowincyonalne fiskalne wyprzedziłyby Długoszowe conventus provinciales i uzasadniłyby je. Profesor Pawiński nawet przypuszczał, że 1399 roku może

sejmik sieradzki działał z inicyatywy króla, i jako jeden z wielu. [1])

Toby kwadrowało tylko z naszą hypotezą o powolnym rozwoju sejmów, sejmików... ich atrybucyj, domagającą się autentycznych, współczesnych dowodów (Takim Długosz dla 1404 r. nie jest) dla każdéj fazy i objawu tego rozwoju.

W téj téż hypotezie, takie tesaurum terrestre, sieradzkie, sprawa łęczycka (hypotetycznie) nie są objawami, niespodzianie zjawiającemi się, wybuchami nagle wzbierającego ruchu autonomicznego po ziemstwach, w centralitycznem dotąd państwie Jagiełłów. Takiém państwém najprzód ówczesna Polska nie była i ruch odśrodkowy istniejący w XV wieku nie jest czémś nowém, jeno przekształceniem rzeczy dawniéj istniejącéj, lubo w innéj lub szczuplejszéj formie. Jest to ewolucya nie nowatorstwo.

Zważmy, że oprócz Wawrzyńca skarbnika sieradzkiego, niegdyś książęcego (1358 Małop. III str. 123) Deresław Tłuk łęczycki znany jest 1393, kujawski skarbnik 1394 (Rzyszcz. II, str. 264—5). Ogólnego statutu dla tych ziem Kazimierz W. nie uchwalił (wcieleniem byłoby to tych egzarchii do kompleksu), jakkolwiek podobnego zamiaru na zjeździe w Sulejowie 1350 r. Piekosiński się domyśla [2]). Dziwnym trafem i kanclerstwa lubo fikcyjne i tytularne tych ziem mają Libri benef. Długosza. Połączywszy te trzy fakty, moglibyśmy przypuścić, że podskarbiostwo, niedoszły statut, i kanclerstwa, wraz ze skarbcem ziemskim świadczą o niezupełném zmedyatyzowaniu tych księztw, tak że na pozostałościach dawnych form, możebnych tylko w państwach samodzielnych, rozwijały się, potém, odrębności już tylko „ziemskie", tak przekształcone z musu, w państwie ogólném, którego częścią księztwa one zostały.

W Małopolsce podskarbstwa (kanclerstwa) krakowskie i sandomierskie, przy silniejszéj unifikacyi, przeszły w ogólny urząd państwowy królewski. Lecz i tu o gwałtownym przewrocie autonomicznym, np. fiskalnym, mowy być nie może, jak téż jéj niema w niezależności fiskalnéj monarchy od... narodu.

Już pod r. 1249 Bolesław Rogatka, szląski i polski, więc chwilowy piastun hegemonii Szląsku po Brodatym i Pobożnym w Le-

---

[1]) Convencio w Brześciu de edicto regio. (Paw. Sejmiki str. XXXII, Nr. 96).

[2]) Uwagi nad Ustawodawstwem Kaź. W 1891, str. 16—17. Na str. 64 do Nr. 81 dodać 3-ci dokument circa m. Sulejow in colloquio celebrato F IV infra 8-o Pent. (Kod. Mazowiecki str. 341—2 Nr. 6).

chii (mówiąc po Lelewelowsku), wypowiada, okolicznościowo, zasadę, że bez zgody biskupa (wrocławskiego) i baronów, uznającéj daniny (collectas sive exactiones) ogólne lub szczególne za sprawiedliwe (nisi justas) i na pożytek oraz z potrzeby ziemi wychodzące— (pro utilitate terrae et necessitate) — innych nie wyda. (Kod. Wielkopolski Nr. 598). Inaczéj mówiąc, wpływ dygnitarzy, baronów, duchownych i świeckich, w lat 34 po Magna Charta Libertatum angielskiéj — w sprawie uchwalania podatków — jest uznany za obowiązujący przez monarchę w Polsce. Bolesław t. zw. Wstydliwy, krakowsko-sandomierski 1255 roku w Szydłowie, również ubocznie, przyznaje zasadę przyzwolenia rady baronów na uchwałę: „solucyę" na ziemię nakładającą, na korzyść księcia (Małopolski I, str. 47). Lelewel Pol. Wiek śred. III i 58—9).

Pewna liczba przywilei lokacyjnych Kazimierza Wielkiego, sprzedaż sołectw warunkująca potrzebą kraju i zgodą baronów [1]), może porównawczo być tu wspomnianą jako ślad powyższéj zasady z 1249 i 1255, ślad bardzo słaby, podobnie jak pożyczanie... za rękojmią baronów, j e ż e l i też długi, niby prywatnie przez króla zaciągnięte, miały służyć (jak Karolowi I angielskiemu) za środek nieżądania zgody baronów na... podatki. (Lecz to?!!)

W każdym razie, przyznając nawet dokumentowi korczyńskiemu z 1404 r. wartość powrotu, na punkcie fiskalnym, do zasad 1249 i 1255, powrotu — po b a r d z o d ł u g i é j p r z e r w i e, (prawie, że mogącéj zatrzéć pamięć tradycyi), musimy jeszcze o znaczeniu tego dokumentu... terytoryalném, (że tak się wyrazimy) zauważyć, że przywiléj 1386 korczyński (Archiwum Sławuckie II, str. 77) był rozsyłany pojedyńczym rodom (jak egzemplarz sławucki: istudr privilegium est datum genealogie Trota dicta) w licznych kopiach.
i... że przywiléj z 1404 widział Gołębiowski w bibliotece puławskiéj w d w u egzemplarzach, zkąd wznosił, że „tak podchlebnéj swobody znać, że kilka przywilejów (t. j. egzemplarzy) wydano" (Panow. Wład. Jag., str. 116 n. 219).

Uchwały piotrkowskie 1406 r. lubo nie podatków, ale dziesięcin dotyczą, w § 2 zastrzegają wystawienie odrębnych zobowiązań, każde z przywieszonemi pieczęciami, „każdéj genealogii" (jak 1388 r.), a egzemplarz tych uchwał zachowany — ma ślady pochodzenia li dobrzyńskiego! (Cod. XV sec. I, str. 26, 29). Czy byłoby

---

[1]) Np. Kod. Wielkopolski Nr. 1378, Małopolski III, str. 50 Rzyszcz. Muczk. II str. 274 (701).

mogło być ich więcéj, genealogicznych tylko czy prowincyonalnych? [1]).

Czy wogóle wielość ta egzemplarzy nie jest dowodem lokalnéj wartości pierwotnego aktu, przez ilość kopii podnoszonéj do stopnia aktu ogólniejszego?

Wówczas, zachodziłoby także pytanie, czy uchwała z 1404 r. jako korczyńska, zamiast być ogólną, wszechpańswową, nie dotyczy tylko ziem małopolskich? po za ich obręb nie sięga? Czy w Wielkopolsce zapadły odpowiednie uchwały? Zdaje się, że przy istniejącym separatyzmie prowincyi (por. Janka z Czarnkowa) w w. XIV, niepodobna sądzić, by uchwała korczyńska obowiązywała eo ipso Wielkopolskę. Powiedzielibyśmy toż samo o Kujawach, Łęczycy, Sieradzkiém. Czy odnośne uchwały dla tych ziem, podobne do korczyńskiej, wykryją się kiedy?

Tych kilka luźnych — nawet nie uwag, ale zapytań, nie wyczerpują przedmiotu, choć ograniczonego do aktu z 1404 r. Tém bardziéj, nie zakładamy sobie pretensyi do rozstrzygnięcia czegośkolwiek. Cała nadzieja, że ktoś kompetentniejszy zechce z tego punktu widzenia jaki staraliśmy się wskazać, kwestyę rozpatrzéć.

Streszczono z pracy większej z sierpnia 1897 r.

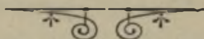
Ernest Sulimczyk Swieżawski.



[1]) Przypominamy pewną liczbę spraw (por. Sejmiki 27, 28)... rozstrzyganą... przez zatwierdzenie genealogij (pieczęci lub delegatów). Czyby też istniała oscylacya między pojęciem genealogii i prowincyi?

MICKIEWICZ I PUSZKIN

jako bajroniści.



Widzieliśmy falę wrażenia, wywołanego w Puszkinie przez „Don Juana", w kilku lirykach pisanych niedługo po rozpoczęciu „Oniegina". Zwróćmy się teraz do tego poematu, aby na nim zmierzyć to wrażenie i prześledzić bajronizm jego od początku aż do końca.

Jeżeli w „Jeńcu" i „Fontannie" głównym tonem, który Puszkin przejmował od Bajrona, był ton namiętnéj miłości, nie zawsze szczęśliwie przeszczepiony z „Korsarza" i „Giaura", to w „Onieginie", który początkiem swoim jest wcześniejszy od „Cyganów", głównym tonem przejętym od Bajrona był ton poczucia wyższości poety nad otaczającą sferą, ironii w traktowaniu ludzi i przesytu życiem i używaniem. Ten ton był wzięty z piérwszych pieśni „Don Juana", a po części z „Beppa", krótkiego poematu Bajrona, który był niejako przegrywką do „Don Juana". Sam poeta, wydając piérwszy rozdział „Oniegina" w r. 1825, pisał w przedmowie, że „przypomina ona „Beppa", żartobliwy utwór ponurego Bajrona". Co się tyczy „Don Juana", to jak już wiemy, Puszkin jeszcze na parę lat przedtém nazywał „Oniegina" romansem w rodzaju „Don Juana". Sam tedy spostrzegał w początkach pisania swojéj powieści, że do jéj pomysłu pobudzony został tym utworem bajrońskim,

i składał wyznanie podobne do tego, jakie uczynił Mickiewicz w początkach pisania „Pana Tadeusza".

„Oniegin" w twórczości Puszkina zajmuje wyjątkowe stanowisko. Właściwością tego poety było, że przed rozpoczęciem poematu układał w głównych rysach plan jego i w brulionach jego zachowało się wiele takich planów, czasem po dwa i po trzy do jednéj powieści. Do „Oniegina", pomimo iż to był utwór jego największy, niema w brulionach ani śladu jakiegokolwiek planu. Puszkin rozpoczynał swój poemat, nie wiedząc i nie troszcząc się o to, jak on się daléj rozwinie, niby wyjeżdżał na wycieczkę, nie wiedząc jak daleko i dokąd zajedzie. Sam w zakończeniu pematu przyznaje się do tego, że w chwili, gdy po raz pierwszy stanęły w jego wyobraźni postacie bohatera i bohaterki, „perspektywa swobodnego romansu skroś kryształ magiczny niejasno mu się przedstawiała". Przyczyną tego naprzód był wzór, który miał przed oczami, pierwsze pieśni „Don Juana," z których mógł poznać, że w tym poemacie więcéj niż gdzieindziéj fantazya poety nie miała przed sobą z góry wytkniętego planu i jak galera bez steru puszczoną była na wolę wiatrów chwilowego natchnienia. Zresztą spostrzegał, że nietylko w „Don Juanie", ale i w innych poematach Bajrona, plan odgrywał rolę bardzo podrzędną. Czytamy w notatce jego z r. 1827: „Bajron mało dbał o plany swoich utworów, albo nawet wcale nie myślał o nich. Kilka scen słabo z sobą związanych wystarczało mu, ażeby w nich zawrzéć bezdeń myśli, uczuć i obrazów" (V 49). I Puszkinowi, gdy zabierał się do pisania „Oniegina", nie wiele chodziło o fabułę, o układ jéj, o rozwiązanie; to wszystko zostawiał późniéjszemu natchnieniu. Chodziło mu przedewszystkiém o to, aby wyrazić swój nowy nastrój duszy, swoje nowe poglądy na życie, swój stosunek do społeczeństwa rosyjskiego. Wypływało to niewątpliwie z głęboko odczutéj potrzeby wylania na zewnątrz tego, co w nim nurtowało, i dlatego to tworzenie „Oniegina" sprawiało mu nadzwyczajną przyjemność, jak to widać z listu do Delwiga z 16-go listopada 1823 r. (VII 59); ale po części zapewne wypływało z chęci błyśnięcia przed tém społeczeństwem nowo sprawionym płaszczem bajrońskim. Sam poeta zdaje się z lekka przyznawać do téj ostatniéj intencyi, wspominając w pięć lat po rozpoczęciu „Oniegina", w siódméj pieśni (strofa XXIV), o Haroldowym płaszczu bohatera. Nazwa o tyle nie była słuszną, że to nie Harold bezpośrednio pobudził Puszkina do stworzenia „Oniegina", o tyle zaś słuszną, że wpływ „Don Juana" nie usunął, nie wytrawił w Puszkinie wpływu „Harolda", ale się w jakiś amalgamat z tym

ostatnim skojarzył, jak to będziemy mieli późniéj sposobność zobaczyć.

Jakiż jest bohater, w którego Puszkin wcielał siebie, swój nowy nastrój, nowy pogląd na życie i społeczeństwo? Eugeniusz Oniegin jest to lew salonowy, którego znudziło powodzenie miłosne, znudziły książki, i który zwysoka z ironią spogląda na życie, z pogardą na ludzi; w stosunku do „Beppa" i „Don Juana" nie jest on naśladowaniem bohaterów bajrońskich, ale samego poety angielskiego, o ile on od siebie przemawia w tych poematach. Puszkin starał się wprawdzie (dla przyzwoitości) odgraniczyć siebie od „Oniegina", ale odgraniczenie to tak słabe, że postać autora zlewa się ciągle z postacią bohatera. Czy jednak Puszkin był w saméj rzeczy takim pesymistą i egoistą, bardzo znudzonym i przesyconym człowiekiem, jakim przedstawił Oniegina?

Powiedziałem już wyżéj, że w naturze Puszkina była pewna dwoistość: wielka siła żądz przy chłodnéj analizie. Tylko tę ostatnią brał z siebie Puszkin i wkładał w „Oniegina", zresztą z natury nie był podobny do niego. Ale chciał być takim, jak „Oniegin", to był jego ideał, wyraz nastroju jego ducha pod wpływem poezyi bajrońskiéj; w „Oniegina" zatém, który był skrojony według znanéj nam już recepty, danéj przez Puszkina bratu, wcielał raczéj swój ideał, niż samego siebie.

Ten swój ideał przedstawiał na tle współczesnego życia rosyjskiego, oświetlonego z wysokości owego ideału, i to nadawało doniosłe znaczenie poematowi. Stawał się on po części tém, czém były „Dziady", po części, czém był „Pan Tadeusz" w poezyi Mickiewicza, to jest i obrazem ducha poety w pewnéj jego fazie i obrazem społeczeństwa w pewnym okresie.

Jakim był ówczesny nastrój poety, wcielony w postać „Oniegina", to już wiemy; co się tyczy obrazu społeczeństwa, to ten stanowił kontrast z postacią bohatera i służył niejako do uzasadnienia jego pogardy dla ludzi, poczucia wyższości i odosobnienia. Niesłychanie płytkiém przedstawia się tu życie społeczeństwa. W pierwszéj pieśni za tło dla znudzonogo bohatera służy petersburskie życie, balowe, teatralne i restauracyjne, które Puszkin znał doskonale, które z wielką plastyką i wielkiém zamiłowaniem przedstawił, tak że ironia pożyczona z „Don Juana" czy „Beppa" często znika w tym opisie, i poeta wpada w naiwny zachwyt np. kiedy mówi o pięknych nóżkach. Ale życie petersburskie nie jest jeszcze tém tłem, które ma stanowić rażący kontrast z bohaterem; tém tłem jest głuche, pleśnią pokryte życie prowincyonalne, którego obraz w dal-

szych roztacza się pieśniach. Znudzonego lwa petersburskiego wzywa jakiś wuj umierający na wieś, do swego majątku, który ma przejść na niego w spadku. Oniegin przyjeżdża, zastaje wuja na marach i z potrzeby czy z kaprysu osiada na jakiś czas we wsi odziedziczonéj. Sąsiedzi, ludzie staroświeccy, patrzą na niego jak na dziwaka i podejrzanego farmazona; nie może on żyć z tymi, którzy nie potrafią mówić o czém innéra, jak o sprzęcie siana, wódce psach, wreszcie o swoich krewnych.

Ale niebawem znajduje w tym głuchym zakątku towarzysza, w którego towarzystwie czas mu przyjemnie schodzi. Włodzimierz Lenski, ów towarzysz, jest zupełném przeciwieństwem Oniegina; jest to młodzieniec z „duszą prawdziwie gettyngeńską", który w mglistéj Germanii się kształcił, przejął się filozofią Kanta, poezyą romantyków niemieckich i wogóle idealizmem romantycznym. Charakterystyka Lenskiego bardzo przypomina koło wileńskich filaretów, o których Puszkin nic jeszcze wtedy nie mógł wiedzieć, z których przedstawicielem miał się dopiéro we trzy lata potém spotkać. Oto co pisał o Lenskim: „On wierzył, że jest dusza pokrewna, — która się z nim złączyć powinna — I że w smutnéj tęsknocie — Codzień go wyczekuje — I wierzył w siłę przyjaźni — Gotowéj podjąć za niego kajdany—... Wierzył, że nieśmiertelna rodzina — Takich przyjaciół wybranych losem — Nieodpartemi promieniami — Kiedyś nas wszystkich ozłoci — I świat obdarzy szczęściem". Nie sąż to te same myśli, które znajdujemy w młodzieńczych utworach Mickiewicza:

> Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
> Ktoś co do mnie myślami wzajemnemi wzlata.

albo znów:

> Oto miłość ogniem zionie,
> Wyjdzie z zamętu świat ducha,
> Młodość go pocznie na swojem łonie,
> A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

I Lenski był poetą, którego pieśń była jasna — „Jak myśli dziewicy, jak sen dziecięcia, jak księżyc w pustyniach nieba". Jednérn słowem, idealizm niemiecki, przedewszystkiém szyllerowski, dla którego sam Puszkin pozostał obojętny, który w jego poezyi nie zostawił śladu, starał się wcielić w postać Lenskiego, aby go przeciwstawić bajronizmowi, albo raczéj pewnym tonom bajronizmu, do których nastrajał postać Oniegina, pokrewną własnéj duszy. Ten

pomysł świadczy, że poeta już nie był niewolniczym naśladowcą Bajrona, że samodzielnie starał się zestawiać pessymizm bajroński z optymizmem szyllerowskim. Ale jakkolwiek sympatycznie przedstawił Lenskiego, przecież widocznie przechylił się na stronę drugiego bohatera, „Oniegina”, i jego pesymizmowi przyznawał wyższość. Mickiewicz w „Collège de France” powiedział, że Lenski wyobraża jedną epokę z życia Puszkina [1]) i w śmierci Lenskiego od kuli pojedynkowéj widział jakby przepowiednię śmierci jego twórcy. Ale Puszkin, jak słusznie twierdzi Spasowicz, brał wzór do Lenskiego nie z siebie w jakiéjkolwiek dobie życia, ale z młodego. poety, przyjaciela i kolegi carskosielskiego, który się nazywał Küchelbeker, należał do sprzysiężenia grudniowców i skazany został na dwadzieścia lat ciężkich robót. Ta okoliczność nasuwa inne ważne pytanie, dotyczące Oniegina. Społeczeństwo, przedstawione w tym poemacie, znajdowało się od kilku lat pod wpływem propagandy literackiéj, która ogarniała, jak świadczy Mickiewicz [2]) młodzież rosyjską i która miała bardzo prędko doprowadzić do katastrofy 14 grudnia. Czy Puszkin, kreśląc obraz społeczeństwa rosyjskiego, zaznaczył ten ówczesny znamienny rys jego, czy wprowadził do poematu reprezentanta téj młodzieży? Wyraźnie tego nie uczynił; ale jeżeli która z postaci poematu ma prawo reprezentować ową młodzież, to tylko Lenski, a jego śmierć w pojedynku była nie tyle przepowiednią śmierci samego poety, ile symbolicznym obrazem téj katastrofy, która właśnie w czasach kreślenia sceny pojedynku spotkała ową młodzież. Okoliczność, że Küchelbeker służył za wzór Puszkinowi do nakreślenia postaci Lenskiego, nadaje tém więcéj słuszności temu poglądowi.

Obok dwu typów męskich, stanowiących kontrast, już w drugiéj pieśni „Oniegina” wystąpiły dwa typy dziewicze, także kontrastowo przedstawione: Olga, dziewczyna żywa, miła, wesoła, i jéj siostra, Tatiana, zamyślona, marząca, stroniąca od ludzi. Między dwiema parami zawiązuje się romans. Lenski kocha Olgę i jest już jéj narzeczonym, Tatiana pokochała Oniegina, znalazłszy w nim swój ideał. Romans rozwija się i rozwiązuje na przestrzeni czterech dalszych rozdziałów, pisanych jeszcze na wygnaniu, ale już nie w Odessie, tylko w Michajłowskiém, wśród innych warunków, wśród wiejskiéj ciszy i otoczenia takiego włośnie, które było odpo-

---

[1]) Literatura słowiańska. Poznan, 1865, II, 310.

[2]) Tamże, 314.

wiednim modelem do obrazu prowincyonalnego życia. Niemałą téż rolę, jak wogóle w twórczości Puszkina, tak i w téj części poematu odegrała jego niańka, Aryna, którą zastawał w Michajłowskiém, a która, jak niegdyś w dzieciństwie, tak i teraz stała się pośredniczką pomiędzy nim a sferą ludowego życia i ludowéj poezyi. Ją to niewątpliwie przedstawił w postaci niańki Tatiany i w tén sposób na tle dworskiego życia w „Onieginie” wprowadził pierwiastek ludowy. Wogóle, poemat w téj części środkowéj nabierał wiele rodzinnego kolorytu, pomimo, iż bohater nie zrzucał z siebie płaszcza bajrońskiego. Ale i teraz jeszcze Puszkin nie wiedział, jak pokieruje swoim bohaterem. Z początku, jak świadczy pewien waryant z trzeciego rozdziału, chciał w nim odrazu wzbudzić miłość, a przynajmniéj zajęcie się Tatianą; potém zmienił ten plan i wystawił Oniegina wspaniałomyślnie obojętnym wobec rozmarzonéj dziewczyny, która mu listownie ofiarowała swoją miłość i która potém głęboko odczuła naukę daną sobie przez niego. Ale ten sam lew, wspaniałomyślny wobec ofiary, która sama wpadła w jego szpony, kierowany kaprysem, chwilową przekorą, zwraca na chwilę zaloty do narzeczonéj Lenskiego, wywołuje pojedynek i w tym pojedynku kładzie trupem przyjaciela. Tylko fałszywe uczucie honoru nie pozwala mu wyciągnąć ręki do przyjaciola i wskazać całą niedorzeczność pojedynku. Jest to najlepszy probierz wartości moralnéj ideału, wcielonego w postać Oniegina. Ale kreśląc scenę pojedynku w r. 1826 już sam Puszkin zapatrywał się na Oniegina nie jako na swój ideał i sprowadzał go z wyżyn bajronizmu na poziom bardzo nizki. W Puszkinie wówczas odbywała się w tym względzie ewolucya, po części może pod wpływem grudniowych wypadków i ich następstw, po części pod wpływem komedyi Grybojedowa „Gore ot uma”. Dziwno mi, że obrońcy „Oniegina”, do których poniekąd należy i Spasowicz, nie zwrócili uwagi na to, że jakkolwiek nadzwyczajna wrażliwość na opinię ludzką, którą Puszkin wkładał w „Oniegina“, była jednym z wybitnych rysów jego własnego charakteru, stanowczo przecież potępił ten rys w Onieginie. Oto jak rozmyślał przed pojedynkiem bohater, gardzący ludźmi. Potrzeba było inaczéj postąpić, rzecz całą wyjaśnić; „ale teraz już późno, już nie czas... A przytém do sprawy wmieszał się stary rębacz, zły, plotkarz, gadatliwy... Naturalnie, należało by gardzić tém, coby mówił, ale szepty, ale śmiechy głupców... — I oto, woła poeta, opinia publiczna! — Sprężyna honoru, nasze bóstwo! — Oto oś, na któréj świat się obraca!”

Można powiedzieć, że z końcem szóstego rozdziału następuje przełom donżuanizmu w „Onieginie". W dwóch ostatnich rozdziałach, pisanych w ciągu lat czterech (1827—1831) przeważnie w stolicach, wśród odzyskanéj swobody ruchu, „Oniegin" schodzi na plan drugi, traci swój demoniczno-olśniewający urok, jego płaszcz Haroldowy bardzo już wyszarzany; główną rolę w poemacie obejmuje Tatiana. W pytaniach, które ona zadaje sobie, studyując charakter Oniegina po jego odjeździe ze wsi, słyszymy pytania samego poety. Nie jest że on parodyą? zapytuje Tatiana, a w tém pytaniu maluje się wątpliwość samego Puszkina. Pięć lat upłynęło od czasu, kiedy nakreślił postać „Demona" i ustalił charakterystykę bohatera swego poematu; ileż wody upłynęło przez ten czas, ileż doświadczeń, a między niemi groźnych, wstrząsających, przetoczyło się po jego duszy, ileż nowych horyzontów, tak z lektury, jak i z obcowania z ludźmi, otwarło się przed nim. Znał już wtedy i Mickiewicza, w którego postaci zmartwychwstawał przed nim zabity Lenski, przedstawiciel szyllerowskiego idealizmu, tylko jak niepodobny do Küchelbekera, jak tryumfująco przeobrażony. To wszystko nie pozostało bez wpływu na świat poglądów i uczuć Puszkina. Ale choć bohater jego znacznie staniał w jego oczach, czuł przecież, że wyrzec się solidarności z nim nie może, bo bajronizm był prądem, który silnie wstrząsnął duchem Puszkina i zostawił w nim niezatarte ślady. Pomimo téj solidarności, zakończył poemat upokorzeniem bohatera, krytyką donjuanizmu i demonizmu wcielonego w „Oniegina". Tatiana, wywieziona przez matkę do Moskwy, zgadza się zostać żoną starego i bogatego generała; z dzikiéj, rozmarzonéj dziewczyny staje się wielka pani, obdarzona wielką dystynkcyą i spokojem, i taka dopiero, jako owoc zakazany i salonową świetnością błyszczący, wzbudza namiętną żądzę w Onieginie. Jak ona niegdyś do niego, tak teraz on do niéj pisze list z wyznaniem miłcści, i jak ona od niego, tak on od niéj otrzymuje w odpowiedzi naukę: Oddała rękę innemu i będzie mu całe życie wierną.

W tém zakończeniu jest wiele symetryi, ale samo zakończenie jest zaprzeczeniem nietylko całego donjuanizmu Puszkina, ale i całéj jego przeszłości poetyckiéj, począwszy od poezyi licealnéj: wszędzie tam wiarołomność małżeńska rozgrzeszaną była w imię zmysłowéj miłości.

Niewątpliwie, rozpoczynając swój poemat, Puszkin ani przypuszczał, żeby on się w ten sposób miał zakończyć, a myślę, że jeszcze w przedostatnim rozdziale nie wiedział dobrze, jak pokieruje odnowionym romansem Oniegina z Tatianą. Ale w życiu Puszki-

na, gdy kończył poemat, zaszła ważna zmiana a wraz z nią i zmiana w poglądach. Puszkin był już wtedy narzeczonym, miał zostać wkrótce mężem jednéj z najpiękniejszych kobiet w Rosyi. Koniec zadziwiał krytyków, nawet Mickiewiczowi wydał się prozaicznym, a jednak był on naturalnym w poemacie, w którym poeta kreślił po części historyę swego ducha, swoich poglądów, swoich pragnień.

Zakończenie Oniegina szczególnie rażąco odbija się od zakończenia innego utworu Puszkina, p. t. „Graf Nulin". Mała ta powiastka, przypominająca trochę „Beppa", więcéj nowele Boccacia, miała być, jak świadczy sam Puszkin, parodyą Lukrecyi Szekspirowskiéj (V, 194).

Żona w nieobecności męża, nagabywana przez gościa—uwodziciela, daje temu ostatniemu policzek i w ten sposób uwalnia się od niego. Nadjeżdża mąż, żona najspokojniéj przedstawia nieznanego mężowi gościa, a mąż gościnny, nie wiedząc co zaszło, usiłuje go zatrzymać. Gość wyrywa się i odjeżdża, i dopiero wtedy żona opowiada mężowi i całemu sąsiedztwu o postępku hrabiego Nulina i o zapłacie, jaką otrzymał. Któż się najwięcéj śmiał z tego wypadku? zapytuje poeta. Mąż? Nie, mąż się mocno złościł i chciał nawet dopędzić Nulina. Śmiał się najwięcéj ich młody sąsiad Lidin. W tém jest epigramatyczne ostrze powiastki, zwrócone przeciw wierności małżeńskiéj kobiét. Ale „Graf Nulin" pisany był w kilka lat przed ożenieniem się Puszkina, jeszcze w Michajłowskiém 1825 r., w czasach blizkich stosunków z p. Kern, przy któréj Puszkin chciał odegrać rolę sąsiada Lidina.

Ostatniém echem bajronizmu w poezyi Puszkina jest inna powiastka wierszem, „Domek w Kołomnie", rzecz pisana pod koniec 1830 r., już wtedy właśnie, gdy Puszkin zjeżdżał z torów hulaszczego kawalerstwa na spokojne, a raczéj obiecujące spokój tory małżeńskie- życia i kiedy utrzymywał, że „il n'est de bonheur que dans les vies communes" (VII 260). Było to jakby pożegnanie z kawalerskiém życiem i z bajronizmem. Ale co z bajronizmu w téj powiastce pozostało? Nic, prócz zewnętrznéj powłoki („Domek" pisany oktawą), prócz popisu rymotwórczém wirtuozostwem w rodzaju Bajrona i pewnéj skandaliczności motywu, podanéj zresztą tak, aby niczém salonowéj przyzwoitości nie obrazić. Był to zapewne bajronizm zastosowany do smaku i wyobrażeń narzeczonéj poety i jéj rodziny, a w kilku strofach, w porównaniu prostéj Paraszy z dumną hrabiną, była tam i jakby nauka dla przyszłéj żony.

III.

Wpływ Bajrona u Mickiewicza zaczyna się późniéj niż u Puszkina, pada na inny temperament, na grunt inaczéj przygotowany i inaczéj się objawia. Ani w balladach, ani w „Dziadach" (część II i IV), ani w „Grażynie" nigdzie go nie widać. Wprawdzie „brytanomania" Mickiewicza zaczęła się jeszcze w r. 1821, ale nie od Bajrona, tylko od Szekspira. Na początku r. 1822 pisał do Malewskiego do Berlina, że „cisnął się z dykcyonarzem w ręku przez Szekspira, jak bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igiełki", „za to teraz—dodawał—Byron idzie daleko łatwiéj i już bardzo znacznie postąpiłem".

Mickiewicz do końca życia zachował cześć dla Bajrona, ale w późniejszych czasach pociągało go ku niemu nie to, co w samych początkach znajomienia się z jego poezyą: pociągał go prąd liberalny, szczerość uczuć, tytaniczność zapędów; nawet w czasach towianizmu Bajron nie stracił był w oczach Mickiewicza całkowicie wartości: pociągała go jeszcze ku niemu zgodność życia z poezyą „chęć zbliżenia ideału do rzeczywistości" [1]). W początkach bajrońskiego wpływu najsilniejszym magnesem dla Mickiewicza w poezyi Bajrona były okresy miłości, posępnéj i potężnéj, przepalającéj piersi jego bohaterów, bo w tych obrazach odnajdował rysy i barwy własnych uczuć. Dlatego to tak mu podobał się „Giaur", że już w Wilnie zaczął go tłómaczyć (skończył daleko późniéj), dlatego w nieskończonéj rozprawie o Göthem i Byronie (z czasów wileńskich) podnosił namiętność bohaterów Bajrona, mówiąc o niéj, że przybiera „charakter posępnego i w sobie zamkniętego żalu". Pomimo jednak tego duchowego pokrewieństwa swego z bohaterami Bajrona, nie rzucał się do naśladowania Giaurów i Korsarzy, poprzestawał tylko na tłómaczeniu; czynił więc zupełnie inaczéj, niż Puszkin, który pomimo braku tego pokrewieństwa w pierwszych swoich bajronicznych poematach naśladował ową posępną namiętność i to dość niefortunnie.

W miarę wczytywania się w Bajrona, oddziaływał na Mickiewicza i pesymizm bajroński. Tak pod koniec 1822 r. pisał do Malewskiego: „Bajrona tylko czytam, książkę, gdzie w innym duchu pisano, rzucam, bo kłamstwa nie lubię, gdzie jest opis szczęścia, życia familijnego, równie mnie oburza, jak widok małżeństw, dzieci".

---

[1]) Literatura Słowiańska, III. 24.

(Korr. I, 5). Ale i ten pesymizm nie pobudził twórczości poety. U Puszkina z pesymizmu donjuańskiego urodził się Oniegin, Mickiewicz poprzestał znowu na przekładach (Pożegnanie z Childe-Harolda, Eutanazya, Sen, Ciemność) i na drobnym oryginalnym wierszu „Majtek", który zresztą w pierwszéj tylko swéj połowie nosi cechę pesymizmu bajrońskiego. Mickiewicz karmił się poezyą bajrońską, ale powoli ją przetrawiał, powoli asymilował jéj różne pierwiastki, nie zrywając się do tworzenia.

I w sonetach miłosnych wpływ bajronizmu miga tylko tu i owdzie, jak np. w „Strzelcu", który ma oczy Kaina i gorzko się uśmiecha, albo w „Rezygnacyi", gdzie poeta serce swoje przyrównywa „do dawnéj świątyni — Spustoszałéj niepogód i czasów koleją — Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją". W „Sonetach Krymskich" wpływ Bajrona nie zaznacza się niczém, chyba tylko oryentalizmem, który zresztą wypływał z samego przedmiotu; Bajron mógł tylko ośmielać i zachęcać Mickiewicza do wprowadzenia lokalnego kolorytu, do obfitego używania nazw oryentalnych i zwrotów.—Co się tyczy stosunku „Sonetów Krymskich" do „Fontanny Bachczyseraju", to trzeba pamiętać, że „Fontanna" była pisaną na 4 lata przed wyściem „Sonetów", a drukowaną 1824 r. na rok przed podróżą krymską Mickiewicza i że otaczając urokiem poezyi Krym i jego pamiątki, mogła być jedną z pobudek do téj podróży. Że Mickiewicz znał ten poemat przed wydaniem „Sonetów", świadczą o tém własne jego przypisy do pierwszego wydania. Ale jeżeli jaki wpływ wywarła ta poezya, to ślady jego są bardzo nikłe. Dostrzedz je można tylko w pewnéj grupie sonetów, którąby nazwać można bachczyserajską („Bagczesaraj", „Bagczesaraj w nocy", „Grób Potockiéj" i „Mogiły haremu"), które przedmiotem są pokrewne „Fontannie".

Wogóle poezya krymska Mickiewicza zasadniczo różni się od takiéjże poezyi Puszkina i pod względem formy i pod względem treści. Tu forma sonetu, tam powieści bajrońskiéj. Co się tyczy treści, mianowicie kierunku uczuć, Puszkin opiewał Krym nie dlatego, żeby nie widział piękniejszych i wspanialszych widoków, bo już przedtém oglądał góry Kaukazu, ale dlatego, że z Krymem wiązały go wspomnienia miłosne, czystsze od poprzednich, że tam, na jakiś czas przynajmniéj, zostawił serce swoje i głównie miłość dla Katarzyna Rajewskiéj, która mu opowiedziała podanie o Kerim Giraju, pobudziła go do napisania poematu krymskiego. Mickiewicz zostawał w innym stosunku do Krymu i do grobowca Potockiéj. Upajał się chwilowo wdziękami przyrody krymskiéj, która była dla niego

czémś w rodzaju odaliski wschodniéj, ale sercowego węzła pomiędzy nim a tą przyrodą nie było. Kiedy Puszkin wzdychał „do wesołych brzegów Salhiry", Mickiewicza serce „z krainy dostatków i krasy" uciekało „w dalekie okolice i niestety! jeszcze dalsze czasy". I stosunek do podania o brance polskiéj był inny. Puszkin wprawdzie przedstawił ją w idealnych barwach, ale nie mogła ona mieć dla niego tego znaczenia, co dla polskiego poety, któremu dawała sposobność do wynurzenia tęsknoty za krajem.

Widocznym staje się bajronizm poezyi Mickiewicza dopiero w „Wallenrodzie" i tu najlepiéj okazuje się różnica pomiędzy wpływem Bajrona na Puszkina, a wpływem na Mickiewicza. W rozprawie o Göthem i Bajronie Mickiewicz, zwracając uwagę na to, że „pienia Bajrona przemówiły do wielkiéj masy europejskiéj i utworzyły naśladowców", dodaje: „Tak struna uderzana pobudza głos w innych, milczących, ale podobnie nastrojonych strunach". Ażeby należycie ocenić całą trafność tego pięknego porównania, trzeba je rozwinąć. Lira bajrońska, jak już wskazywałem, była wielostrunną, Bajron grał na całym szeregu strun i budził echa we współczesném i następném pokoleniu poetów europejskich; ale nie wszystkie jego struny budziły echa w lutniach innych poetów. Te lutnie były rozmaicie nastrojone i stosownie do swego nastroju odpowiadały echem tylko na pewne tony bajrońskiéj poezyi, na inne pozostawały głuche, albo przynajmniéj bardzo słabo je powtarzały. Otóż zupełnie inaczéj były nastrojone lutnie czyli dane dwu największych poeów słowiańszczyzny, kiedy je potrącił prąd bajronizmu; inny był temperament, inne wpływy otoczenia w czasach dzieciństwa i pierwszéj młodości. Puszkin z dzieciństwa, jak to wiemy z własnych jego notatek, wyniósł wiele przykrych wrażeń i nigdyby go nazwać nie mógł, jak nazwał Mickiewicz swoje dzieciństwo, „sielskiém, anielskiém".

U Puszkina w życiu szkolném i jego poezyi licealnéj na pierwszy plan wysuwa się zmysłowość, podniecana poezyą francuską XVIII wieku; w sferze studenckiéj Mickiewicza kwitnie idealizm, skrystalizowany w teoryi Zana o promienistéj miłości i przyjaźni. Tajemnym talentom licealnym albo otwartym huzarskim, w których Puszkin i jego towarzysze biorą udział, w sferze wileńskiéj odpowiadają majówki Promienistych, sielankowo-patryotyczne albo imieninowe zgromadzenia, gdzie największa ochoczość piętrzy się zawsze w stronę wysokich ideałów. Haseł: „nauka i cnota" nie słychać w koleżeńskiém gronie Puszkina, natomiast powtarza się ciągle błogie lenistwo, jako koło epikurejskiego i poetycznego życia.

W Puszkinie odezwały się różne tony bajrońskie: melancholia, poczucie piękna przyrody, miłość, liberalizm, arystokratyzm, a silniéj od tych tonów: przesyt, ironia, poczucie wyższości nad światem i donjuanizm. Ale dwie struny, które w poezyi Bajrona brzmią z ogromną siłą, bez których straciłaby ona przynajmniéj połowę swéj potęgi, to jest heroizm i prometeizm, co ostatecznie da się sprowadzić do jednego pojęcia, te struny nie wywołały echa w poezyi Puszkina, bo nie znalazły w jego duszy odpowiedniego nastroju. Zupełnie inaczéj u Mickiewicza. Ani przesyt, ani pogarda dla świata, ani donjuanizm nie oddźwiękły w duszy Mickiewicza, bo nie znalazły tam strun pokrewnie nastrojonych, natomiast zachwycał ją i pobudzał heroizm, i to tak w poezyi bajrońskiéj, jak i w jego życiu, a to dlatego, że dusza jego rozmaitemi wpływami ku temu była nastrojoną.

Z wpływów literackich obok Stryjkowskiego zaznaczyć trzeba naprzód Niemcewicza „Śpiewy historyczne", które były niczém inném, tylko uwielbieniem bohaterskich czynów przodków, potém poezyę Schillera, w któréj kult bohaterów stanowi rys wybitny. To téż heroizm od pierwszych lat młodości przenikał duszę poety, „budził go ze snu tryumf „Milcyada", jak wiemy z IV części „Dziadów", czuć tchnienie jego już w pierwszym znanym jego wierszu: „Już się z pogodnych niebios", tętni z całą siłą w „Odzie do młodości", objawia się w „Żywili" i „Grażynie". W „Dziadach" (IV cz.), jak to sam poeta zaznacza, heroizm ustępuje miejsca gorączce miłosnéj, która w szaleństwie swojém ma niekiedy akcenta heroiczne. I oto spotyka się z poezyą Bajrona, w któréj jednym z tonów najsilniejszych jest heroizm.

Heroizmu nie odziedziczył Bajron ani po Walterze, ani po Russie, miał go z siebie, ze swego dumnego indywidualizmu, ze swego wojowniczego temperamentu i wcielił go w szereg postaci, które wyglądają nieraz jak rozbójnicy, ale których grunt duszy jest bohaterski, bo sam poeta wcielał się w te postaci. Jeżeli zaś jako przedstawiciel ludzkości zwracał się ku wyższym potęgom, heroizm ten nabierał charakteru prometeizmu. A jak wcielal swój heroizm w urojone postaci, tak wielbił wszędzie bohaterów historycznych w owych wylewach lirycznych, któremi przepełnione są jego poematy, szczególnie „Childe-Harold" i „Don-Juan". Jakie te wylewy sprawiały wrażenie na Mickiewiczu, widać to z listu jego do Malewskiego z Rzymu w grudniu 1829 r.: „O Rzymie trudno pisać. Byron jak Horacyusz Cocles, wielkim krokiem most na Tybrze zajął: *ingenti gradu occupavit pontem*. (Korr. I, 53).

Otóż heroizm jest duszą „Konrada Wallenroda". To, co Mickiewicz powiedział o pokrewnych strunach, że się odezwały na głos poezyi bajrońskiéj, da się w ten sposób zastosować do „Wallenroda", że w nim na ten głos odezwała się struna heroizmu, oddawna w sercu Mickiewicza napięta. Poeta w różnych miejscach poematu kładzie nacisk na ten heroizm, na wielkość przedsięwzięcia Konrada. Już w III rozdziale, w rozmowie Konrada z Aldoną, słyszymy uwielbienie dla heroizmu Wallenroda w tych słowach Aldony:

Teraz i skowronki o nic was nie proszę,
Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi.

Cześć dla heroizmu występuje daléj w pieśni Wajdeloty, która w pierwotnym planie miała być przygrywką do całego poematu, występuje mianowicie w końcowym ustępie, gdzie Wajdelota, a właściwie sam poeta, pragnie „własne ognie przelać w piersi współbraci" i wskrzesić bohaterskie postaci przeszłości tak, iżby ci słuchacze:

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

I w dalszych czterech wierszach, gdzie jest mowa o „mężu wielkim, żywym, niedalekim", jest nacisk położony na bohaterstwo Konrada. Ale najgodniejszą uwagi w tym względzie jest scena przedśmiertna, kiedy Konrad wypija truciznę i podaje czaszę nieprzyjacielowi.

Ale zobaczmy, o ile Wallenrod podobny jest do bohaterów Bajrona. Wszyscy oni, Childe-Harold, Korsarz, Giaur, Lara, Manfred i inni przedstawiają właściwie jeden typ ludzki, ludzi dumnych, zamkniętych w sobie, posępnych i pełnych goryczy. Wallenrod, podobnie jak oni, jest dumny, zamknięty w sobie, posępny i gorzki i jak oni osłonięty tajemniczością. Charakterystyka Wallenroda, podana w pierwszym rozdziale poematu, ma wiele rysów bajronicznych. Żeby się o tém przekonać, dość jest zestawić parę odpowiednich ustępów z „Wallenroda i Childe-Harolda. Oto, jak Mickiewicz opisuje swego bohatera:

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem? bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia.

Trudno odgadnąć: zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie,
Były to rzadkie chwile zapomnienia....

Przypomina to następującą charakterystykę Childe-Harolda (pieśń I, strofa 84): „Nieczuły spektator, nie mięszał się z tłumem, ale nie zawsze nań spoglądał z nienawiścią mizantropa. Możeby nieraz pragnął wziąć udział w tańcach, gdyby los, który mu serce przygniatał, pozwolił mu uśmiechnąć się".

Konrad podobnie jak Harold przygrywa na lutni i nigdy jak tamten weselnych tonów z niéj nie dobywa:

I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.

Zwracano nieraz uwagę na bajroniczność postaci Wallenroda. Spasowicz (w znakomitém studyum o „Konradzie Wallenrodzie" [1]) powiada: „Wpływ Byrona na Mickiewicza był wielki, każdemu widoczny, namacalny. Uwydatnił on się wyraźnie w Wallenrodzie..." Wszakże Spasowicz sądzi (w tém samém studyum str. 149), że podobieństwo Wallenroda do typowych bohaterów Bajrona jest bardzo powierzchowne, nie sięga daléj „niż powłoka, niż kolor, cera twarzy". Na to określenie niezupełnie można się pisać, bo cera twarzy to nie jest rzecz powierzchowna, to nie jest blansz albo róż, ale jak może świadczyć o chorobie lub zdrowiu organizmu, tak zostaje w ścisłym związku z temperamentem człowieka. I w istocie zachodzi podobieństwo temperamentów i to tak między Wallenrodem a całym szeregiem bohaterów bajrońskich, jak między Mickiewiczem a Bajronem. Ale po za tém idą różnice, wyżłobione zupełnie odmiennemi warunkami, wśród których żyli ci poeci.

Wracając do porównania bohaterów bajrońskich z Konradem, trzeba temu ostatniemu przyznać stanowczą wyższość tak pod względem uzasadnienia psychologicznego, jak i pod względem pobudek działania. Bohaterowie Bajrona są posępni, pełni goryczy, zamknięci w sobie, ale co ich w ten stan wprawiło, to jest zasłoną zakryte, stan ich duszy nie uzasadniony. Poeta rzuca tajemnicę na ich przeszłość, i dlatego nie są to postacie pełne, ale tylko

---

[1]) „Pamiętnik Tow. im. A. Mickiewicza" III 1889, str. 122).

cienie samego poety. Giaur stanowi wyjątek, ale i tu uzasadnienie niedostateczne. Inaczéj z Wallenrodem. Mickiewicz zapełnił go własnemi uczuciami, dał mu swoje głębokie przejęcie się cierpieniami narodu, ale stan jego duszy uzasadnił w całéj pełni. Jeżeli on jest gorzki, posępny, zamknięty w sobie, to wiemy doskonale, dlaczego jest taki; cała głębia przyczyn stoi przed nami otworem w powieści Wajdeloty: napad Krzyżaków, porwanie dziecka z domu, krzyk matki, wychowanie w nienawistném otoczeniu, podmuchy wajdeloty, potém chwile szczęścia i pokoju na Litwie, potém nowa groza krzyżacka, która zawisa już nie nad głową dziecka, jak dawniéj, ale nad głową męża i domaga się od niego zażegnania. Gdyby nie miał bohaterskiéj natury, potrafiłby zapewne przeboleć klęskę nad Rudawą i używać daléj szczęścia w domu, „choć go nie było w ojczyźnie", ale bohaterska natura nie pozwala mu usuwać się od ciężaru zadania, który spada na niego. Nie widząc innych sposobów obrony narodu od potężnego wroga, obiera zdradę, która jeżeli narodowi może przynieść zwycięztwo, jemu samemu napewno gotuje nieskończone męczarnie i śmierć wreszcie. Dlatego daleko lepiéj każdy zrozumieć może Wallenroda, aniżeli owych bohaterów bajrońskich, walczących ze światem bez wyraźnéj przyczyny, a czasem taką otoczonych tajemniczością, że pobudki ich działania stają się zupełnie niezrozumiałemi. Takim jest n. p. Lara, który popełnia zbrodnię, morduje i topi swego oskarżyciela w taki sposób, że czytelnik po przeczytaniu poematu nie wie ani trochę, kim był Lara, o co go oskarżano, jaki był stosunek jego do oskarżyciela, dlaczego dopuścił się zbrodni.

Tym sposobem Wallenrod, jako postać poetyczna, jest wyższy od bohaterów bajrońskich, i psychologiczném uzasadnieniem i szlachetnością pobudek działania. Droga, którą Wallenrod obiera, jest złą, ale wtrąca go na nią namiętna miłość ojczyzny. Jak Gustaw w gorączce miłości dla Maryli popełnia samobójstwo, tak Konrad moralnie się truje w gorączce miłości dla narodu.

Ale jakkolwiek Wallenrod podobny jest do bajrońskich bohaterów tylko z heroicznego temperamentu swego i z zamkniętego cierpienia i goryczy, po za tém jest zupełnie różny, oryginalny i wyższy od nich, to jednak ślady wpływu bajrońskiéj poezyi widoczne są w poemacie Mickiewicza nietylko w charakterystyce bohatera, ale i w niektórych innych szczegółach. Dostrzegamy tu i owdzie reminiscencye „Childe-Harolda" i „Korsarza". Mianowicie wstęp do „Wallenroda" (Niemen przedziela Litwinów od wrogów) przypomina parę strof (XXXIII i XXXIV) pierwszéj pieśni „Childe-Harol-

da", gdzie jest mowa o strumieniu dzielącym Hiszpanów od Portugalczyków i o Guadianie, na któréj brzegach spotykali się Maurowie z rycerzami chrześciańskimi; dodać tylko należy, że Mickiewicz rozwinął ten temat do niepoznania pięknie. Inny znów ustęp z pieśni Wajdeloty (Płomień rozgryzie malowane dzieje) jest jakby echem, także cudownie rozwiniętem, XXXVI strofy téjże pieśni „Harolda" (When granite moulders and when records fail, — A peasant's plaint prolongs his dubions date). Wreszcie rozmowy Wallenroda z Aldoną przypominają rozmowy Korsarza z Medorą.

Prócz „Wallenroda" w zakres bajronizmu Mickiewicza wchodzą dwa inne większe utwory: „Farys" i trzecia część „Dziadów". Jak „Wallenrod", tak Farys i Konrad z „Dziadów" nie są kopiami mniéj lub więcéj zręcznemi bohaterów bajrońskich, jak np. Jeniec lub Giraj Puszkina, a po części i Oniegin, ani jak Słowackiego Żmija, Lambro, Bielecki i t. p.; są to postaci oryginalne, z ducha poety urodzone, ale z ducha potrąconego bajronizmem; stąd obok głębokich różnic mają pewne pokrewieństwo z bohaterami Bajrona. A naprzód „Farys". Poemat ten, jak wiadomo, poświęcał poeta emirowi Tedż-ul-Feshr, t. j. Wacławowi Rzewuskiemu, który był jednym z największych bajronistów w życiu i tak mistrza skarykaturował w czynach, jak inni to czynili w poezyi. Ale trudno się zgodzić z prof. Pilatem, objaśniającym genezę tego poematu tylko wpływami wschodniéj poezyi, którą poeta wówczas studyował w przekładach francuskich, i wrażeniem,. jakie postać Wacława Rzewuskiego na nim wywarła [1]).

Sam poemat świadczy najwyraźniéj, że poeta włożył w Farysa swoją duszę, swoje ówczesne usposobienie. Było to w r. 1828. Poeta czuł w sobie rosnącą siłę geniuszu, a to poczucie wzmagało się pod wpływem uwielbień, jakiemi go otaczali i swoi i obcy, najznakomitsi przedstawiciele literatury rosyjskiéj. Były to czasy, w których improwizatorskie natchnienie najczęściéj go nawiedzało, najpotężniéj się objawiało i jemu samemu musiało dawać poczucie jakiéjś cudownéj mocy. Otóż, jeżeli co jest ideą Farysa, to właśnie poczucie nadzwyczajnéj siły, która potrzebuje przestrzeni dla swego rozwoju, poszukuje walki i niebezpieczeństw, bo czuje, że wszystkie pokona. Jednem słowem ideą, duszą „Farysa" jest heroizm, ale heroizm nie skierowany do jakiegoś jednego, wyraźnego celu, jak w Wallenrodzie, jak w Księdzu Robaku, ale jakby szukający tego

---

[1]) Pamiętnik Tow. im. Ad. Mickiewicza, 1888. Tom II, str. 125—134.

celu i próbujący sił swoich w walce ze wszystkiém, co mu tamuje drogę. A więc duma, wypływająca z poczucia pełni sił indywidualnych i ten heroizm, któryby można nazwać błędnym, to są tony pokrewne poezyi bajrońskiéj, na mocy których „Farys“ może być wciągnięty w zakres bajronizmu. Ale oprócz różnicy w formie — „Farys” nie jest powieścią, lecz allegoryą — inna, wewnętrzna cecha nadaje mu odrębny charakter. Doskonały optymizm, który panuje w „Farysie”, ten oddech radości i tryumfu, który przenika cały poemat, stanowi wybitną różnicę pomiędzy nim a utworami Bajrona, nastrojonemi pesymistycznie, gdzie heroizm rozwija się zwykle na tle posępném. Heroizm „Farysa” przypomina heroizm „Ody do młodości”. I jeden i drugi utwór był krótkim wybuchem, zwiastującym, jakie skarby poezyi miały się wylać z téj pełni sił twórczych poety. Po „Odzie do młodości“ nastąpiła IV część „Dziadów”, po „Farysie” „Pan Tadeusz”.

Pokazawszy całkowity wpływ Bajrona u jednego i drugiego poety, chcę zestawienie, dotychczas prowadzone, skupić w ogólne rysy. A naprzód widoczny fakt, że w obu poetach wpływ ten gra największą rolę, rozbudza najpotężniejsze struny w ich duszy. Tylko te struny są rozmaite.

Przypomnijmy jeszcze raz główne tony bajrońskiéj poezyi: melancholia, donjuanizm, heroizm. Melancholia bajrońska znalazła słaby oddźwięk w poezyi Mickiewicza, tylko o tyle, o ile godziła się z chwilowym nastrojem melancholijnym, który wywoływał stosunek z Marylą; w poezyi objawiła się przeważnie w przekładach. Téj melancholii, która wypływa z głębokiego sceptycyzmu i pesymizmu, niema wcale u Mickiewicza, tak bardzo optymistycznie był jego duchowy organizm nastrojony. U Puszkina melancholia stanowi ton wybitny, występuje w wielu lirykach, a z większych poematów najsilniéj w „Cyganach”. Wypływała ona z dwu źródeł: z myśli o znikomości wszystkiego, o konieczności śmierci, po za którą poeta nie umiał nic dopatrzéć, i z poczucia fatalizmu we własnéj naturze, fatalizmu, który tę śmierć przybliżał. Ten ostatni rodzaj melancholii wyraził się w „Cyganach”, a pokrewną melancholię można znaleźć i w „Miedzianym Jeźdźcu”.

Drugi ton, donjuanizm, — to jest zmysłowość na tle przesytu, pogardy dla świata i poczucia swéj wyższości, — nie potrącił, bo nie znalazł żadnéj pokrewnéj struny w duszy Mickiewicza; a tymczasem w poezyi Puszkina odezwał się najgłośniéj, bo wyrazem tego

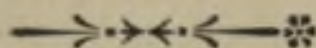
tonu jest największy poemat Puszkina „Oniegin". Na tle krytyki społeczeństwa, na tle ciemném, rysuje się „ja" poety, gardzące przesądami tłumu, dumne ze swojéj wyższości nad ogółem, ale nie umiejące, ani nawet pragnące pokazać mu lepszą drogę, niby znudzone życiem, a jednak używające wszystkich jego przyjemności — od niechcenia.

Trzeci ton — heroizm. Ten ton ma u Bajrona rozmaite odmiany i wciela się w długą galeryę bohaterów; przedewszystkiém można odróżnić heroizm miłosny, jak w „Korsarzu" i „Giaurze", i heroizm tytaniczny, prometejski, jak w „Manfredzie" i „Kainie". Otóż z duszy Puszkina ten ton nie potrafił wywołać nic innego prócz nieudolnie nakreślonéj postaci Kerim-Giraja w „Fontannie Bachczyseraju." Wprawdzie i u Puszkina odzywa się pewien heroizm jeszcze w poezyi licealnéj, uwielbienie dla wojennych czymów rosyjskich wodzów z końca XVIII w., ton, którego echo można znaléźć potém i w „Połtawie" i w wierszach: „Rocznica Borodina" i „Oszczercom Rosyi", ale jest to heroizm, nie mający nic wspólnego z bajronizmem, a nawet wręcz z nim niezgodny, jak o tém świadczą VII i VIII pieśni „Don Juana". W Mickiewiczu ton heroizmu w duchu poezyi bajrońskiéj dźwięczał już głośno przed zetknięciem się z tą poezyą; po zetknięciu się zabrzmiał tak silnie w jego duszy, że wszystkie inne tony bajrońskie zagłuszył i on to wywołał, albo raczéj przyczynił się do wywołania postaci Konrada Wallenroda, Farysa i Konrada z „Dziadów". Wdarł się on i do spokojnego „Pana Tadeusza" w postaci księdza Robaka.

Tak więc poezya Bajrona poruszyła zupełnie inne struny w duszach dwu wielkich rówieśników, co jest najlepszém świadectwem, jak różnie byly te dusze nastrojone. Że pomimo zasadniczéj różnicy nastroju łączyły się one w uwielbieniu dla mistrza, to rzecz naturalna; ale jak wobec téj różnicy objaśnić fakt głębokości sympatyi, którą ci dwaj poeci uczuwali dla siebie i któréj wyraźne i liczne ślady zostawili w swoich pismach? Musiała być głęboką, skoro jéj nie zerwały i nie zatarły nawet wypadki polityczne, co taką lawę uczuć wywołały z serca Mickiewicza i tak pogłębiły przepaść historycznych tradycyi, dzielących go od rosyjskiego poety. Gdzież szukać źródła téj sympatyi. Niewątpliwie w osobistéj znajomości poetów, która im pozwoliła głęboko wzajem przeniknąć do serc swoich. W oczach swoich czytali szczerość i czystość swych natchnień współczesnych i dążenie dusz oskrzydlonych poezyą do wzniesienia się po nad targowisko poziomych interesów. Te chwile razem przeżyte, rozmowy, w których, jak wiemy od Mickiewicza,

poruszali wysokie kwestye religijne i społeczne, a w których, jak wiemy od Puszkina, Mickiewicz nieraz „mówił o czasach przyszłych, dalekich, kiedy narody, waśni zaniechawszy, w wielką się jednę rodzinę zjednoczą", zostawiły niezatarte ślady w ich pamięci. Więc choć się drogi ich potém rozeszły w przeciwne strony, choć Puszkin niezawsze umiał utrzymać się na tych wyżynach, gdzie się spotykały dusze dwu poetów, przecież zawsze wspominali o sobie z sympatyą. Puszkin nawet w wierszu, w którym skarżył się na gorycz nienawiści Mickiewicza, nazywał go z niebios natchnionym wieszczem (On z niebios miał dar natchnienia — I z wyżyn spoglądał na życie); Mickiewicz zaś w nekrologu Puszkina (le Globe 1837), nie zakrywając wad jego, uwydatniał dobroć i szlachetność jego natury. „Znałem poetę rosyjskiego zblizka i przez dość długi czas, uważałem go za człowieka charakteru wrażliwego i lekkiego niekiedy, ale zawsze szczerego, szlachetnego i wylewnego. Wady jego zdawały się zależéć od okoliczności, wśród których żył; co było dobrego w nim, pochodziło z jego własnego serca."

Józef Tretiak.



Sprostowanie omyłek w zeszycie majowym r. b.

Str. 270 w. 20 od góry: zamiast „w tej samej twórczej pieśni",
winno być: „w tej samej trzeciej pieśni";
„ 272 w. 8 od góry: zamiast „najgłówniej", ma być: „najgłośniej";
„ 276 zamiast: „Zorema", ma być: „Zarema";
„ 279, po wierszu: „Z jakiem wzburzeniem kipiały", trzeba dodać opuszczony wiersz: „W jego zmęczonej piersi".
„ 281 w. 4 od dołu, zamiast: „rozciągając poemat"
winno być: „naciągając poemat";
„ 287 zamiast: „pesymizm szerszy", winno być: „pesymizm szczerszy".

Księga Sonetów.

Dni moich pory złotéj
Mogiło i kołysko!
Znów myśl nad tobą nizko
Zatacza tęskne loty...

Snów pełen i tęsknoty,
W krąg ziemskie-m zbiegł kolisko,
Drogą zawiłą, ślizką,
W zawieje mgły i słoty...

Potoków twych szczebioty
Znowu mi dzwonią blizko...
Na twoich skał urwisko.

Pod smreków twych namioty,
Złote mię wabią sploty
Znów losom na igzysko!

* * *

Konający złoty dzień jesieni
Tajemnemi gwarzy ze mną głosy...
Z wiatrem niosą wonie łąk pokosy.
Nić pajęcza błyszczy w limb zieleni...

Na zachodzie błękit się rumieni...
Purpurowe aksamitne wrzosy
Zadumane stoją w perłach rosy...
Srebrny potok dzwoni śród kamieni...

Czara wspomnień perli się i pieni:
Świt... jak senna fala szumią kłosy...
Zmrok... bławatki wplatam w złote kosy...

Tchu brak w piersi... wszędzie wśród przestrzeni
Jeden drogi obraz się promieni
Wymarzonéj obraz... złotowłoséj...

Śląc mgły białe, swe zwiastuny,
Noc w królewskiéj idzie pysze...
W górze błękit się kołysze,
Od miesięcznéj płonąc łuny...

Bóg srebrnemi na nim runy
Ukojenia pieśni pisze
Zda się szepty płyną mnisze
U olbrzymiéj świata truny. .

W jarzmie wichrów śpią tabuny...
Ja przy ustach twoich wiszę...
Tętno skroni twoich słyszę—

Wtém zagrzmiały w krąg pioruny.
Nocy! Na méj duszy struny
Zapomnienie zwiej i ciszę!

Daléj nić wysnuwam z marzeń motka
Niepochwytną wspomnień nić pajęczą..
Czar przeszłości opływa mnie tęczą...
W duszy dzwoni nuta znana, słodka...

Główkę chylisz ku mnie jak kwiat wiotka...
Pieszczotliwie słowa twoje dźwięczą...
U stóp twoich moje myśli klęczą...
Jakże krótko trwa ta szczęścia zwrotka!

Nie zerwana z marzeń kołowrotka!
Wicher zmącił duszy pieśń młodzieńczą!
Wszystkie struny potargane jęczą!

Tak na skale nieraz kwiat się spotka:
Tu i owdzie zdeptana szarotka—
Choć zdeptane jeszcze głazy wieńczą.

Więc to było w téj saméj altanie,
Kędy ze mną siadywałaś rada,
Gdzie z pieszczotą w smutnych oczach, blada,
Rękę dałaś mi na pożegnanie.

Kędy szczęścia błysło mi świtanie,
Wieko trumny nad niém się zapada...
Gdzie twych śmiechów dzwoniła kaskada
I tajone drżało w piersi łkanie.

Nic dziwnego! Cóż trwa nieprzerwanie
Na tym świecie!.. Lato już nie włada...
Pierzcha i jesieni berło składa.

Toż nie dziwią się i drzewa zmianie,
Choć w jesiennych wichrów huraganie
Beznadziejna czeka je zagłada.

Hen od mrocznych gór podnóża
Mgły pełzają ku mnie szare...
W nich przeszłości widzę marę,
Co w pierś moją wzrok zanurza...

Huczy w sercu wspomnień burza.!.
Znów się rany krwawią stare...
Ach! Upojeń dajcie czarę,
Co znieczula i odurza!

We mgle nikną lasy, wzgórza...
I ja zniknę za chwil parę...
Utraciłem w siebie wiarę...

Zwiędła złudzeń moich róża...
Czemuż byt mój się przedłuża,
Gdy już ból dopełnił miarę!

* *
*

A więc odjeżdżasz? — a ja tu zostaję!
Dziwnie mi duszę na uwięzi trzyma
Czar miejsc, gdziem z karła wyrastał w olbrzyma,
Z życiowéj pleśni biegł w szczęścia wyraje...

Samotny błądzę przez smrekowe gaje
I stęsknionemi szukam Cię oczyma,
A pierś żałością i bólem się wzdyma
I wzbiera łkaniem—a serce się kraje!

A kiedy błądząc wyjdę na rozstaje,
Choć wiem, żeś w dali... że Cię tutaj niema—
Czy to na jawie duch czarowne sny ma..,

Czy téż się oczom zapatrzonym zdaje:—
Słuchasz mych pieśni—przebiegasz ruczaje...
Wiosnę mam w duszy, choć dokoła zima!

Wiem, że pieśń moja leci twoim śladem,
Upajającym duszę kwiecia puchem...
Że w odrętwieniu beznadziejném głuchém
Białych gołębi opływa Cię stadem...

Jak tęcza blasków po nad wodospadem,
Ona nad Twoim rozpina się duchem
I, sennym Ciebie kołysząc fal ruchem,
Zapada w duszę złotych iskier gradem...

Fałsz jéj nie struje pełzający gadem,
Ani ją zawiść zdruzgoce obuchem...
Już łzą się perli w Twojém oku suchém,

Już na Twém czole zachmurzoném, bladém
Kładzie swój stygmat: zadumy dyadem,
I łączy dusze tęsknoty łańcuchem.

Nigdy mi takich snów nie biły zdroje,
Nigdym nie kochał tak i tak nie wierzył,
Jak w owe chwile, kiedy grom uderzył
W kwiat życia mego — w upojenia moje!

Więc dziś, gdy idę na rozpaczne boje
Z losem, co drogę cierniem mi najeżył,
Chcąc by się smutek na chwilę uśmierzył,
Z krynicy wspomnień ducha mego poję.

I zdaje mi się, że kroczym we dwoje
Ścieżyną, którą kwiecia puch zaśnieżył...
Że się przed nami kwiat szczęścia rozszerzył—

I rąk Twych czuję na szyi powoje...
I gasną w sercu wszystkie niepokoje—
O gdybyż przeżyć jeszcze raz—com przeżył!

W powszedniéj kaźni, jak ptaszę w potrzasku,
Duch mój więziony nurza skrzydła w błocie,
Już go w sokolim nie poniosę locie...
Dziś wolno mu je tarzać tylko w piasku...

Wolno mu tylko śnić, śród gwaru, wrzasku
O pieszczotliwym dziecięcym szczebiocie,
O lazurowym przestworza namiocie
I o smerekach zadumanych w lasku —

I mieć mu wolno Świętą na obrazku,
W bujnych warkoczy jaśniejącą złocie...
Patrzeć w Nią... słońca zazdrościć pieszczocie.

I—skąpanemu w modrych źrenic blasku—
Pieśń wolno śpiewać dla pani oklasku--
Lecz śnić nie wolno o jéj ramion splocie.

Każ jedno więcéj położyć nakrycie,
Przy wigilijnym gdy zasiądziesz stole,
I—wspominając nieobecnych dolę —
Opłatek ze mną podziel w myśli skrycie...

A gdy poczujesz żywsze serca bicie,
Kiedy zaduma legnie na Twém czole,
A w duszy wstaną niezamarłe bole,
Gorzkiemi łzami pojone obficie—

Duch mój, ocknięty, jako ptak o świcie,
Skrzydła ku tobie zwróciwszy sokole,
Do stóp twych spadnie—i, gdy w drogich kole

Złamiesz opłatek — w źrenic twych błękicie
Wyczyta, czy mu nowe wieścisz życie,
Czy wieczną pustkę na cierpień padole.

Słuchaj! Dzień nowy nam się poczyna...
A w duszy wiary promień jaśnieje,
Że wymarzone ziści nadzieje
I że mi Ciebie wróci, jedyna!

Ja Cię tak kocham — to moja wina...
Jam Cię tak kochał — to zbrodni dzieje...
Każde wspomnienie w duszy ból sieje,
Każdy ból wschodzi i los przeklina.

I otom teraz wątły jak trzcina,
I lada wiatru powiew mną chwieje...
W zaparte dla mnie patrzę wierzeje —

I czuwam: przyjdzie szczęścia godzina!
Ta myśl w méj duszy błękit rozpina,
W zimowych nocy groźne zawieje.

Choćby z Twéj duszy i z Twojéj pamięci
Wydarli każde mego siewu słowo...
Choćby stargali szczęścia baśń tęczową,
Co jak Sakrament naszą miłość święci...

Pod jarzmem życia choćbyśmy szli zgięci —
Ja kroczyć będę z podniesioną głową,
A ty mi zawsze będziesz znów królową...
Wiecznym mirażem, co nie kojąc nęci.

Błogosławieni będziem — nie przeklęci!
I przyjdzie chwila iskrą piorunową —
Kiedy w zadumie zwiesisz główkę płową.

Kiedy łza cicha w oku się zakręci,
Kiedy wspomnienie naszych pieszczot sen Ci
Zwarzy — i płomień rozpali na nowo!

W noc głuchą pustą i nierozwidnioną,
Co drobnym śniegiem zda się łzami prószy,
Z zapadłych mogił wstaje mara w duszy —
I wszystkie nerwy żarem wspomnień płoną:

Widzę królewnę z bajki, pod osłoną
Śniegu, co jak płaszcz królewski się puszy,
Pod strażą smreków, w srebrnéj, leśnéj głuszy,
Dla wszystkich żywą — a dla mnie uśpioną...

Każde jéj tchnienie usta chciwie chłoną,
Zda się napoju spragnione, śród suszy —
I niema końca téj pragnień katuszy!

Niech mi raz oczy w jéj oczach utoną,
A zadrga życiem zamarłe jéj łono
I we mnie hydra niemocy się skruszy!

Ponad przepaścią pnę się stromą drogą,
W ziejące śmiercią wpatrzony otchłanie...
Dumnie spiętrzone, mchem porosłe granie
Zwisły nademną szyderczo, złowrogo...

Wicher gna chmury, jak party ostrogą
Rumak strwożone ścigający łanie...
Ty daj mi ciszę wirchów huraganie,
Któréj padołu burze dać nie mogą!

„Piersi, co płonie rozpaczy pożogą,
Nigdy serdeczne już nie wstrząśnie łkanie...
Głazy tam w dole dadzą ci posłanie...

Jeden krok naprzód!... Nie żal ci nikogo?
Na zawsze ciszą zapomnienia błogą
Twój się ukoi ból palący w ranie!"

Z głębi kominka falą wybucha jasną
Na mroczny pokój płomieni gwar wesoły —
Z podniebnych wyżyn schodzę na łez padoły
I palę karty, krwią zapisane własną..

Wpatrzony w ogień łuną bijący krasną,
Muzykę słyszę... widzę biesiadne stoły...
Napoły-m we śnie i na jawie-m napoły...
Zda się, że wszystkie we mnie pragnienia zasną.

Daremnie pytam, czemu łzom w oczach ciasno?
Czemu się w przestrzeń nie rwą myśli sokoły?
Czemu mi obce życia żądze, mozoły?...

Oto za chwilę iskry tlejące zgasną
I już zbolałéj duszy niczém nie drasną,
Z kart i z miłości pozostałe popioły.

Pod zadumaną leżąc sosną,
Patrzę na chmurek tkań leciuchną
I dumam: gdy je wiatry zdmuchną,
Gdzie je tkać będzie, jakie krosno?

Goryczą wzbiera pierś żałosną,
Kiedy w méj duszy patrzę próchno
I wiem, że bóle jéj nie zgłuchną
I że pragnienia jéj nie posną.

Nie dla mnie ziemia wstanie z wiosną...
Nie dla mnie ptasząt śpiewy gruchną...
Żałość mi wieczną będzie druchną...

Czarę wytrąci z rąk miłosną —
Lecz w smutku skrzydła mi urosną,
A moje pieśni z łez wybuchną!

Do téj księgi sonetów jeszcze sonet piszę —
Wykołysany w duszy sonet dwurymowy...
Z roztęsknionego serca... z rozmarzonéj głowy
Myśl go przędła w bezsennéj nocy martwą ciszę.

Jego szept niech do marzeń Ciebie ukołysze,
Jak gwary przebudzonéj na wiosnę dąbrowy
I jak senne szemranie nocy księżycowéj,
W którém Twój rozemdlony głos, jedyna, słyszę.

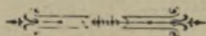
A gdy Ci naszych pieszczot wspomnieniem zadysze
Rozfalowane łono, w cichy zmrok majowy —
Wiem, że się czarom jego nie oprzesz wymowy...

Jak cień ja Twoim myślom zawsze towarzyszę
I w serca najtajniejsze przenikam zacisze
I do snu tulę Ciebie serdecznemi słowy.

Władysław Nawrocki.



KRONIKA GALICYJSKA.



Lwów 30 kwietnia.

Sytuacya po katastrofie kredytowej. Plotkarstwo i reakcya etyczna na tle tej katastrofy. Sesya sejmowa i jej rezultaty. Ś. p. Leon Chrzanowski).

Poprzednią kronikę zamykał wcale niewesoły horoskop na sytuacyę wytworzoną kataklizmem w galicyjskiej kasie oszczędności. Wszystko, co od tego czasu zaszło, prześcignęło najgorsze przewidywania, doprowadziło do stanu, w którym już wprost niéma punktu oparcia do skutecznéj walki z najczarniejszym pesymizmem. Wśród tego wiru szczegółów, jakiemi w ciągu całych tygodni prasa codzienna porywała i więziła uwagę publiczną, obraz ogólny musiał być zawsze zamglony. Gdy kto jednak, jak np. piszący tę kronikę, musiał wyjechać po za granice kraju w połowie lutego, a wrócił dopiéro po upływie dwóch miesięcy, tem po powrocie zaraz na pierwszy rzut oka układ stosunków kredytowych, ekonomicznych, politycznych, w ogóle społecznych we Lwowie tak się przedstawić musiał, jak okolica nawiedzona gwałtownem trzęsieniem ziemi. Zastał bowiem jednę instytucyę nad samą przepaścią, drugą w stanie tak zarysowanym, że technika finansowa wysilać musi swój cały dowcip dla utrwalenia budowli, a w wielkiéj otchłani, która się przed oczyma wszystkich rozwarła, leżą liczne ofiary, jedne już bez życia, inne ciężko pokaleczone lub nawet dogorywające, jedne wybitniejsze otoczone żalem sympatycznym i wspominane z rzewną pamię-

cią o zasługach położonych lub wielkich nadziejach niegdyś wzbudzanych, a teraz niepowrotnie zniszczonych, inne pomijane milczeniem, należném ich podrzędnéj roli lub nieszczęściu, które zawsze gniew rozbraja i od złorzeczeń powstrzymuje. Na tém rumowisku i pobojowisku zjawił się prokurator z sędzią śledczym, legitymując się niewątpliwym tytułem do interwencyi w imieniu karzącéj sprawiedliwości, która rachunku zażądała przedewszystkiém od naczelnego dyrektora kasy oszczędności i honorowego obywatela miasta Lwowa, Franciszka Zimy, jeszcze do niedawna stawianego na piedestale zasłużonego obywatela kraju, a dziś osadzonego w więzieniu śledczém wraz z tymi, na których największy cień padał zaraz w pierwszéj chwili. Ale na tém nie kończy się akcya prokuratorska, bo zbyt wiele złych duchów i wyzyskiwaczy otaczało Zimę i Szczepanowskiego, aby w rozwoju śledztwa karnego już nie należało obawiać się wyjścia na jaw poszlak, wymagających jego rozszerzenia na inne osoby. A wreszcie opinia jeszcze i w téj chwili nie wyklucza możliwości, że zajdą nowe niespodzianki, że może nawet wskutek tego ciekawość prokuratorska zwróci się ponownie ku ruinom likwidującego już swoje interesa banku kredytowego. Bankowi temu cios śmiertelny zadał jeden z jego dyrektorów, adwokat dr. Stanisław Krzyżanowski, swojém samobójstwem w połowie marca, albo raczéj listem napisanym przed samobójstwem, a stanowiącym niejako akt oskarżenia przeciw kierownictwu tego banku, mianowicie przeciw drugiemu dyrektorowi, Marchwickiemu, osobistości głośnéj we Lwowie i w kraju nietylko z urządzenia wystawy w r. 1894, lecz wogóle z wielkich wpływów publicznych za rządów Kazimierza hr. Badeniego we Lwowie i w Wiedniu.

Fatalna gra wypadków zrządziła, że z całym tym kataklizmem finansowym zbiegł się szereg sprzeniewierzeń sensacyjnych dla publiczności lwowskiéj i bankructwo zawołanego prowokatora fortuny przy zielonym stoliku, posła sejmu krajowego i rady państwa, Józefa Wiktora, który zastrzelił się w berlińskim hotelu centralnym, jakby dla ilustracyi znanych słów brutalnych Bismarcka o podróżach Polaków do Monaco! Jakże więc w takim składzie rzeczy publiczność nie miała popaść w formalne osłupienie? Wszakże są to niezbite, nietylko zamilczéć, lecz nawet upiększyć się nie dające symptomy Panamy galicyjskiego pokroju, niedorównywającéj Panamie francuskiéj pod względem cyfrowym, ale posiadającéj z nią wiele wspólnych szczegółów, na szczęście także i ten, że jak w Panamie francuskiéj, tak i w naszéj jest moment tragiczny, który nie zdoła wprawdzie uchylić odrazy moralnéj, ale zawsze do pewnego stopnia

ją łagodzi. W Panamie francuskiéj momentem tragicznym był los genialnego Lessepsa, ofiary własnéj gorączki przedsiębiorczéj, wyzyskanéj przez szajkę szalbierzy; w naszéj Panamie ofiarą podobną jest Stanisław Szczepanowski, który przed kilku miesiącami jeszcze był jedną z najwybitniejszych osobistości na galicyjskiéj widowni publicznéj i uchodził za reformatora, nawet regeneratora ekonomicznego Galicyi, a dziś przygnieciony odpowiedzialnością za wielkie nieszczęście, sam sobie wymierzył sprawiedliwość, składając wszystkie mandaty publiczne i upominając się wobec sędziego śledczego, aby go obok dyrektora Zimy traktowano, jako poszlakowanego o współwinę w kataklizmie kasy oszczędności. To téż zdrowy instynkt moralny społeczeństwa, złorzeczący wszystkim bezpośrednim i pośrednim sprawcom nieszczęścia, dotąd najwięcéj oszczędza Szczepanowskiego. Społeczeństwo czuje żal do niego, a jeszcze więcéj żałuje go, ale nie potępia moralnie; pociąga go do odpowiedzialności moralnéj, ale nie chce przytém mieć prokuratora świadkiem, chce go ukarać i już karze, ale po obywatelsku, pewnym rodzajem banicyi ze sfery życia publicznego, więc bez interwencyi prawa karnego. Jaka szkoda, że sędziwy dyrektor Zima nie umiał poskromić swoich nizkich popędów i obciążył kasę oszczędności, a zarazem swoją reputacyę tak zwanemi „wekslami erotycznemi", na które różne damy i damulki pobrały od niego tysiące! Gdyby nie ten fakt, tragiczność losu Zimy, starca z piękną przeszłością, osadzonego na schyłku życia w więzieniu śledczém, wzrosłaby nieskończenie i wraz z tragicznym losem Szczepanowskiego stanowiłaby do pewnego stopnia jasny punkt na złowrogo ciemnym obrazie położenia dzisiejszego. Możnaby było powiedzieć, że nieszczęściem dla kraju i obu tych mężów było ich zetknięcie się ze sobą. Faktem jest bowiem, że w pierwszém przynajmniéj stadyum ekonomicznéj akcyi Szczepanowskiego i Zimy główną rolę odgrywała fantastyczność planów, które nazwać można szalonemi, które jednak nie pozbawione były cechy wyższéj i szlachetnéj aspiracyi. Szczepanowski formalnie zhypnotyzował Zimę swoim polotem w planach przedsiębiorczych, a że obaj zawodowo w Anglii kształceni, mieli przed oczyma nieuchwytne dla nas wzory angielskie, pierwszy co do śmiałości planów, drugi co do hazardu finansowego w ich wykonaniu, więc wytworzył się fatalny alians dwóch żywiołów, na nasze stosunki awanturniczych, więc zgubnych.

*

* *

Ale trzeba oderwać się od rozmyślań na temat jakby było lepiéj, skoro pewném jest, że w położeniu obecném miary złego nie można jeszcze uważać za wypełnioną. Stosunki tak się ułożyły, że nikt nie wie, co w najbliższéj przyszłości może nastąpić, jeżeliby zeznania aresztowanych funkcyonaryuszy kasy oszczędności, lub tajemnicze szczegóły samobójstwa ś. p. dr. Krzyżanowskiego w połączeniu z likwidacyą banku kredytowego dostarczyły nowego wątku podejrzliwości prokuratorskiéj, nie mitygowanéj przez opinię, jak się to za wpływem sentymentalizmu zazwyczaj dzieje w sprawach podobnych, lecz owszem podsycanéj mnóstwem wersyi a nawet wprost zachęcanéj do dalszéj akcyi instygatorskiéj, nie oszczędzającéj nawet osobistości wybitniejsze stanowiska zajmujących. Szczegół ostatni omawiany był w niektórych pismach warszawskich w sposób nieprzychylny dla naszéj opinii, jako symptom niebezpieczny w przebywanéj obecnie chorobie.

Nikt oczywiście nie może pochwalać plotkarstwa uprawianego dla zaspokojenia skandalomanii, ale z tego nie wypływa, żeby poważne upominanie się opinii o ścisłe dochodzenie wszystkich szczegółów katastrofy w obu nią dotkniętych instytutach kredytowych, upominanie się o bezwzględne pociągnięcie wszystkich winnych do odpowiedzialności, co na sesyi sejmowéj jeden z najpoważniéjszych posłów włościańskich podniósł śmiało nietylko bez opozycyi ze strony większości sejmowéj, lecz nawet za jéj milczącą aprobatą, uchodzić miało za symptom zdrożny. Rzecz się ma przeciwnie, bo w głosach takich odzywa się także zdrowa reakcya etyczna całego społeczeństwa, podrażnionego w wysokim stopniu przez to, że w pierwszym okresie katastrofy pewne koła próbowały zbyt śmiało, bo nawet uchwałami na zgromadzeniach obywatelskich powziętemi, salwować zaćmioną reputacyę Zimy, a tém stanąć wpoprzek wdrożonéj akcyi prawnéj. Obrażone poczucie etyczne społeczeństwa napiętnowało już wprawdzie dosadnie takie uchwały, ale skoro faktem jest, że niektóre osobistości skompromitowane w ostatnich katastrofach kredytowych co najmniéj nieoględnością lub wprost lekkomyślnością, zamiast pójść za przykładem p. Szczepanowskiego i usunąć się z widowni publicznéj, nietylko nie myślą o tém, lecz nawet występują niemal w pozie reformatorów i moralizatorów, to ani się dziwić ani gorszyć tém nie należy, że owa reakcya etyczna chwilowo posuwała się aż do instygacyi. Lepiéj przesadzić pod tym względem rygorem, aniżeli zgubną pobłażliwością ulegalizować u siebie taki stan swawoli moralnéj, jaki zapanował na zachodzie, na ziemi obiecanej Panamy i Dreyfusyady.

Trzeba rzecz tę jasno postawić, aby uwaga powyższa nie zakrawała na propagowanie *summi iuris*, które jak wiadomo najczęściéj stanowi *summam iniuriam*. Nie chodzi o drakonizm prawny, lecz o niedopuszczenie do tego, aby chociażby tylko w jednéj sprawie weszła u nas w praktyczne zastosowanie zabójcza dla społeczeństwa teorya o dwoistéj moralności. Teorya ta, propagowana w dzisiejszych czasach już nawet w świecie naukowym z cynizmem wyuzdanym (np. w najświeższém dziele socyologa włoskiego Sighelego o psychologii sekt) i na szczęście jeszcze śmiało demaskowana w całéj ohydzie swojéj w tym samym świecie (np. w dziele francuskiego socyologa Ludwika Proata o przestępności politycznéj), uważa kardynalne pojęcia moralności za rzecz względną i zmienną w zastosowaniu. Co wykracza przeciw rygoryzmowi etyki indywidualnéj, to według téj teoryi miałoby być dozwoloném, a nawet wskazaném w różnych zakresach stosunków a przedewszystkiém w polityce. Politykowi wolno posługiwać się kłamstwem, perfidyą i podstępem, który na inném polu byłby kwalifikowany jako proste oszustwo, tak samo jak żołnierzowi wolno w wojnie popełniać okrucieństwa bez narażenia się na odpowiedzialność, owszem z pretensyą do uznania w tém dowodów dzielności. Eldoradem dla takiéj swawoli etycznéj jest oczywiście pole finansowe zwłaszcza wtedy, gdy interesa i sprawy finansowe wejdą w ścisły alians z polityką. Co niegdyś powiedział Mirabeau w znaczeniu odmienném już ze względu na ówczesną wyjątkową w dziejach sytuacyę, że wielka moralność zabija małą, to dzisiejsi teoretycy dwoistéj moralności powtarzają jako regułę, praktycy zaś tłómaczą w sposób najrozmaitszy a zawsze paradoksalny. Moralnością nie prowadzi się dobréj polityki, moralnością nie buduje się ani fabryk, ani kolei żelaznych, moralnością nie urządza się banków, przedsiębiorstw i t. d.—oto najpowszedniejsze formuły i aplikacye cynicznéj teoryi o dwoistéj moralności. Pięknie téż wyglądałyby urządzenia społeczne, oparte na takiéj maksymie etycznéj. Francya i Włochy stanowią pod tym względem przykład odstraszający. Nasze społeczeństwo dotąd, dzięki Bogu, uchodzić mogło jeszcze za bardzo niepojętnego ucznia téj nowéj, wrzekomo postępowéj etyki, za zacofańca, opierającego się jéj zwycięzkiemu pochodowi. Niechżeż Bóg nas ustrzeże od tego, abyśmy w dzisiejszém nieszczęściu publiczném mieli zaostrzyć naszą pojętność dla liberalizmu, albo raczéj cynizmu etycznego Europy zachodniéj. Łatwiéj znieść upadek jednego i drugiego zakładu finansowego. zaćmienie się jednéj i drugiéj gwiazdy na krajowym widnokręgu politycznym, albo wreszcie i przebyć chwilowe upokorzenie

na widok ławy oskarżonych, zajętéj przez grono osobitości dotąd cenionych i poważanych, jak np. Zima, aniżeli przekazać przyszłym pokoleniom w spuściznie tradycye swawoli etycznéj. I bez teoryi bowiem obecny poziom etyczny w naszém życiu publiczném obniżył się już widocznie za życia jednego pokolenia. Co dziś stało się faktem jawnym, to byłoby przed kilkunastu jeszcze laty może wprost niemożliwém. Znacznie czujniejszą bowiem i znacznie surowszą była wtedy kontrola moralno-obywatelska co do działalności instytucyi publicznych i ludzi w życiu publiczném wybitniejszą rolę odgrywających. W konsekwencyi także i reakcya etyczno-obywatelska wobec sprawek, chociażby nie tak brudnych, jak dzisiejsza, ale zawsze tak ciemnych, że rzucały cień na finansowy lub polityczny kredyt kraju, była nierównie silniejsza. Wtedy opinia publiczna wprost zmiatała z widowni publicznéj ludzi w podobny sposób skompromitowanych, chociażby nawet przeszłość ich była chlubną: pełną zasług publicznych. W pamięci odświeża się dziś starszym uczestnikom życia publicznego głośna przed kilkunastu laty sprawa Schwarz-Kamiński. Chodziło wtedy o budowę kolei transwersalnéj, około któréj długie lata krzątał się bardzo zasłużony poseł sejmu i rady państwa, niegdyś za wzór dla kraju przytaczany burmistrz miasta Stanisławowa, dr. Ignacy Kamiński. Kiedy przy ostateczném finalizowaniu przedsiębiorstwa przez Schwarza pokazało się, że Kamiński chciał przytém wydobyć dla siebie zysk nadmierny, słabo tylko upozorowany usługami rzeczywiście oddanemi przedsiębiorstwu (za plany i t. d.), zerwała się formalna burza nietylko w kole polskiém, lecz w całym kraju, i w jednéj chwili Kamiński poniósł śmierć obywatelską i cywilną, t. j. ustąpić musiał ze wszystkich ciał reprezentacyjnych i usunąć się w zacisze, w którém pogrążony jest dotąd. Kiedy zamknie się żywot tego dziś już zgrzybiałego starca, dzisiejsze pokolenie, tolerujące na widowni publicznéj niejedną osobistość stojącą pod gradem zarzutów i obwinień, a mimo to uporczywie bronioną, będzie musiało złagodzić wyrok przed laty wydany, złagodzić przynajmniéj o tyle, żeby szala licznych a pięknych zasług tego niegdyś tak wysoko cenionego weterana pracy publicznéj nie znikała w pamięci przyszłego pokolenia tak zupełnie, jak dzisiaj, wobec odpowiedzialności za jeden krok fatalny, za jedno zboczenie z drogi téj wyższéj obywatelskiéj bezinteresowności i prawości, jaka cechować powinna na każdém wystąpieniu publiczném ludzi zaufaniem współobywateli na wyższe stanowiska wyniesionych, zboczenie wprawdzie ciężkie, ale téż zaraz surowo zakwalifikowane i ciężko

przez samo społeczeństwo ukarane nawet w braku takich szczegółów, które, jak dzisiaj prokuratora, zmuszają do inicyowania akcyi kryminalnéj.

*

* *

Sejmu oczekiwał w tym roku Lwów, a nawet cały kraj, jak zbawienia w ścisłém tego słowa znaczeniu. Kiedy bowiem zbliżał się termin otwarcia sesyi sejmowéj, sytuacya w kasie oszczędności była tak rozpaczliwa, że ostateczna ruina zakładu a z nią głębokie podkopanie całego kredytu krajowego wydawało się konsekwencyą nieuniknioną. Milionowe sumy wkładek były już bowiem doraźnie wycofane, a dalsze miliony wypowiedziane. Na pokrycie tych ostatnich milionów kasa oszczędności nie mogłaby w oznaczonych terminach spłaty znaleźć pokrycia w inny sposób, jak tylko przez bezwzględne ściąganie wierzytelności wekslowych w świecie handlowym i przemysłowym, oraz przez zastrzeżone w skryptach dłużnych wypowiedzenie pożyczek hipotecznych, wydanych na domy i dobra ziemskie. Téj katastrofie, która już na całym kraju i na długi okres czasu musiałaby zaciężyć szkodą niepowetowaną, zapobiedz mógł tylko sejm przez przyjęcie gwarancyi krajowéj za wkładki oszczędności. Myśl o téj gwarancyi, jako desce zbawienia, powstała zaraz w pierwszéj chwili popłochu, nie jako pomysł jednostki, lecz jako głos całéj opinii, jakby bezwiedny wyraz instynktu samozachowawczego. To téż od pierwszéj chwili nie było dwóch zdań o niezbędnéj potrzebie tego środka zaradczego, i chodziło tylko o sposób urzeczywistnienia pomysłu. Dokonało się to jaknajlepiéj, bo z nadzwyczajną szybkością i jednomyślnością, a co najważniejsze bez takich rekryminacyi na temat winy i odpowiedzialności za sprowadzenie katastrofy, jakiéj się początkowo obawiano. Odezwały się wprawdzie w rozprawach sejmowych nad uchwałą gwarancyjną dobitne głosy na ten temat, ale były one trzymane w tonie poważnym mimo zasłużonéj surowości w treści. Głosów tych wysłuchał nietylko sejm, lecz kraj cały z uwagą i przejęciem się, bo wyszły z ust obywateli powołanych działalnością całego pięknego życia i zasługami do takiéj cenzorskiéj, karcącéj roli. Mianowicie Stanisławow, hr. Tarnowskiemu odpowiadała taka rola cenzora karcącego w najlepszym tego słowa znaczeniu. Szybkość i jednomyślność w urzeczywistnieniu pomysłu gwarancyjnego, w połączeniu z wysłuchanemi w skupieniu przez całą opinię kraju głosami karcącego upomnienia w sejmie, wywarły skutek nadzwyczaj pomyślny, podziałały tak,

jak silny wzmacniający środek leczniczy, bo podniosły z chwilowéj prostracyi zaufanie publiczne, zaufanie nietylko wobec podkopanéj w swoim bycie krajowéj instytucyi kredytowéj, lecz także wobec przyszłości ekonomicznéj społeczeństwa. Zanim uchwała sejmowa wyszła z kancelaryi cesarskiéj z potrzebną do jéj prawomocności aprobatą monarszą, nietylko ustał popłoch w kasie oszczędności, jakby za czarodziejskiém zaklęciem, nietylko przestano wyjmować mniejsze i wypowiadać większe wkładki, lecz nadto opustoszały od kilku tygodni lokal dla klienteli wkładającéj oszczędności na książeczki wypełnił się od razu tak szczelnie, że od rana ścisk w nim nieprzerwanie panował. W chwili sankcyonowania sejmowéj uchwały gwarancyjnéj przez cesarza, codzienne wkładki w kasie oszczędności urosły z dziesiątek tysięcy na krocie a ponieważ równocześnie cofano dawniejsze wypowiedzenia wkładek, więc możnaby powiedziéć, że nowi dyrektorowie kasy, mianowani według uchwały sejmowéj przez marszałka krajowego, znaleźli się w położeniu w lutym przez optymistów nawet nieprzewidywaném, wobec—*embarras des richesses.* Oby ta zmiana położenia w kasie oszczędności stanowiła prognostyk, że jak instytut ten, podźwignąwszy się z prostracyi, w którą pogrążył go upadek szalonéj gospodarki poprzedniéj dyrekcyi, wchodzi w okres normalnego, zdrowego rozwoju i rozkwitu, tak i kraj otrzeźwiwszy się z fantasmagoryi ekonomicznych, w jakie popadł pod urokiem nieszczęśliwego, chociaż tak sympatycznego do niedawna i mimo całéj katastrofy dotąd sympatyi niepozbawionego Szczepanowskiego, wejdzie także na tory racyonalnego gospodarstwa inwestycyjnego, bez hazardownego tempa, ale także i bez gnuśnego ociągania się od rozważnie obmyślanych, chociaż przytém śmielszych przedsięwzięć ekonomicznych.

Przygnębienie. w jakie wpadł kraj i sejm na wiadomość o katastrofie w kasie oszczędności i połączonym z nią szeregu innych nieszczęść ekonomicznych, a przedewszystkiém kredytowych, z natury rzeczy najsilniéj odbić się musiało na rozprawach nad budżetem, a to tém więcéj, że już i bez téj despresyi budżet krajowy w tym roku samą ponurą konfiguracyą cyfr w rubryce wydadków i dochodów musiał posłów nastroić posępnie, nawet pesymistycznie. Wypływa bowiem z tych cyfr, mianowicie z ciągłego wzrostu takich rubryk wydatków, które jak np. na szkoły, melioracye i t. p rok rocznie wzrastają, wzrastać będą, a nawet dla dobra kraju wzrastać powinny, w zestawieniu ze stagnacyą i jednostajnością szczupłych rubryk własnych dochodów kraju, że już w roku przyszłym może nastąpić zwichnięcie téj równowagi, jaką przed kilku laty sprowa-

dzono szczęśliwym pomysłem skonwertowania długu indemnizacyjnego. Ciężka troska o budżet nie idzie jednak wyłącznie na karb niedostateczności środków i sił ekonomicznych kraju. Fatalny system podatkowy, który do skarbu państwa ściąga wszystkie źródła dochodów publicznych, a krajowi tak samo jak powiatom i gminom autonomicznym każe żywić się głównie dodatkami do podatków, więc niejako szukać resztek w kieszeni wypróżnionéj już przed tém przez egzekutora podatkowego, udaremnia dotąd wszelkie pomysły zasadniczego uzdrowienia stosunków skarbu krajowego, wogóle autonomicznego. Kiedy wreszcie już i rząd uznawać zaczął konieczność uczynienia wyłomu w tym systemie i skłaniał się do przyznania krajom udziału w podatkach państwowych, nastąpiły owe nieszczęsne zamieszki w radzie państwa, która wskutek tego od dwóch lat jest niezdolną do poważnéj pracy ustawodawczéj, bez któréj reforma powyższa absolutnie dokonać się nie da.

Mimo to wszystko na chwałę sejmu zapisać to należy, że nawet w tak ciężkiéj chwili, wśród depresyi spowodowanéj teraźniejszością i wśród obawy o przyszłość, nie uchylił się od przyjęcia na kraj nowych ciężarów w tych działach spraw i wydatków, w których nietylko cofnięcie się wstecz, lecz już sama stagnacya byłaby poniekąd aktem samobójczym ze stanowiska zdrowego postępu. To téż bez opozycyi uchwalono takie podwyższenie płac nauczycieli ludowych, żeby zawód ten, dotąd rzeczywiście upośledzony i wabiący do siebie w regule tylko kandydatów ze zwichniętą lub zamkniętą w innych kierunkach karyerą, mógł liczyć na przyrost sił świéżych i przydatnych. W rozprawach nad tym przedmiotem otuchę wzbudzało i najtwardszego pesymistę rozbrajać musiało żywe zajęcie się posłów włościańskich sprawą szkół. To zajęcie wprawdzie nie od dziś się datuje, ale dotąd głoszone w pisemkach ludowych i mowach agitacyjnych, uchodziło, chociaż niesłusznie, za frazesy na efekt obliczone, a teraz objawiło się w czynie, już wszelką podejrzliwość uchylającym, w jednomyślném głosowaniu za obciążeniem budżetu krajowego dla polepszenia doli nauczycielskiéj. Jakżeż niepodobni są ci dzisiejsi posłowie włościańscy do swoich antenatów mandatowych z pierwszych lat sejmu, którzy jedną solidarną falangą stawali wpoprzek już nietylko wszelkim śmielszym projektom inwestycyjnym, lecz wogóle wszelkim wydatkom, wychodzącym po za linię demarkacyjną najniezbędniejszych, prymitywnych niejako potrzeb gospodarstwa krajowego. A wydatki na szkoły stanowiły w krótko widzących oczach i w ciasnych głowach pierwszych po-

słów z włościańskiego stanu rodzaj zbytku wyrafinowanego, niejako urągania biedzie ludu, który krwawym groszem swoim miałby się przyczyniać do urzeczywistnienia takich—jak mawiano—konceptów pańskich!

O tej biedzie ludu sejm nigdy nie zapominał, więc i na tej sesyi nie zapomniał, a dowód pamięci, także obciążający budżet krajowy trwałym wydatkiem, złożył w uchwale o urządzeniu gminnych instytucyi kredytowych dla włościan według znanego systemu kas Raiffeisenowskich, których urządzenie w innych prowincyach austryackich zbadała przedtém na miejscu osobna delegacya wydziału krajowego. Inna to jednak kwestya, czy ten dowód pamięci jest wystarczającym w téj chwili, gdy zadłużenie się włościan z jego fatalnemi następstwami doszło do tego stopnia, że nie minie dzień, żeby przez graniczne stacye kolei żelaznych w kierunku zachodnim nie przyjechały z Galicyi mniéj więcéj liczne gromady mężczyzn, kobiét i dzieci, krótko mówiąc, całych rodzin chłopskich, które wyprzedawszy resztkę mienia za bezcen, puszczają się ze skromnemi kwotami za morze, teraz głównie do Kanady, jak przed dwoma laty dla Brazylii, aby tam — przynajmniéj w przeważnéj większości— doznać gorzkiego rozczarowania i zginąć marnie lub w dobrym razie klepać daléj biédę starą, ale już o tyle gorszą, że na obczyznie więcéj ona doskwiera i prędzéj przygnębia. Gdyby to taka uchwała zapadła była w sejmie przed kilkunastu laty, gdy runął lichwiarski bank włościański, a likwidacyę jego objął komitet obywatelski z zapowiedzią, że dążyć będzie do tego, aby jaknajprędzéj znikła ta plama z kredytu galicyjskiego, t. j., aby jaknajprędzéj rozwikłane zostały interesa skrachowanego banku bez różnicy jego dłużników włościańskich! Na likwidatorach tego banku, którymi byli dziś w więzieniu siedzący naczelny dyrektor kasy oszczędności, naczelny dyrektor dziś już likwidującego się banku kredytowego i dyrektor banku krajowego, który to zakład ani w części nie osiągnął celów, wytkniętych mu przy założeniu przez sejm i ówczesnego marszałka krajowego ś. p. dr. Mikołaja Zyblikiewicza, gorzko zawiodło się społeczeństwo, bo prowadzono likwidacyę lata całe, jakby jaką agendę biurową z charakterem synekury, wydawano na płace likwidatorów i kosztownego aparatu urzędniczego w końcu wszystkie spłaty dłużników, a wreszcie doprowadzono aż do tego, że żydzi nabywali zaległe wierzytelności i ściągali je bezwzględnie od włościan, sprzedając ich gospodarstwa na licytacyi. Teraz odzywa się surowa krytyka takiego postępowania wcale śmiało, ale do niedawna jeszcze powaga tych dziś już zaćmionych likwidatorów była tak sztucznie

wyśrubowana, że luźne objawy takiéj krytyki były nawet w prasie albo ignorowane, albo traktowane jako napaść.

Jest to symptom charakterystyczny dla dzisiejszego położenia, że sejm, mający wiele zaległych zadań ustawodawczych i administracyjnych, a nadto wogóle niezbyt skory do pośpiechu w pracy, w tym roku pośpieszył się z powzięciem uchwały, do któréj stosunki nietylko nie nagliły, lecz nawet ściśle rzecz biorąc, na razie przynajmniéj, nie dawały dostatecznego powodu. Chodzi o tak zwane *lex* Urbański, o uchwałę powziętą na wniosek tego posła, a zaostrzającą środki regulaminowéj represyi i dyscyplinarnéj władzy marszałka krajowego, jako przewodniczącego obradom sejmowym, na wypadek nieprzyzwoitego zachowania się posłów wśród tych obrad. Uchwała ta przypomina z formalnéj strony słynną *lex* Falkenhayn, t. j. uchwałę wiedeńskiéj rady państwa, powziętą na schyłku rządów hr. Kazimierza Badeniego pod nieprzepartym naciskiem obstrukcyi Wolfa i Schönerera w połączeniu z zawadyacką frakcyą socyalistyczną, kiedy to izba deputowanych stała się poprostu widownią scen karczemnych, a obmyślenie środków zaradczych, a raczéj represyjnych, stało się niejako kwestyą bytu dla parlamentu. Jak wiadomo *lex* Falkenheyn nie tylko celu nie osiągnęła, lecz nadto zaostrzyła całe położenie w Wiedniu do tego stopnia, że przyśpieszona została katastrofa parlamentarna. Takiego stanu, jaki w swoim czasie w radzie państwa parł ku uchwaleniu wyjątkowych środków regulaminowo-represyjnych, w sejmie naszym niema, nigdy nie było i da Bóg nie będzie. Dla czego więc uchwalono środki wyjątkowe pomimo stanowczéj opozycyi wszystkich żywiołów liberalnych, nawet pomimo rozgoryczenia, jakie w obozie tym już sam wniosek posła Urbańskiego wywołał? To pytanie stawiano zewsząd, a odpowiedź dana na nie, nikogo o konieczności nie przekona. Sam fakt bowiem, że prąd ku rozszerzeniu prawa wyborczego do sejmu na modłę reformy wyborczéj, uchwalonej dla rady państwa, może wraz z piątą kuryą wprowadzić do krajowego parlamentu żywioły burzliwe, trudne do utrzymania w karbach obecnym rygorem regulaminowym, mógłby w najlepszym razie uzasadnić zmianę regulaminu już w saméj chwili uchwalenia zmiany krajowéj ordynacyi wyborczéj, ale nie teraz, gdy zmiana ta jest dopiéro w przyszłości przewidywaną. A zresztą, zkąd ta pewność, że z piątą kuryą wejdą do sejmu żywioły tak burzliwe, albo raczéj nieprzyzwoite? Że z natury rzeczy kurya ta musiałaby wydać reprezentantów radykalniejszego pokroju i niesforniejszego temperamentu, to rzecz wielce prawdopodobna, ale od takiego temperamentu do nieprzyzwoitości jeszcze

daleko, w każdym razie tak daleko, że trudno uznać, ażeby już dziś zachodziła konieczna potrzeba dyskredytowania spodziewanych nowych posłów. Gdybyż przynajmniéj owa *lex* Urbański zawierała takie środki zaradcze, iżby po nich na pewno można oczekiwać zapobieżenia złemu. Ale tak nie jest. Samo wykluczenie z izby na jedno lub kilka posiedzeń, nawet połączone z zamknięciem dyet poselskich, nie ustrzegło wiedeńskiéj rady państwa od ekscesów nieprzyzwoitych, ani ich nie poskromiło, więc w danym razie tak samo byłoby i w sejmie naszym. Nie widać tedy ani zasadniczéj, ani praktycznéj racyi owéj *legis* Urbański, a natomiast widoczne są już teraz ujemne skutki przedwczesnego zerwania się sejmu do równie przedwczesnego rygoru. Skrajne żywioły bowiem zaczerpną tylko otuchy z téj obawy, z jaką stronnictwo konserwatywne już dzisiaj ogląda się na przyszłość i przewidując znaczny wzrost sił przeciwnika, chce się zabezpieczyć przed jego dotkliwemi atakami przynajmniéj w obrębie ścian parlamentu. Z dwóch odcieni tych skrajnych żywiołów jeden tylko, socyalistyczny, może być posądzony o to, że dorwawszy się w sejmie galicyjskim do głosu, którego dotąd jeszcze nie posiada, zechce w danym razie naśladować przykład, dany przez p. Daszyńskiego w wiedeńskiéj radzie państwa na pamiętnych burzliwych posiedzeniach z listopada 1897. Jeżeli zajdzie ta ewentualość, to żadna wyjątkowa norma regulaminowa nie zapobiegnie ekscesom, bo żywioły téj kategoryi mają na celu tylko burzenie i wichrzenie, bez aspiracyi do pracy dodatniéj, a z takimi straceńcami parlamentarnymi każda walka regulaminowa skończyć się musi wielkim uszczerbkiem dla powagi ciała parlamentarnego i jego zdolności do pracy. O ile zaś chodzi o drugi odcień żywiołów skrajnych, o t. z. ludowców, którzy swoimi kandydatami siermiężnymi już w poprzednich wyborach zdobyli kilkanaście mandatów w kuryi gmin wiejskich i w przyszłych wyborach sejmowych nietylko téj zdobyczy nie stracą, lecz owszem jeszcze ją zapewnie znacznie powiększą, uprzedzenie, jakie przebija z owéj *lex* Urbański, nie ma żadnéj podstawy, a nawet krzywdzącém może być nazwane. W ciągu czterech dotychczasowych sesyi bowiem ludowcy w ostatnich wyborach wybrani, nie wykraczali bynajmniéj ani przeciw przyzwoitości, ani nawet przeciw porządkowi parlamentarnemu w ten sposób, żeby niewystarczającym się okazał najlżejszy z dotychczas obowiązujących rygorów regulaminowych, t. j. samo upomnienie marszałka krajowego. Na ostatniéj sesyi posłowie téj kategoryi całém zachowaniem się nawet na zdeklarowanych przeciwnikach swoich niejako wymusić uznanie, że umieją bronić swoich postulatów, atakować i odpiérali

ataki, jak rutynowani parlamentarzyści, z godnością i powagą należną sejmowi i własnemu stanowisku poselskiemu. Pod adresem przyszłych nowych posłów ostatniéj kategoryi *lex* Urbański wygląda niemal tak, jak np. wyglądałby na zaproszeniu na bal dodatek, że nie wolno ani bez butów wejść na salę, ani palcami nosa obcierać!

* * *

Umarł w marcu r. b. w podeszłym wieku jeden z najsympatyczniejszych weteranów naszego parlamentaryzmu we Lwowie i w Wiedniu, ś. p. Leon Chrzanowski, już przed pięćdziesięciu laty głośny ze swojego udziału w ówczesnych burzliwych przejściach politycznych Austryi i Galicyi, późniéj po powrocie do kraju z Francyi jeden z najważniejszych publicystów i długi czas naczelny redaktor głównego organu konserwatywnego w Krakowie, a od brzasku ery konstytucyjnéj aż do ostatniéj chwili gorliwy, całkowicie służbie publicznéj oddany parlamentarzysta. W okresie naszych najgorętszych walk w sejmie i w radzie państwa o wywalczenie szerszego zakresu autonomicznego ś. p. Leon Chrzanowski, chociaż w sejmie do świetnych mówców zaliczać się nie mógł już z tego powodu, że fatalnie się jąkał, a w radzie państwa z powodu niedostatecznéj aż do końca biegłości w władaniu językiem niemieckim wprost nie mógł występować na szerszéj widowni po za granicami swojéj działalności w kole polskiém, — wymieniany był zawsze w szeregu pierwszorzędnych naszych bojowników parlamentarnych, obok ś. p. Zyblikiewicza, Ziemiałkowskiego i innych. Wysokie stanowisko zawdzięczał on niewątpliwie zmysłowi politycznemu, który zawsze wskazywał mu właściwą drogę w obronie interesów krajowych, wyjątkowéj bezinteresowności w téj obronie, wreszcie benedyktyńskiéj pracowitości, któréj rezultaty zebrane z samych tylko druków sejmowych, złożyłyby się na całą bibliotekę. A trzeba zaraz dodać, że referaty sejmowe ś. p. Chrzanowskiego nie obejmowały spraw podrzędnych. Dla niego nie było wogóle tak drobnéj kwestyi krajowéj, żeby ją bagatelizował, a przytém umiał zawsze klasyfikować sprawy należycie nietylko według ich aktualnéj doniosłości, lecz także ze stanowiska ich przyszłego rozwoju i stosownie do tego opracowywał nieraz w formie prawdziwych studyów to, co kto inny w dorywczéj pracy parlamentarnéj byłby może zbył krótkim referacikiem. W ten sposób np., jako coroczny referent sejmowy zamknięć rachunkowych funduszu indemizacyjnego,

utrzymywał tę sporną między państwem a krajem, ważną sprawę w ciągłéj a tak przejrzystéj widoczności prawnéj i finansowéj, że gdy ona późniéj i aktualnością i finansową wagą swoją wybiła się na czoło wszystkich spraw krajowych i wymagała stanowczego a ostatecznego załatwienia, był już dzięki ś. p. Chrzanowskiemu w pogotowiu materyał wybornie opracowany dla dalszych rokowań.

Szczegóły te niekompletne i dorywczo tylko podniesione nie mogą uchodzić za obraz całéj działalności publicznéj ś. p. Leona Chrzanowskiego. Chodziło nam tylko o zaznaczenie jéj wydatności, aby do tego nawiązać narzucającą się uwagę o niewdzięczności zawodu parlamentarnego, którą dobitnie ilustruje ostatni okres życia ś. p. Leona Chrzanowskiego. Zdawało się, że dopóki Chrzanowski może i chce pracować, nie braknie go nigdy w sejmie na tém krześle, na którém zasiadł przed trzydziestu kilku laty, po pierwszych zaraz wyborach. Tymczasem kapryśna wyborcza *aura popularis* zgotowała mu tę gorycz, że w ostatnich wyborach sejmowych nietylko opuścił go dawny (krakowski) okrąg wyborczy, lecz nawet nie powiodło się zabezpieczyć mu mandatu w innym okręgu sejmowym, ani w powszechnych, ani w późniejszych uzupełniających wyborach. Ostatnie lata życia miał tedy zatrute tą myślą, że mimo zasług położonych, mimo nieosłabionéj ani wiekiem ani trudami chęci, gotowości i zdolności do pracy, iść musi w odstawkę. Z trudem powiodło się przyjaciołom utrzymać Chrzanowskiego przy mandacie do rady państwa, ale już nie w okręgu, z którego dotąd posłował, lecz tam, gdzie szczęśliwym dlań zbiegiem okoliczności zawakował mandat i nie nęcił bardzo innych kompetentów. Dla ś. p. Chrzanowskiego, nie władającego dobrze językiem niemieckim, licha praca w obrębie koła polskiego nie była wystarczającą, bo nie wypełniała ani jego przeszłością całkiem uprawnionych aspiracyi politycznych, ani nawet téj istnéj zachłanności do pracy, która go w całém życiu zaszczytnie cechowała. Miał tedy ś. p. Chrzanowski na schyłku życia najsłuszniejszy powód do goryczy, któréj wprawdzie nie okazywał, który jednakże wszyscy bliżsi mu uznawali za uzasadnioną. Takie przykłady niewdzięczności polityki mogłyby zniechęcać, nawet odstraszać wielu młodych adeptów.

Gdyby kto chciał u nas przeprowadzać ścisły rachunek z polityką, musiałby go w téj chwili zamknąć wielkim minusem, bo do tych ofiar, jakie ona już w normalnym biegu rzeczy pochłania, wyczerpując talenta i przymioty, które na inném polu pracy społecznéj mogłyby zabłysnąć i przynieść wielkie korzyści, przybywają w téj

chwili ofiary nadzwyczajne. W całéj naszéj najświeższéj katastrofie kredytowo-ekonomicznéj demon państwowy także fatalną odegrał rolę. Skompromitowanym tak ciężko dyrektorom obu przesileniem dotkniętych lwowskich zakładów kredytowych zachciało się odgrywać wybitną rolę polityczną, kierować wyborami, nadawać ton polityczny i t. p., a ten alians finansów z polityką z pewnością nie wyszedł na dobre instytucyom pod ich zarządem zostającym. I Szczepanowski nie byłby może runął w przepaść, — tak głęboko przynajmniéj, — gdyby nie nieszczęsna polityka ze swojemi podszeptami zdradliwemi, któréj fantastyczny umysł tego nieodżałowanego bądź co bądź działacza naszego poddał się na ślepo. Przypominają się i pod tym względem słowa Goethego, który politykę nazwał brzydką rzeczą. Mimo całéj brzydoty swojéj polityka nie straci siły przyciągającéj, bo w życiu społeczeństwa stanowi ona potrzebą żywotną, równorzędną z innemi, z których każda, niejako z natury swojéj, w taką siłę jest wyposażona, i dlatego w normalnym przebiegu życia zawsze znajduje gotowe do usług siły i — ofiary, Ale niechżeżby takie przykłady jak powyższe uważane były za potrzebną w dzisiejszych naszych stosunkach przestrogę, że służba polityczna stanowi rzeczywiście służbę i to twardą, a nie zabawkę, misyę poważną i zawód uciążliwy, a nie wstęp tylko lub akcessoryum do szerszéj karyery. Gdyby przestrogę taką można było trwale wpoić w społeczeństwo, mniéj byłoby w polityce niepotrzebnego i już z tego powodu szkodliwego balastu dyletanckiego, a zarazem mniéj depprawacyi moralnéj na bardzo podatnym do tego gruncie politycznym.

Ita.



Walka rzemiosł z przemysłem wielkim w Niemczech.

Olbrzymi rozwój przemysłowy zrzeszonych Niemiec, które idą obecnie w zawody z klasycznym krajem przemysłu — Anglią, sprowadził dwie głębokie zmiany w układzie sił społecznych państwa niemieckiego z jednéj: strony stworzył robotników fabrycznych nieznanych wiekom średnim, z drugiéj podkopał byt samodzielnego rzemiosła, zwężając stopniowo zakres jego działalności wytwórczéj. Warstwa robotnicza ludności postarała się wyrobić dla siebie o lepsze warunki bytowania. Ześrodkowana w ogniskach przemysłowych i uświadomiona, zdołała rozbudzić w opinii publicznéj, prasie i sferach kierujących zainteresowanie dla swych żądań. Sprawa robotników stała się kwestyą, któréj nikt nie odmawia posłuchu. Uwzględniając jéj wymagania, parlament poświęcił wiele czasu na stworzenie prawodawstwa fabrycznego z całym aparatem ochrony zdrowia, moralności, zabezpieczenia bytu robotników na wypadek śmierci, kalectwa lub niedołęstwa. Zupełnie odmiennym losom uległa kwestya rzemiosł w Niemczech.

Gorączka przemysłowa, która opanowała była wszystkie umysły w pierwszych latach po utworzeniu cesarstwa niemieckiego, odwróciła uwagę ogółu od przewrotu, jaki się wśród rzemiosł dokonywał; a postęp techniczny i kulturalny, idący wślad za rozwojem przemysłowym, wynagradzał sowicie straty, na które tryumf nowéj formy produkcyi narażał rzemiosło. Konferencye rzemieślnicze, pety-

cye do parlamentu, opatrzone tysiącami przepisów, skargi i żale w pismach specyalnych, żądanie wprowadzenia przymusu cechowego, — wszystkie te głosy wysadzonych z siodła pracowników nie znajdowały posłuchu u sfer rządowych i nie wybiegły po za ciasne koła osób bezpośrednio zainteresowanych. Dopiero w ostatnich czasach przyczyny natury czysto politycznéj nadały pomyślniejszy obrót sprawie rzemieślniczéj i wybawiły ją z przykrego położenia kopciuszka opinii publicznéj.

Niezaspokojona w swych wymaganiach, partya społeczno-demokratyczna nie porzuca pozycyi bezwzględnie opozycyjnej w stosunku do reform prawodawczych, które półśrodkam, paliatywami nazywa; ciągły a potężny wzrost téj partyi zapowiada na przyszłość niekorzystne dla rządu ukształtowanie się sił politycznych kraju. Szukając przeciwwagi dla tych tendencyi przewrotowych w warstwach bardziéj lojalnych, sfery rządzące zwróciły baczniejszą uwagę na rzemieślników i chłopstwo, stany podtrzymujące tron i koronę, wypróbowane w swéj wierności dla ideałów monarchicznych i w swéj nienawiści dla przewrotu.

Z tego puktu widzenia zubożenie stanu rzemieślniczego, zmniejszenie jego liczebności przestaje być wyłącznie procesem ekonomicznym, a nabiera znaczenia politycznego i zasługuje na uwagę rządu, bo uszczupla warstwy, które są partyami porządku i ładu społecznego; przemysł ze swéj strony nie stawia już obecnie, jak to czynił dawniéj, przeszkód dla zaopiekowania się rzemiosłem, bo do tyla okrzepł i rozrósł się, że nie obawia się powalonego przeciwnika. Zaalarmowana opinia i prasa, o ile poprzednio zamykały oczy na przeobrażenia w świecie rzemieślniczym, obecnie za przykładem idącym z góry rzuciły się z gorliwością do nowej kwestyi, naprawiając długotrwałe zaniedbanie ogłaszaniem ankiet, rozsyłaniem kwestyonaryuszów, sążnistemi artykułami. Fale wzmożonego ruchu dobiegły do instytucyi naukowych i wywołały poważniejsze w tym kierunku badania uczonych, nad któremi ster objęło stowarzyszenie „*Verein für Socialpolitik*". W poczet członków tego związku wchodzą najpoważniejsi ekonomiści Niemiec, zarówno teoretycy, jak praktycy, którzy umieją odczuć prądy i potrzeby chwili. W ósmym dziesiątku lat bieżącego stulecia uwagę *Verein'u* pochłaniały badania nad towarzystwami akcyjnemi handlem zewnętrznym, cłami i ubezpieczeniami.

Handel ustąpił miejsca w dziewiątém dziesięcioleciu prawodawstwu fabrycznemu; to ostatnie obecnie zastąpiły sprawy: rzemieślnicza i chłopska. W szczęśliwą widocznie godzinę przystąpił

„Verein“ do pracy nad rzemiosłem, która nadspodziewanie bogaty plon wydała. Z najrozmaitszych miejscowości państwa, z zapadłych wsi, olbrzymich miast, z północy i południa, ze Szlązka i prowincyi nadreńskich nadsyłano „Vereinowi“ monografie (w liczbie 112), opisujące z systematycznością i ścisłością niemiecką warunki, w których znajduje się pewna gałąź rzemiosła na badanym obszarze. Większość prac została zapoczątkowana i wykończona w seminaryach uniwersyteckich; kilka z nich przybrało szatę dysertacyi doktorskich, — a prawie żadna nie jest pozbawiona znacznéj wartości naukowéj [1]).

Dziewięć tych tomów o 5233 stronicach nie tyle daje prawdziwy i dokładny obraz położenia rzemiosł w Niemczech, ile wykrywa warunki, wśród których ono pewne a nie inne przybiera kształty, wyświetliło czynniki składowe, tendencye rozwoju, nakréśliło drogę, na którą ogólne warunki życia społecznego wpychają rzemiosło.

By nadać wnioskom wyciąganym z monografii „Stowarzyszenia“ niezachwianą powagę i wykryte przy badaniu jednéi miejscowości wywody módz rozciągnąć na państwo, trzeba oprzeć się na materyale statystycznym. Dane statystyki zawodowéj, zbierane przez cesarski urząd statystyczny r. 1882 i 1895 najzupełniéj czynią zadość téj potrzebie, uzupełniając luki pracy „Vereinu“ [2]). Obliczają one w cyfrach straty, jakie każda gałąź rzemieślnicza poniosła w walce z przemysłem, wskazując zanik jednych gałęzi i stopniowy upadek innych.

Że jednakże nie we wszystkich miejscowościach warunki życia ekonomicznego są jednakie i różnorodność tych warunków wpłynąć może na stan rzemiosł, więc zestawienie stanu rzemiosł w miejscowościach odmiennych daje możność uchwycenia tych różnic. Ankieta rzemieślnicza, podjęta w r. 1895 przez powyższe biuro statystyczne, obejmując miejscowości najróżnorodniejsze, daje materyał cyfrowy uwzględniający odmienne warunki bytu rzemiosł po wsiach i w miastach [3]). Dane te zostały opracowane, ustawione i uzupełnione przez uczonych téj miary, jak Bücher, Voigt, Schmoller

---

[1]) *Schriften des Vereins für Socialpolitik. Untersuchungen über die Lage des Handwerks.* 9 tomow.

[2]) *Statistik des deutschen Reichs.* tomy II—VII, 1896.

[3]) *Erhebung über die Verhältnisse im Handdwerk.*

i Stiedaa [1]) Z nich czerpać będę materyał, kreśląc przed oczyma czytelnika obraz obecnego stanu rzemiosł w Niemczech. Nie unikam cyfr i zestawień statystycznych, byle obraz uczynić pełniejszym i w szczegółach wyrazistszym, uważając, że dla kraju naszego, który kroczy szlakiem utartym na zachodzie, losy rzemiosła niemieckiego mają nietylko znaczenie toretyczne. ale zapowiadają *mutatis mutandis* przyszłe przeobrażenia naszego stanu rzemieślniczego.

I.

Przed stu laty cała wytwórczość Niemiec, za wyjątkiem kilkunastu fabryk, spoczywała w rękach stanu rzemieślniczego, ujętego w ścisłą organizacyę przymusu cechowego.

Prawodawstwo nie znało pojęcia obywatela, tylko oddzielne stany, z których każdy miał odrębne prawa, przywileje i obowiązki. Stan rzemieślniczy, ześrodkowując się w miastach, dzielił się na rozmaite cechy. Urząd majstrów stał na straży monopolu cechowego, który już wtedy był źródłem bardzo wielu nadużyć. Starając się podstępnie uniemożliwić czeladnikom otrzymanie tytułu majstra, cechowi wywołali pojawienie się tajemnych majstrów t. z. freimajstrów, z którymi nietylko procesy, ale krwawe staczano boje. Magistraty, chcąc pośrednio ukrócić tendencye monopolowe cechów, ulegalizowały z czasem freimajstrów, pozwalając im za pewną opłatą pracować w pojedynkę. W łonie samego też stanu rzemieślniczego często wynikały spory między różnemi cechami, gdy szło o rozgraniczenie sfery wytwórczéj.

Kroniki sądowe z końca zeszłego stulecia przepełnione są procesami o to, jakie rzemiosło ma wytwarzać pewien przedmiot, wkraczający w sferę kilku pokrewnych gałęzi. — Te i inne wyłaniające się powikłania nie wpływały jednak na ogólne tło gospodarki społecznéj, któréj rzemiosło było tylko jedną gałęzią. Główne tego tła cechy: brak zrzeszenia się i ograniczony do *minimum* rynek zbytu.

Wyrazem pierwszego był zakaz trzymania przez majstra więcéj nad ściśle ograniczoną liczbę (od 1 do 3) czeladzi i utrzymywa-

---

[1]) *Büchner. Referat. Verhandlung der Generalversammlung des Vereins für Socialpolitik. 1897. — Voight. Das deutsche Handwerk nach der Berufszählungen. — Stieda. Handwörterbuch für Staatswissenschaft. Schmoller. Zur Geschichte der deutschen Kleingewerbe in XIX Jahrhundert.* 1870.

nia więcéj nad jeden warsztat. Takie zakazy, stanowiające skuteczną tamę koncentracyi i specyalizacyi rzemiosła, łatwo wytłómaczyć się dają warunkami zbytu. Brak tanich, szybkich i dogodnych środków przewozowych znacznie ograniczał rynek zbytu dla wytworów pracy rzemieślniczéj: miasto, poblizkie wsie, jarmark doroczny w mieście o kilka mil odległym—to były punkty, do których dochodziły wyroby rzemieślnicze. Wobec takich warunków zbytu między wytwórcą a spożywcą—majstrem i klientem—wynikały bardzo zażyłe stosunki, oparte na sąsiedztwie, znajomości i pokrewieństwie. Ludność miejska nie ulegała nurtującym ją obecnie zmiennym prądom sezonu i mody, nie szukała magazynu, by pośród rozmaitych, często cudzoziemskich modeli wybrać dla siebie najodpowiedniejszy. Zaopatrzywszy się w surowy materyał, szedł klient do poblizkiego znajomego majstra i stalował podług odwiecznych fasonów rzecz dla się potrzebną. Między spożywcę a wytwórcę nie był się jeszcze wkradł pośrednik, niebezpieczny wróg niezależności majstrowskiéj. Widocznie już wtedy cechy przeczuwały niebezpieczeństwo, jakie im grozi ze strony magazynu, bo wobec jego zalążków wymusiły na prawodawcy wydanie zakazu nabywania na sprzedaż wytworów pracy rzemieślniczéj. Kroniki sądowe Frejburga z końca ubiegłego stulecia opowiadają nam przebieg sprawy podobnéj. Malarz miejscowy za dług niespłacony wziął stare meble, odświeżył i puścił w handel. Gdy na téj trakzakcyi zarobił, począł na większą skalę meble stare skupywać potém i nowe od majstrów miejskich. Interes się rozwijał, bo wiejska ludność szczególnie spodobała sobie ten sposób kupowania mebli. Cech pociągnął właściciela magazynu do odpowiedzialności, na mocy wyroku magazyn zamknięto, choć malarz udowodnił, że niejednemu z majstrów wygodził, przyjmując gotowe sprzęty, które bez jego pośrednictwa długoby czekać musiały na nabywcę.

W ciągu ubiegłych lat stu całokształt życia społecznego uległ poważnemu przeobrażeniu, znikł przymus cechowy, opadły pęta nałożone na produkcyę techniczną i powstały ogniska wielkomiejskie, kraj cały porznęły sieci kolejowe. W tym pochodzie ewolucya nie ominęła i stanu rzemieślniczego: zakres jego wytwórczości znakomicie się zwęży, liczba majstrów zmalała, cały stan zubożał, bezpowrotnie stracił dawniejszą rolę w gospodarce społecznéj. Zjawisko to rozkładowe jest powszechne i działa z szybkością, która wywołała na ustach profesora Büchera hamletowskie pytanie, skierowane do współczesnego rzemiosła: być albo nie być. By ocenić grozę położenia, uprzytomnijmy sobie obecnie warunki gospodar-

cze, do których przystosować się musi średniowieczna forma wytwarzania—rzemiosło. Mylném jest utarte przypuszczenie, że maszyna i wynalazki techniczne zabijają rzemiosło; nie one są głównym wrogiem rzemiosła, ale zmiana warunków zbytu i sposobu konsumpcyi.

Koleje zniosły dla towarów przestrzeń i doprowadzają je do każdéj cząstki organizmu społecznego, jak arterye — krew w ludzkim organizmie. Wyroby rzemieślnicze wybiegły po za rogatki swego miasta i wsie poblizkie; wieziony koleją towar dochodzić może do miejscowości o setki mil odległych od miejsca wytwarzania. Zerwana spójnia między wytwórcą i spożywcą, czemu sprzyjają masowe wędrówki ludności i ciągłe przenoszenia się z miejsca na miejsce. Średniowieczna forma wytwarzania — majster z dwoma czeladzi — najzupełniéj odpowiada potrzebom rynku, obejmującego miasto i wsie poblizkie. Gdy jednak rozmiar rynku rozrasta się i obejmuje wielkie obszary, rzemiosło w swéj formie przestarzałéj traci grunt pod nogami. W parze z rozrostem rynku idzie zrzeszenie zapotrzebowania, wywołane przez wielkie ogniska przemysłowe, potężne armie i olbrzymy-magazyny. Dostawa z góry obliczona, regularna, peryodyczna, o rozmiarach olbrzymich, produktu wytwórczości rzemieślniczéj rodzi w niéj nowe formy, produkcyi, bo wydołać im nie może wzór stary: majster z gromadką czeladzi. Powstaje cały szereg przedsiębiorstw, które choć same przez się nie wybiegły jeszcze po za sferę pracy rzemiosł, ogromem swym ramy ich już przerosły. Gdy inicyatorowie wystawy lipskiéj w r. 1896 zwrócili się do związku majstrów ciesielskich o warunki budowy halli centralnéj, związek nie mógł się zdecydować z powodu krótkiego czasu i ryzyka. Wielka firma zaś budowlana z Frankfurtu w dzień otrzymania oferty dała telegraficzną odpowiedź, a po dniach ośmiu już setki robotników heblowały drzewo z Galicyi sprowadzone. Również nowéj formy wymaga budowa dworców, mostów i instalacyi fabrycznych.

Już nietylko rynki zbytku, ale i sposób spożywania uległ zmianom nawet w sferze najbardziéj odpornéj na reformy, w gospodarstwie domowém. Dawniéj gospodyni, chcąc „sprawić“ sobie sofę, obsadę zamawiała u stolarza, skórę wybierała u garbarza i u siebie kazała tapicerowi wyściełać i skórą obciągnąć. Całym procesem wytwarzania kierowała pani domu, poświęcając temu wiele czasu, trudu i zachodów. Jaka teraz gospodyni w większém mieście poświęci kilka dni czasu na szukanie odpowiednich majstrów i dobór

materyału? Idzie do magazynu i śród setek sof wybiera najodpowiedniejszą.

Rozpowszechnianiu wielkich magazynów sprzyja obok wielu innych czynników powszechny prąd demokratyczny, który obejmuje w sferze spożywania szerokie masy ludności. Już teraz mamy moc przedmiotów, które spotykamy w każdém urządzeniu domowém; wzrastająca skala dobrobytu i oświaty wpływa na ujednostajnienie potrzeb, ulegających prądom mody i sezonu.

Całe więc środowisko społeczne, w którém obraca się rzemiosło, pcha je w kierunku zrzeszenia. Skupienie ludności roboczéj przy jednym lub kilku warsztatach nie pozostaje bez wpływu: albo pobudza wynalazczość i przenosi sprawę wytwarzania w mury fabryczne, albo sprzyja specyalizacyi i robieniu na zapas dla magazynów. Te ostatnie pozbawiają majstra samodzielności i czynią go człowiekiem sprzedającym pracę.

Zanim wprowadzimy czytelnika w sferę cyfr i tablic statystycznych, nakréślimy postaci przeobrażeń, którym ulega wedle prof. Büchera wytwórczość rzemieślnicza: 1) zanik rzemiosła wskutek odpowiedniéj fabrykacyi, 2) zwężenie sfery wytwórczości, 3) wchłonienie rzemiosł przez większe przedsiebiorstwa, 4) upadek rzemiosł przez zmianę potrzeb, 5) sprowadzenie rzemiosł przez magazyny do pracy domowéj.

I. Całe gałęzie dawniejszego rzemiosła, śmiertelnym ciosem maszyny ugodzone, przeniosły się w mury fabryczne, stały się składowemi częściami wielkiego przemysłu. Obecnie już tylko historya i niektóre „szczątkowe" pozostałości świadczą o pochodzeniu pracy rzemieślniczéj, w wyrobach bawełnianych, wełnianych i kilku gałęziach przemysłu metalowego. Długotrwała zaciekła walka druzgocącéj techniki z wypieranem rzemiosłem obfitowała w tak krwawe epizody głodowych cierpień, nieludzkich wysiłków, ślepych szamotań, że obraz ich zdolen jest poruszyć najtwardsze serca i łzy z oczu wycisnąć.

Dramat Hauptmana „Tkacze" przedstawił powyższy proces dziejowy na Szlązku, gdzie ślepy, rozpętany żywioł naraz zdruzgotał tysiące istot ludzkich i popchnął do przestępstwa i zbrodni. A każda ofiara postępu dziejowego przemawia do widza: „Cierpią bez winy". Dramatyczna ta walka o rozmaitym napięcia odbywa się na całym obszarze świata cywilizowanego. Jakie rzemiosła i w jakim stopniu znikają z życia przemysłowego Niemiec, ujrzymy z danych statystycznych Urzędu cesarskiego.

II. W walce rzemiosł z przemysłem prócz klęski, która obejmuje całe rzemiosło w mury fabryczne, zdarzają się częściowe porażki, stopniowe zwężanie sfery wytwórczości. Pierwsza przyczyna działa gwałtownie i wskutek tego ściąga uwagę ogółu, lecz i druga również skutecznie, choć nie tak szybko, osłabia organizm rzemieślniczy, odrywając od niego członki najżywotniejsze, przyprawiając go o ciągły upływ krwi. W najrozmaitszych formach przejawia się ta dążność przemysłu do tuczenia się na koszt rzemiosł. Często fabryka przejmuje od rzemiosła pierwsze stadya przeróbki surowego materyału, pozostawiając mu zastosowanie fabrykatu do gustu i miary klienta. Typowym przykładem, cholewki szewckie, które narazie wywołały zwiększenie liczby majstrów; klucze, wyrabiane przez fabryki dla ślusarzy etc.—Prawie każde rzemiosło ma w sferze swéj wytwórczości artykuły, które nadają się do maszynowéj produkcyi i masowéj konsumpcyi. Takie artykuły odpadają od rzemiosła, przechodzą do fabryk.

Gdy kilka tych czynników działa na rzemiosło w połączeniu, stanowisko majstra chwiać się poczyna i sprowadza się, jak u ślusarzy, blacharzy, cieśli i innych, do podrzędnego zajęcia „dopasowywacza" instalatora, robotnika. — Często kilka rzemiosł łączy się dla wytworzenia pewnego artykułu; połączenie różnorodnych warsztatów w kombinacyi z motorami staje się czémś pośredniém między fabryką właściwą, a średniowieczném rzemiosłem. W warsztatach dla wózków dziecinnych widzimy zjednoczoną pracę kołodziei, koszykarzy, stolarzy, ślusarzy, lakierników i malarzy. Nie mniéj najrozmaitszych majstrów zatrudnia fabryka mebli, lokomotyw, instylacye fabryczne browarów, młynów, cukrowni. Wszystkie te nowe formy produkcyi zwężają zakres działalności typowo-rzemieślniczéj, nie dobijając nagle, podkopują samodzielny byt rzemieślniczy, wprowadzają do tego świata pierwiastki dawniéj nieznane. Niema prawie obecnie jednego rzemiosła, któreby przez to zwężenie swéj wytwórczości nie ucierpiało.

III. Wielkie przedsiębiorstwa wchłaniają rzemieślników, pozbawiając ich niezależności i najlepiéj płacącéj klienteli. Przy każdéj większéj fabryce potrzebne są usługi rzemieślnika: w browarach bednarza, przy tramwajach kowala, w fabrykach statków parowych tapicera i t. d.

Zamiast do każdéj roboty stalować majstra, fabryki najmują go na stałe i w ten sposób włączają w personel fabryczny. Pod względem technicznym rzemiosło nie ucierpiało żadnéj zmiany, pod względem jednak społecznym stan rzemieślniczy pozbawia się swéj

niezależności, bo majster staje się najemnikiem, sprzedającym siłę swą roboczą pracownikiem.

IV. Przeobrażenie całokształtu naszego życia gospodarczego wpłynęło na zmianę naszych potrzeb i przyzwyczajeń. W gospodarstwie domowém wyliczyć możemy dziesiątki sprzętów, które teraz zanikają wobec nowoczesnych udoskonaleń: kadzie dla przechowania mięsa, kapusty, fasoli, beczki do wody i kubły straciły racyę bytu wobec wodociągów i codziennego nabywania produktów spożywczych w sklepach. Dawniéj w każdym domu był choć jeden kołowrotek, dziś widzieć go możemy albo na scenie, albo w muzeum. Tokarze i bednarze najbardziéj ucierpieli na zmianach, które zaszły w potrzebach społeczeństwa. Rozwój środków przewozowych rozciąga wpływ tych zmian na szerokie obszary państwa i przerzedza szeregi rzemieślników.

V. Przypomnijmy, jak się obawiały cechy wtargnięcia do pracy rzemieślniczéj pośrednictwa kupieckiego. Dopóki klient zwraca się bezpośrednio do majstra z obstalunkiem, i ten mu go wykonywa, niezależność stanu jest zapewnioną. Niestety, coraz większa masa ludności miejskiéj przechodzi od rzemieślnika do magazynów, gdyż na korzyść tych ostatnich przemawiają dobór i różnorodność towaru, możność wyboru, elegancka obsługa i natychmiastowe załatwienie sprawunku. Nie łatwo dziś o młodą gosposię, która, potrzebując urządzenia dla swego mieszkania, ominie magazyn, w którym wszystkiego, począwszy od garnków i skończywszy na meblach salonowych, kupić w godzinę można; czy zdecyduje się na odbycie wędrówki po przedmieściach do majstrów, którzyby jéj na obstalunek robili? Jaki ambaras, kłopot, koszta, a gdzież pewność, że na czas i podług fasonu sumiennie wykończą.

Widoczna przewaga magazynów znajduje potwierdzenie w ogromném ich rozpowszechnieniu. Bücher ze studyów monograficznych wyprowadza wniosek, że przy produktach nie ulegających szybkiemu zepsuciu, konsumowanych gromadnie i szematycznie, pośrednictwo magazynów jest nieuniknione. Posiadając odpowiedni kapitał obrotowy, majster idzie za prądem chwili i, chcąc utrzymać swe stanowisko niezależne, obok warsztatu otwiera magazyn, łączy zawód kupca i rzemieślnika. Większość jednak (mówimy jedynie o stosunkach panujących w olbrzymich miastach), pozbawiona klienteli, pracuje na zamówienie właściciela magazynu — kapitalisty.

Przedstawiliśmy tedy przeobrażenia, jakim ulega rzemiosło, przystosowując się do obcego dla siebie środowiska — nowożytnéj

gospodarki społecznéj. Opisane przez nas tendencye rozwojowe, przejawy zaniku lub upadku pewnych gałęzi rzemiosł, wyświetlone przez monografie, nie przejawiają się z jednaką siłą we wszystkich gałęziach rzemiosł; prędzéj nazwać je można wytycznemi nowego kierunku, do których dąży w rozmaitym stopniu wytwórczość rzemieślnicza. Jak koléj nie wyparła z życia naszego bardziéj pierwotnych środków lokomocyi, a światło elektryczne — nafty i łuczywa, kryjących się w chatach wieśniaczych — fabryki i magazyny również nie zdołały wyprzeć całkiem rzemiosła. Ścisłe dane statystyczne dadzą nam prawdziwy i dokładny obraz panujących stosunków, pozwolą nam ocenić, jak daleko zaszedł proces dziejowy, którego kiełkujące pędy powyżéj wskazaliśmy.

Statystyka zawodowa z lat 1882 i 1895 daje odpowiedzi na następujące pytania: ilu każdy zawód zatrudnia: 1) majstrów samodzielnych, 2) samodzielnych ale pracujących na cudzy rachunek (dla magazynów), 3) czeladzi i uczniów, 4) nie wyspecyalizowanych pracowników, 5) personelu kupieckiego i technicznego i 6) kobiet. Zestawienie zebranych danych, dotyczących dziesięciu głównych grup wytwórczych, podajemy w poniższéj tablicy: (pastrz str. 510).

Tabela ta wskazuje, że w ciągu ubiegłych lat trzynastu 100,000 majstrów znikło z powierzchni życia przemysłowego Niemiec, że liczba ich zmniejszyła się o 7%, a w stosunku do wzrostu zaludnienia (+14%) o 19%, liczba zaś najemników niepomiernie wzrosła, i przeciętna najemników zatrudnionych w jednym warsztacie podniosła się z 1,7 na 2,5.

Tabela ta jednakże nie wystarcza dla zrozumienia przebiegu interesującéj nas sprawy. Raptowny i błyskawiczny upadek jednego rzemiosła, zestawiony i wchłonięty przez *status quo ante* pokrewnéj gałęzi, która uniknęła druzgocącego ciosu techniki, nie da się ujawnić w świetle cyfr, wyprowadzonych z przeciętnéj. Jedynie analiza bliższa każdéj z grup wytwórczości pozwoli nam wywnioskować: 1) jakie rzemiosła wyparte zostały zupełnie z gospodarstwa współczesnego, 2) które toczą walkę z przeradzającym się przemysłem i 3) które nareszcie mają do czasu byt zapewniony.

Pierwsza grupa tabeli rozpada się na dwa oddziały: 1) wyroby z kamienia i marmuru, 2) wyroby z gliny, syderolitu, majoliki etc. W pierwszym odziale liczba zatrudnionych wogóle wzrosła o 60%, kobiet o 50%, personel handlowy, techniczny wzmógł się wdwójnasób. Wskutek powyższych zmian, zaszłych w ciągu lat trzynastu, w r. 1882 na samodzielnego majstra przypadało 2,8 najemników, w 95 r. 7,1. Na zasadzie tych danych wnosimy, że pierwszy oddział naszéj grupy szybko przechodzi w zakres średniego przemysłu.

	1882				1895			
	Ilość samodzielnych	Ilość najemników	Ogółem zatrudnionych	Na 1 samodzielnego najemników	Ilość samodzielnych	Ilość najemników	Ogółem zatrudnionych	Na 1 samodzielnego najemników
I. Kamieniarstwo, garncarstwo, wyroby z gliny, marmuru etc.	22 035	99.745	121.780	4,5	17,972	145.300	163.272	8,1
II. Wyroby metalowe	160.019	330.972	490.991	2,1	149.136	635.196	784.332	4,3
III. Wyroby precyzyjne (broń, wagi, przyrządy matematyczno-optyczne) . . .	65.269	72.783	138.052	1,1	65.608	105.635	171.243	1,6
IV. Produkty leśne, tłuszcz, materyały palne	2.830	5.860	8.690	2,1	2.242	9.414	11.656	4,2
V. Przemysł włóknisty	272.581	465.120	737.701	1,7	146.989	596.503	743.492	4,1
VI. Wyroby z papieru i skóry . . .	56.198	108 502	164.700	1,9	58.641	155.940	214.581	2,7
VII. Wyroby z drzewa	204.271	278.914	483.185	1,3	190.773	418.247	609.020	2,2
VIII. Artykuły spożywcze	194.171	302.871	497.042	1,6	195.166	423.667	618.833	2,2
IX. Odzież.	427.608	321.673	749.281	0,75	430.570	358.161	788.731	0,8
X. Budownictwo	146.175	580.121	726.296	4.0	177.012	777.705	954.717	4,4
Razem . . .	1.155.157	2.566.561	4.117.718	1,7	1.434.109	3.652.768	5.059.877	2,5

Drugi oddział nie uniknął również prądu koncentracyi, bo liczba majstrów zmalała o 3,4%, najemników wzrosła o 42%, tempo jednak tego prądu ulega oscylacyom w poszczególnych gałęziach. W wyrobach kunsztownych z gliny na 1 samodzielnego majstra przypada 11,2 najemników, w wyrobach naczyń kuchennych 3,9, w zduństwie 2,1. Do pierwszéj grupy należy jeszcze jeden dział — wyrób cegły, wyroby z fajansu i porcelany, który jednakże zupełnie odpadł już od rzemiosła, o czém przekonywa następujące zestawienie:

	1882 r.	1895 r.
Samodzielnych majstrów	11,772	9,439
Najemników	139,651	218,798
Na 1 samodzielnego najemników	11,7	23,1

Druga grupa, wyroby metalowe najbardziéj ucierpiała. Liczba samodzielnych majstrów w całéj grupie zmniejszyła się o 8%, w zestawieniu z wzrostem ludności o 18,9% przy jednoczesném wzmożeniu się liczby najemników o 92%. By uwidocznić bardziéj tendencye rozwojowe, dodamy, że liczba zatrudnionych wogóle wzrosła o 60% kobiét—82%, gdy w r. 1882 na 1 samodzielnego majstra przypadało 2,1 najemników w 95 r. 4,3. Wprawdzie we wszystkich prawie rzemiosłach naszéj grupy liczba samodzielnych majstrów zmalała, a najemników wzrosła, jednakże te objawy zrzeszenia przybierały odmienne tempa w poszczególnych rozgałęzieniach przemysłu metalowego. Warsztaty, wyrabiające gwoździe, śruby i łańcuchy, potraciły 40% swoich majstrów, a igły i siatki druciane — 35,5%. Nawet tak względnie konserwatywna gałąź, jak kowalstwo, wskazuje zmniejszenie liczby majstrów o 13%; mniéj ucierpiały kotlarnie (8%), warsztaty dla wyrobu kos, noży i narzędzi żelaznych (4%), ślusarze (2%). Są nawet i takie gałęzie, co poszczycić się mogą wzrostem liczby majstrów, bardzo zresztą nieznacznym, mniejszym nad wzrost ludności (wyroby ze srebra i złota), lub o 4% przewyższającym wzrost ludności (wyroby blaszane). Zestawiając dane, dotyczące liczby samodzielnych majstrów i najemników, zatrudnionych kobiét, personelu handlowego i technicznego, pozostawiamy rzemiosłom jedynie następujące warsztaty: kotlarnie (na jednego majstra 2,9 najemników), kuźnie (2,1), kos i noży (2,1), pilników (2,2), szlifierze (1,4). W pozostałych gałęziach przemysłu metalowego przeważa bądź średni, bądź wielki przemysł. Trzecia w naszéj tabeli grupa wytworów rozpada się na: 1) kołodziejstwo i wyrób wag, 2) wyrób broni i puszkarstwo, 3) zegarmistrzowstwo, 4) instrumenty matematyczno-fizyczne.

U optyków o 28%, zegarmistrzów 15,6% i t. d., tak że w całéj grupie ilość majstrów wzmogła się o 461 osobę. Jednakże ten nieznaczny w zestawieniu z naturalnym wzrostem ludności przybytek majstrów tłómaczy się nietyle wzmocnieniem stanu rzemieślniczego, ile przeobrażeniem zaszłém w samém rzemiośle. Zegarmistrz obecny przestał wyrabiać zegary, lecz stał się właścicielem sklepu, gdzie sprzedaje i naprawia zegarki, wyrabiane w fabrykach. Nie mamy na to wprawdzie dokładnych danych statystycznych, lecz poszczególne monografie i wzrost personelu kupieckiego (w r. 1882—222, w r. 1895 r.—51), pośrednio nas o tém pouczają. Mimo jednakże wzrostu liczby najemników o 45%, napływu kobiet (+92%), w rozpatrywanéj grupie przeważa rzemieślnicza forma wytwarzania, co wnioskujemy ze stosunku najemników do samodzielnych majstrów w poszczególnych gałęziach:

Na 1 samodzielnego wypada najemników:

1) kołodzieje . . , ...	1,2
wyrób wag	6,2

przeciętnie w obu gałęziach łącznie na 1 majstra najemników 1,3;

2) puszkarze	2,7
wyrób innej broni . . . . . . , ...	24,1

przeciętnie w obu gałęziach łącznie na 1 majstra najemników 7,2;

3) zegarmistrzostwo	1,1
4) przyrządy matematyczno-optyczne . . .	3,4

W czwartéj grupie naszéj tabeli — przetworach leśnych—szala wytwórczości przechyla się w szybkim tempie na stronę średniego przemysłu. Samodzielni stracili 20% swych posterunków, pozostali zatrudniają o 60% więcej najemników, liczba kobiet wzrosła o 80%. Gdybyśmy wyłączyli majsterków pracujących bez czeladzi, a osiadłych po wsiach, których w roku 1882 na ogólną ilość 2,799 liczono 1,100, tempo koncentracyi ukazało by się we wzmożoném, odpowiadającém rzeczywistości świetle.

Od stu lat trwa zaciekła walka między fabryką a rzemiosłem w piątéj grupie. Jesteśmy świadkami ostatecznego zwycięstwa przemysłu wielkiego. Historya na swych kartach zapisała krwawe epizody téj walki w postaci głodów tkaczy angielskich, indyjskich i szląskich. Nieprędko i niełatwo swobodni rzemieślnicy porzucili własne warsztaty i wraz z żonami i dziećmi przeszli do fabryki. Głód wskazał im zrazu inne rozpaczliwe środki: palenie fabryk, łamanie warsztatów mechanicznych, dopiero władza państwowa poskromiła nieszczęśliwych i rzuciła w objęcia fabryki. Zliczmy niedobitków—

majstrów samodzielnych piątéj grupy i przypatrzmy się tuczeniu przemysłu wielkiego na koszt rzemiosła. Piąta grupa obejmuje przędzalnictwo, tkactwo, farbiarstwo, drukarstwo na tkaninach, powroźnictwo i szmuklerstwo. Na ogół w całéj grupie liczba samodzielnych zmniejszyła się w ciągu lat trzynastu o 46%, przyczém w przędzalnictwie o 67%, w tkactwie o 46%, w farbiarstwie, drukarstwie na tkaninach i apreturze 58%, w szmuklerstwie 18%, w powroźnictwie 26%.

Z horyzontu życia przemysłowego znikają nietylko ci majstrowie, którzy pracują na własny rachunek i z własnych materyałów, ale nawet i tacy, co unikając koszar fabrycznych, przyjmują od fabrykanta robotę do domu, (*sweating system*). Śród tych ostatnich najodporniéj zachowuje się żywioł kobiecy, przeważający śród samodzielnych pracujących na cudzy rachunek. Liczba najemników wzrosła w przędzalnictwie o 42% (kobiet o 45%), w tkactwie o 21,5% (kobiet 43%), w farbiarstwie, drukarstwie i apreturze 37%, w szmuklerstwie 36%, powroźnictwie 3,5%. By uwydatnić czytelnikowi stan obecny każdéj gałęzi naszéj grupy i zaliczyć je do jednej z form wytwarzania: drobnego, średniego lub wielkiego przemysłu, przytaczamy dane następujące:

Na 1 samodzielnego przypada najemników:

	w 82 r.	w 95 r.
1) w przędzalnictwie	5,3	22,9
2) w tkactwie	1,3	2,8
3) w farbiarstwie, drukarstwie i apreturze	3,3	10,7
4) w szmuklerstwie	1,2	1,7
5) w powroźnictwie	1,1	1,6

Pomyślniéj dla rzemiosła ułożyły się warunki rozwoju w szóstéj grupie. Jedynie garbarstwo i białoskórnictwo wykazują tendencye wielkoprzemysłowe (—29% samodzielnych); reszta gałęzi wskazuje wzmożenie żywiołu rzemieślniczego: introligatorów majstrów przybyło 6,7%, rymarzy 5,6%, tapicerów 50%. Zestawiając jednakże dane te, świadczące o rozkwicie w tych gałęziach drobnego rzemiosła, z danemi o wzroście najemników i kobiet, spostrzeżemy i tu nawet nieprzepartą dążność do zrzeszenia: samodzielnych liczba wzrosła o 4,3%, najemników 43,7%, kobiet 70%.

Siódma grupa naszéj tabeli składa się z rzemiosł, które jednakowym prawie uległy wpływom w ciągu badanego okresu. Cała grupa straciła 6,8% samodzielnych, przybrała 50% najemników. Przeciętna ta odpowiada w przybliżeniu wszystkim ośmiu działom

z wyłączeniem bednarstwa, które traci grunt pod nogami (— 26% majstrów). Pozostałe gałęzie przemysłu drzewnego — tokarstwo, stolarstwo, koszykarstwo i szczotkarstwo — pomimo widocznych tendencyi zrzeszeniowych — są jak dotychczas we władaniu rzemiosła. Majstrowie z dwoma, trzema czeladźmi tworzą olbrzymią większość zatrudnionych w siódméj grupie.

Artykuły spożywcze—grupa ósma—rozpadają się na dwa działy: w jednym trzyma się krzepko rzemiosło i nie myśli z przewodnictwa kwitować, w drugim — ustąpiło z pola walki i dało za wygraną. Do pierwszego zwycięzkiego działu zaliczyć należy piekarnie i masarnie.

Liczba majstrów w obu wzrosła o 14% przy wzroście najemników o 50%, czyli nie obyło się bez pewnéj koncentracyi, na co wskazują następujące dane:

Na jednego samodzielnego przypada najemników:

	w 82 r.	w 95 r.		w 82 r.	w 95 r.
w piekarniach	1,5	1.9	w masarniach	1,2	1,6

Personel kupiecko-techniczny wzmógł się również w obu rzemiosłach: w rzeźnictwie z 450 na 1158 osób, w piekarstwie z 689 na 1830.

Jeśli jednak przyjmiemy pod uwagę, że ten wzrost personelu najemników należy jedynie złożyć na karb wielkich ognisk przemysłowych, twierdzenie nasze, że powyższe rzemiosła nie wyparły się swego dawnego trybu wytwarzania, nie stanie w sprzeczności z wynikami statystyki.

Dwie pozostałe gałęzie naszéj grupy — młynarstwo i piwowarstwo całkowicie wyśliznęły się w ciągu badanego okresu ze sfery rzemieślniczéj. W młynarstwie ubyło samodzielnych — 32,3% w piwowarstwie — 24,1%, przeciętnie na jednego samodzielnego wypada 7,6 najemników Cztery działy dziewiątéj grupy—odzież—rozmaitym uległy losom, wszystkie jednak pozostały w sferze drobnego rzemiosła. W szewctwie, zatrudniającém bez mała ½ miliona osób, zmalały zarówno liczba najemników (—4,5%), jak i majstrów (4%). Że się wcisnął i do téj gałęzi wielki przemysł, świadczy wzrost personelu techniczno-kupieckiego, zatrudnianych kobiet (+ 50%) i najemników niewyspecyalizowanych (7.845). Jednakże punkt ciężkości szewctwa najzupełniéj pozostał w sferze drobnorzemieślniczéj: na jednego majstra wypada 0,71 najemników. Krawiectwo, zatrudniające przeszło ¼ miliona osób, również jak

i szewctwo, pozostaje niepodzielnie jeszcze w rękach drobnego rzemiosła, choć i tu dotarł już prąd koncentracyi, który zmniejszył liczbę samodzielnych majstrów o 4,8%, najemników powiększył o 32%. W czapnictwie i kapelusznictwie tendencye przemysłowe biorą przewagę, ujawniającą się w następujących danych: liczba najemników + 27,5%, samodzielnych —19%, tak że przeciętna najemników na jednego samodzielnego wzrosła z 1,9% na 2,3. Pozostaje w téj grupie jeszcze jeden proceder fryzyerstwo i perukarstwo, nie mające zresztą wydatniejszego znaczenia w gospodarce społecznéj Z rozpowszechnieniem śród ludności cywilizacyi zewnętrznéj, fryzyerzy osiadają po wsiach i miasteczkach, liczba ich wzrosła o 39%. Wszystkie więc gałęzie dziewiątéj grupy mają charakter rzemieślniczy.

Ostatnia nasza grupa odznacza się pewną jednolitością w rozwoju swych dziesięciu rozgałęzień. Rozwój budowlany wpłynął na wzrost zatrudnionych w ciesielstwie (8,9%), mularstwie (30%), malarstwie i sztukateryi (38%), w dekarstwie (12%). Najmniéj wzrosło ciesielstwo, bo ma poważnego wroga w zastosowaniu kamienia i żelaza przy budowlach. Cała zaś ostatnia grupa, nie bacząc na wpływy koncentracyi powszechnéj w rzemiośle — wzrost samodzielnych o 21,1%, najemników + 34% — pozostaje w sferze wytwórczości rzemieślniczéj.

Dokonaliśmy bliższéj, choć niewyczerpującéj analizy każdéj grupy, przy pomocy danych statystycznych przypatrzyliśmy się zblizka przewrotom, jakim ulega współczesny stan rzemieślniczy w Niemczech. Ogarniając rzutem oka rezultaty naszéj analizy, odpowiedzieć możemy na postawione pytania: jakie rzemiosła zanikają lub toczą walkę z fabryką i czy są takie, które mają do czasu byt zapewniony.

Z błyskawiczną szybkością znikają z horyzontu życia przemysłowego przędzalnicy (— 67% majstrów), farbiarze, drukarze (—58%) tkacze, iglarze, czapnicy (od 46 do 35%), młynarze, garbarze, cieśle, powroźnicy, piwowarzy, lakiernicy (od —32 do 20%), puszkarze, szmuklerze, kuśmierze, szklarze i kapelusznicy (od 17 do 10%): Wszystkie te rzemiosła bezwarunkowo skazane są na zagładę w najbliższéj przyszłości, a już teraz wobec dokonanéj koncentracyi, nie mogą się zaliczać do drobnego przemysłu. Tym śmiertelnym wyrokiem obejmujemy w pomienionych dwudziestu gałęziach pracy 330,000 zatrudnionych majstrów. Następne 10 gałęzi rzemiosł, które potraciły mniéj niż 10% majstrów, tém się różnią od poprzednich, że wpływ druzgocącéj gospodarki społecznéj, choć porobił szczerby,

nie dobił jeszcze ostatecznie rzemieślniczego ich charakteru. Garncarze, pilnikarze, szewcy i stolarze wciąż tracą majstrów, wzrastają w liczbę najemników. W trzydziestu wymienionych gałęziach pracy dwieście tysięcy majstrów straciło swój byt niezależny i przeszło w poczet najemników. W roku 1882 liczba ich sięgała miliona, w r. 1895 — 775,000.

Pośrednie miejsce w zgrupowaniu rzemiosł od zupełnego zaniku do bytu trwałego zajmują rzemiosła, które wskazują wzrost majstrów, nie wybiegający po za stopę wzrostu ludności (14%) przy zdwojonéj liczbie najemników. Czy wobec takiéj koncentracyi, rzemiosła, jak mularstwo, kamieniarstwo, ciesielstwo i inne — zachowały swój charakter pierwotny, czy przeszły w ustrój średnio-przemysłowy — trudno z dotychczasowych badań dać na to pytanie wystarczającą odpowiedź.

Pozostała grupa rzemiosł, licząca 280,000 majstrów, t. j. piątą część wszystkich samodzielnych ma się dobrze i w najbliższéj przyszłości nie obawia raptownych zmian na gorsze. Pomyślne te wróżby opieramy na znaczném wzroście majstrów, przewyższającym przyrost ludności, i słabém tępie prądu zrzeszeniowego. Do „prawdziwych" rzemiosł zaliczamy piekarstwo, tapicerstwo, masarstwo, malarstwo, dekarstwo, fryzyerstwo i zegarmistrzostwo.

W takiéj znękanéj postaci zarysowuje się przed nami współczesny, stan rzemieślniczy, przetopiony w tyglu nowożytnego gospodarstwa społecznego.

Na szczęście dla rzemiosła czynniki wpływające na zmianę naszego całkokształtu gospodarczego nie działają z jednakowém napięciem i siłą na całym obszarze państwa niemieckiego. Skupienie ludności, rozwój środków przewozowych, udoskonalenia techniczne nie są udziałem całego terytoryum, tylko niektórych jego części. Na podstawie tedy zależności wzajemnéj położenia rzemiosł od ogólnych warunków gospodarczych przypuszczać możemy, że upadek i przeobrażenie rzemiosł w okręgach fabrycznych może iść w parze z jego utrwaleniem w wioskach odległych. Potwierdzenia dla tych teoretycznych założeń nie znajdujemy w statystyce zawodowéj, bo dane jéj, obejmując stan rzemiosła w całém państwie, jednoczą olbrzymie miasta i wsie zapadłe. Ankieta rzemieślnicza z roku 1895 wypełnia braki ogólnéj statystyki, wyodrębniając miejscowości w stosunku do zaludnienia, dzięki czemu wyświetla i ujmuje w cyfry działanie rozkładowe terenu wielkomiejskiego i wpływ zachowawczy wsi.

Od wieków rzemieślnicy stanowili główną część ludności miejskiéj, gdzieniegdzie tylko osiadając i po wsiach. Obecnie więcéj niż połowa, bo 52 % samodzielnych majstrów przenosi wsie nad miasta i na wsi obiera stałą dla siebie siedzibę. Ten nowożytny *„exodus”* rzemieślniczy dostatecznie wskazuje, że współczesne miasta mają w sobie coś zabójczego dla istnienia rzemiosła, które z trudnością przystosowuje się do zmienionego środowiska. Uciekając od wiru wielkomiejskiego, rzemiosło szuka schronienia na wsi, gdzie nie dochodzą zmienne prądy mody i sezonu, gdzie niema magazynów olbrzymich i nie dobiega sieć kolejowa, zwiastunka nowéj gospodarki społecznéj. Wszystkie czynniki, z któremi walczy rzemiosło w miastach, tracą swe napięcie i siłę na wsi; rzemieślnik nie obawia się konkurencyi obcéj, a ludność, żyjąc jak ojcowie żyli, nie uznaje innéj produkcyi prócz rzemieślniczéj. Prof. Bücher i dr. Grätzer, omawiając położenie rzemieślników po wsiach, widzą w nich na zasadzie przytoczonych danych niezdobytą dla przemysłu twierdzę rzemiosł. Nie podzielamy optymistycznego poglądu uczonych niemieckich; szańce rzemieślniczéj twierdzy opadną z chwilą, gdy i wsie porwane zostaną przez wir powszechnéj wymiany, a przykład Anglii, wzrost ludności miejskiéj na koszt wiejskiéj w Niemczech, ogólne tendencye rozwojowe, dają aż nadto prawo przypuszczać, że tylko do czasu rzemiosło cieszyć się może z nowo-zdobytéj siedziby. Wieś, dając schronisko rzemieślnikom, ma jeszcze jedną zasługę wobec świata rzemieślniczego: pozwala im zachować kształty, które im nadały wieki średnie. Prąd zrzeszeniowy nie zmógł po dziś dzień wsi niemieckiéj: gdy w wielkich miastach przeciętny warsztat samodzielnego majstra zatrudnia kilku lub kilkunastu czeladników i robi często wrażenie czegoś pośredniego między warsztatem a fabryką; po wsiach, przy warsztatach widzimy przeważnie majstra pracującego w pojedynkę, co najwyżéj z jednym czeladnikiem. Na 100 majstrów przypada pracujących z czeladzią:

1)	w miastach powyżéj 100.000 mieszkańców	69
2)	„ „ 10.000 „	56
3)	w okręgach gdzie 50 do 200 „ na 1 kil. kw.	40
4)	„ „ 25 „ 50 „ „ „	30
5)	„ „ „ 25 „ i mniej „	22

W Berlinie zrzeszenie przyjęło takie rozmiary, że w roku 1893 na 1 majstra cechowego przypadało od 10 do 39 najemników stosownie do rzemiosła [1]). Prąd ten działa na całym obszarze równomiernie

[1]) Böckh, die Bevölkerungs und Wohnung Aufnahme, Berlin 1893. Heft.

w stosunku do zaludnienia: na stu majstrów pracujących z czeladzią przypada najemników:

1)	w miastach od 20.000 do 100.000 i wyżej	353
2)	„ poniżej 20.000	265
3)	w okręgach, gdzie 100 i więcej mieszk. na 1 kil. kw.	218
4)	„ „ 50 „	212
5)	„ „ 25 i mniej	145

Z powyższych danych wyciągamy ogólne prawo: że im większe skupienie ludności i większy rynek zbytu, odporność rzemiosł słabnie i stopniowo koncentruje się.—Warsztaty rzemieślnicze, wielkomiejskie, zatrudniające kilku lub kilkunastu czeladników, wprowadzają głębokie zmiany we wzajemnych stosunkach majstrów i czeladzi. Niemasz już prostoty i patryarchalności, jakie panują w rzemiośle prawdziwém; obie strony rozumieją, że czeladnik, choć otrzyma stopień majstra, nie może nim zostać faktycznie, bo brak mu kapitału, i ten pierwiastek kapitalistyczny stopniowo rozdziela dwie złączone warstwy stanu rzemieślniczego na wrogie: kapitalistów i najemników.

Stwierdziliśmy chorobę trawiącą organizm rzemieślniczy: postawiona jéj dyagnoza, nakréślone rozmiary, wyświetlone przyczyny. Zapytani o leki, które mają przywrócić do zdrowia schorzały organizm, wyznać musimy, że niema radykalnego środka przeciw chorobie powstałéj na gruncie stopniowego przewrotu w gospodarce społecznéj. Zanik i przeobrażenia rzemiosł, wywołane rozwojem produkcyi technicznéj, są objawami dodatniemi w całkokształcie życia społecznego; prawodawca nie powinien tamować ich działania, poświęcając interesy ogółu dla korzyści oddzielnych stanów. W myśl Johna Stuarta Milla, sprowadzamy zadanie prawodawcy i społeczeństwa do skromniejszéj roli: kojenia ran zadawanych niewinnym ofiarom zmienionych form produkcyi i przystosowania ich do nowego środowiska. W tym celu państwo lub mniejsze organy samorządu (rady miejskie, gminne, powiatowe) powinny dbać o wykształcenie fachowe młodzieży, zakładać muzea rzemieślnicze, popierać wszelkie stowarzyszenia samopomocy: kredytowe, dla zakupu surowych materyałów, lub sprzedaży wyrobów rzemieślniczych. Wszystkie te środki nie powstrzymają ogólnego biegu wypadków, ale czynią mniéj bolesném przejście do wyższego ustroju społecznego.

Również słuszne są żądania stronnictwa społeczno-demokratycznego, by dobrodziejstwa prawodawstwa fabrycznego rozciągnię-

te zostały na większe warsztaty rzemieślnicze i na stosunek wzajemny majstra do czeladzi i uczniów. Z chwilą, gdy czeladnik traci pewność, że po upływie określonego terminu zostanie majstrem, i często przez całe życie nie wydostaje się ze sfery najemniczéj, prawodawstwo powinno swym wpływem zrównoważyć uciążliwą dla ekonomicznie słabszych zasadę „*laisser faire*" przez określanie wzajemnych praw i obowiązków.

Ustawa rzemieślnicza (*Gewerbeordnung*) z roku 1897 czyni zadość tym wymaganiom, określając obowiązki majstra względem czeladzi i uczniów. — Wyliczone powyżéj środki zaradcze nie zadawalniają jednakże stanu rzemieślniczego, o ile on ujawnia swą opinię przez przedstawicieli w parlamencie, na zebraniach i w prasie. Nie szukając przyczyn swego upadku w zasadniczych zmianach gospodarstwa społecznego, znachorzy z ramienia stanu rzemieślniczego znajdują ją w zniesieniu przymusu cechowego. Istotnie, bezpośrednio po ogłoszeniu swobody zawodowéj następuje upadek rzemiosł, więc na zasadzie maksymy: *post hoc, ergo propter hoc*, przywrócenie przymusu cechowego, a właściwie powrót do średniowiecznéj gospodarki uzdrowi rzemiosło. Stawiając rządowi takie wymagania, rzemieślnicy łączą je z dobrobytem stanu, który liczy przeszło 3 miliony osób o wypróbowanych przekonaniach politycznych. Gdyby nie ten ostatni wzgląd, daleko idące wymagania pozostałyby bez echa w działalności prawodawczéj, bo pierwszy w oświetleniu porównawczém traci na swéj wartości. Układ sił społecznych zmienił się nie do poznania w bieżącém stuleciu, wyrosły nowe warstwy, a stare zanikają. Jeśli z ogólnéj liczby majstrów samodzielnych w 95 roku 1,434,104 odliczymy tych, którzy właściwie są kierownikami zakładów średnio-przemysłowych, i w pozostałéj liczbie 1,300,000 — wyodosobnimy (55 %) majstrów, pracujących bez czeladzi, jako przeważnie rozrzuconych po wsiach i nie zarobkujących więcéj od najemnika, otrzymamy liczbę 580,000 majstrów, pracujących z czeladzią. Nie będziemy jéj porównywać z klasą robotniczą, zestawmy ją jedynie z najświeższemi formacyami nowożytnego społeczeństwa: personelem kupiecko-technicznym w górnictwie i przemyśle, wynoszącym — 263,747 osób, w handlu i transporcie— 261,907, stanem nauczycielskim — 217,966, swobodnemi profesyami — 135,000. Stopień wykształcenia, skupienie w miastach, jednolitość interesów wymienionych warstw zbyt widoczną dają przewagę nad rzemiosłem, byśmy się mieli dłużéj nad tém zatrzymywać. Na szachownicy życia naszego nastąpiły posunięcia, wobec których rzemiosła znacznie pozostały w tyle.

Mimo to, a wskutek wyrachowań politycznych nowe prawo niemieckie porobiło pewne ustępstwa z wolności zawodowéj na korzyść przymusu cechowego i obowiązkowych świadectw majstrowskich. Przykład Austryi, która od lat dziesięciu bezskutecznie korzysta z tych wątpliwéj miary dobrodziejstw, wykazuje, że machina prawodawcza może tylko utrudnić, ale nie wstrzymać biegu współczesnego postępu technicznego, bo według słów poety:

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia;
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Rafał Kempner.

Berlin, w Marcu 1899 roku.



Kwestya żydowska.



Kwestya stara, odwieczna, różnemi czasy, na różne tony i sposoby obrabiana i wyzyskiwana, a mimo to nie rozstrzygnięta i nie posunięta naprzód, ani w teoryi ani w życiu.

W ostatnich latach, pomimo pewnego ożywienia dyskusyi nad sprawami publicznemi, nawet przy generalnéj rewizyi różnych niezałatwionych i palących zagadnień krajowych, téj jednéj kwestyi nie poruszano u nas zasadniczo, nie podejmowano w sposób poważny, chłodny, ze szczerą myślą naprawy opłakanych stosunków. A skutek tego zaniedbania jest taki, że dziś doprawdy trudno jest odpowiedzieć na pytanie, jak téż obecnie społeczeństwo polskie, a zwłaszcza jego warstwy wykształcone zapatrują się na kwestyę żydowską i jakiego wobec niéj trzymają się programu.

Jedno jest niewątpliwém: niemasz w téj sprawie zgody powszechnej, a sprzeczność stanowisk opiera się nie na poglądach teoretycznych, ani celowo wytkniętym planie działania, lecz jest tylko odbiciem odmiennych uczuć, bądź — po staremu — humanitarnych i liberalnych, bądź — po bismarkowsku — namiętnych, ekskluzywnych, ludożerczych. Filo- i antisemityzm — to nie są nazwy dwóch odmiennych poglądów socyologicznych, ani programów reformy społecznéj, to tylko podział na dwa prądy sympatyi i antypatyi, usposobień przyjaznych lub wrogich, wywołanych przez odmienną kulturę uczuć albo odmienne interesy ekonomiczne.

Przewaga uczuć nad chłodną racyą stanu sprawiła, że społeczeństwo pozbawione zostało poważnéj dyrektywy w tak doniosłéj sprawie publicznéj. Głosy bezstronne i beznamiętne zostały zagłuszone przez jaskrawy szowinizm; opinia poważna została sterroryzowana przez drastyczną metodę dyskusyi; publicyści, traktujący sprawę na seryo, nie chcieli dotrzymywać placu nieprzebierającym w środkach polemicznym krzykaczom i wycofali się z pola nierównéj walki. Jeden tylko Bolesław Prus powraca od czasu do czasu w sposób poważny do kwestyi żydowskiéj, narażając się na szydercze urągania to z jednéj, to z drugiéj strony. Pisma peryodyczne, nie należące do obozu specyalnie żydofilstwo lub żydożerstwo uprawiającego, unikają o ile możności dotykania „drażliwéj" kwestyi ze stanowiska zasadniczego, a w kronice życia bieżącego dają wyraz swym sympatyom lub antypatyom w sposób dość naiwny: bądź zamilczając, bądź podkréślając żydowskie pochodzenie przestępców kryminalnych. Nawet pisma specyalnie żydożercze-pozostawione samym sobie, nie znajdując — w braku repliki — dostatecznego materyału polemicznego, zmuszone same wynajdywać tezy i argumenty i *pro* i *contra*, wyczerpały swój zapas faktów, frazesów, wymysłów, konceptów i aby się wydobyć z zabijającéj monotonii musiały się przenieść na pole publicystyki t. zw. „rewolwerowéj", rzekomo „demaskującéj", skierowanéj już nietylko przeciwko żydom, ale wogóle przeciwko uznanym powagom i szanowanym dotąd instytucyom.

A tymczasem w życiu praktycznem kwestya żydowska nie zeszła bynajmniéj i ani na chwilę z porządku dziennego. Owszem, pozbawiona krytycznego oświetlenia, pozostawiona bez wszelkich starań o naprawę i uregulowanie, rzucona na pastwę stronniczym namiętnościom i egoistycznym instynktom, powikłała się i zaogniła jeszcze bardziéj.

Na arenie walk stronniczych, prąd radykalny, jaskrawszy i krzykliwszy, podsycający pretensye, urazy i nienawiści w niedojrzałych lub niedocywilizowanych masach, zawsze bierze górę nad kierunkiem umiarkowanym, przemawiającym do chłodnéj rozwagi. Więc płytki ale jaskrawy antysemityzm pleni się obficie i krzewi bujnie, zwłaszcza wśród pól-inteligencyi miejskiéj i wiejskiéj, a nie znajdując żadnego odporu — nie po stronie żydowskiéj, bo ten zaostrza tylko walkę — lecz ze strony poważnéj i obywatelskiéj, etnicznie polskiéj inteligencyi — występuje śmiało i otwarcie, nietylko bez wstydu za podeptanie szczytnych zasad cywilizacyi, ale owszem, z pewną aureolą szermierza o dobro publiczne. Co gorsza,

zaraża nieraz jednostki o wysokiéj nawet inteligencyi, ale ulegające biernie przeważającemu prądowi, lub nie mające dość odwagi cywilnéj, aby otwarcie przeciw niemu wystąpić.

Zaiste, przez ostatnie lat kilkanaście, posunęliśmy się w tym kierunku bardzo daleko. Nie mówiąc nawet o rozdraźnieniu i zaognieniu stosunków wśród warstw niewykształconych albo pół-inteligentnych, — stosunek naszéj inteligencyi do inteligencyi polsko-żydowskiéj widocznie się pogorszył. Szlachetne idee obywatelskiego braterstwa, zrodzone przed laty trzydziestu kilku, zostały zapomniane i zdyskredytowane. Dziś dzieci nie słyszą od swych rodziców nauki, zawartéj w wierszu Jachowicza o biednym żydzie, młodzież na ławach szkolnych i uniwersyteckich nie zawsze pono ma dla żydów równą miarę koleżeńskiéj sprawiedliwości, ludzie jednego zawodu dzielą się na koła wyznaniowe, stowarzyszenia sportowe nie przyjmują żydów na członków, a w stosunkach towarzyskich polak-żyd nie jest przyjmowany i stawiany na równi z polakiem innego wyznania. W mowie potocznéj dość jest powiedzieć „żyd“ lub „żydowski”, ażeby być uwolnionym od dalszych potępiających dowodów.

Nie małéj téż odwagi cywilnéj potrzeba dzisiaj, aby wystąpić publicznie, choćby nie zasadniczo, ale w jakiéj konkretnéj sprawie, ze zdaniem dla żydów przychylném. Wbrew temu, co opowiadają nasi antysemici o rzekomém „zżydzeniu“ naszéj prasy, jest ona daleko mniéj żydowską, niż gdziekolwiek indziéj. W dziennikarstwie naszém pracuje żydów zaledwie trzech lub czterech. Nawet w tych pismach, których wydawcą jest żyd, redakcya ma sobie zawsze pozostawioną zupełną swobodę kierunku i w obronie żydów nigdy nie występuje. Obrona taka jest dziś niepopularną, obrońca naraziłby się niechybnie na podejrzenia i oskarżenia publiczne i pokątne o stronność, o zależność osobistą, o interesowność, czyli wprost o sprzedajność pióra. Przeciwnie, pewien odcień lekkiego choćby antysemityzmu nadaje pismu barwę „niezależności”, zwłaszcza u czytelników prowincyonalnych. Taka „tendencya” przyjmuje się tam bardzo łatwo. Są korespondenci, którzy donosząc o kradzieży dokonanéj przez Maćka, piszą: ukradł Maciek, ale o Mośku napiszą zawsze: ukradł żyd.

Programu pozytywnego rozwiązania kwestyi żydowskiéj antysemityzm — jak wiadomo — nie posiada. Trzyma się on zupełnia takiéj saméj taktyki, jakiéj używają wszyscy szowiniści polityczni, np. hakatyści pruscy wobec polaków. „My nie dbamy o to, co się stanie z żydem — mówią pierwsi — my nie atakujemy bynaj-

inniéj polaków — wypierają się drudzy — my tylko zajmujemy stanowisko obronne — twierdzą i ci i tamci — nam chodzi tylko o własną skórę, my jesteśmy stroną broniącą się, nie napastującą".

Każdy człowiek myślący i ogarniający całość interesów państwowych lub narodowych, spostrzeże odrazu fałsz i obłudę, tkwiące w takiém przybiéraniu miny uciśnionéj niewinności, oraz odbicie teoryi socyalistycznych, dzielących społeczeństwo na kategorye, fatalistycznie jakoby zmuszone do walki na śmierć i życie, co zresztą bynajmniéj nie przeszkadza naszym antysemitom, potępiać zasady „walki o byt", jako niezgodnéj z nauką Chrystusa. Żaden rozumny obywatel nie zgodzi się na takie hasło: „walczmy w obronie własnych interesów, nie dbając o to, czy sposób téj walki godzi się z dobrém powszechném". Ale dla ludzi, niezdolnych do krytycznego myślenia, nie umiejących wznieść się na ogólniejsze stanowisko obywatelskie, frazes o obronie własnéj wystarcza do upozorowania ich antihumanitarnych instynktów i egoistycznych interesów.

Byłoby rzeczą dziwną, gdyby hakatyzm antiżydowski nie wywołał reakcyi po stronie żydowskiéj, tak samo jak hakatyzm pruski wzmocnił odporność i separatyzm polaków. Objawem takiéj reakcyi jest nadzwyczaj szybkie i łatwe przyjmowanie się wśród mas, a nawet i wśród inteligencyi żydowskiéj teoryj i agitacyi syonistów... Syonizm jest niewątpliwie dzieckiem antisemityzmu, jest takiém samém podsycaniem narodowościowych i społecznych przeciwieństw, jak wszystkie hakatyzmy. Inteligencya polsko-żydowska, któréj my w jéj pracy cywilizacyjnéj żadnego nie udzielamy poparcia, nie jest w stanie ruchu tego opanować, ani mu w sposób dość energiczny przeciwdziałać.

Zresztą i niezależnie od agitacyi syonistycznéj, czyż życie codzienne, codzienne stosunki z chrześcianami, usposobionymi wrogo dla żydów, mogą nie wywoływać w tych ostatnich uczucia krzywdy i niechęci? Ustawiczne drażnienie wywołało u żydów taką nadczułość i podejrzliwość, że nie są w stanie wysłuchać i przyjąć żadnéj uwagi krytycznéj ze strony chrześcian, chociażby w najlepszéj wierze i z całą życzliwością uczynionéj.

Niechęć wzajemna polaków i żydów nie jest—powtarzamy—wynikiem ani przemyślanego programu społecznego, wyrobionych przekonań, ani objawem celowéj akcyi zaczepnéj lub obronnéj, lecz przeważnie skutkiem podniecanych namiętności, mieszaniną uprzedzeń klasowych, religijnych i rasowych, albo téż jakąś nerwową idyo-

synkrazyą, wreszcie specyficzną odmianą téj powszechnéj w stosunkach ludzkich nieufności i podejrzliwości, jaką mają względem siebie osoby, znające się tylko z widzenia lub słyszenia, stykające się ze sobą tylko rzadko, z konieczności, z przypadku,—dopóki nie poznają się lepiéj, nie wynajdą we wzajemnych swych celach, myślach i upodobaniach punktów stycznych, dopóki się nie przekonają, że dusza ludzka, badana zblizka, przedstawia się zupełnie inaczéj niż zdaleka.

Tak być nie może. Społeczeństwo, jego warstwy przodujące nie mogą w ważnéj pierwszorzędnéj kwestyi, związanéj z pomyślnością kraju, zachowywać się ani jak przekupień, wyklinający swego konkurenta, ani jak delikatnie wychowany salonowiec, unikający stosunków z ludźmi o mniéj wykwintnych manierach, ani jak nerwowiec, działający odruchowo pod wpływem nawpół świadomych popędów.

Kwestya żydowska u nas nie jest kwestyą asymilacyi międzyplemiennéj, ani kwestyą religijną, ani ekonomiczną—jest kwestyą naszéj wspólnéj kultury. Podnieść kulturę ludności polskiéj, ucywilizować ludność żydowską—oto program jedyny, bo innego niema. Mogą być epoki, w których się wykonywania tego programu zaniedbuje, ale prędzéj czy późniéj powrócić do niego musimy.

Milionowe rzesze żydów, zamieszkałych w naszym kraju, nie mogą być traktowane, że tak powiem, eksterytoryalnie, jakgdyby mieszkańcy czasowi. Najbardziéj rozwinięta akcya emigracyjna, najgorliwsza propaganda syonizmu nie doprowadzą do zniknięcia tych milionów. One już u nas pozostaną na zawsze, muszą więc wejść na stałe do składu naszego społeczeństwa.

My musimy rozwiązać kwestyę żydowską. A rozwiążemy ją nie przez anitsemicką hecę, nie przez jawną czy ukrytą niechęć, nie przez bezczynność i indyferentyzm, lecz jedynie za pomocą cywilizacyjnego uspołecznienia mas polskich i żydowskich.

Uspołecznić biedne i nieoświecone masy—to całe morze do wypicia. To praca, którą trzeba rozłożyć i prowadzić wytrwale długie, długie lata, przy pomocy wszystkich środków cywilizacyjnych. Wszyscy do tego przyczyniać się muszą: i rząd i społeczeństwo polskie i inteligencya żydowska.

Co mianowicie w tym kierunku robić należy — to pytanie olbrzymie. Odpowiedzieć na nie można całym traktatem, całym szeregiem artykułów. Podnoszę tu tylko ogólnikowo punkt jeden, jedną drobną cząstkę wielkiego zagadnienia.

Oto należy nam jaknajgorliwiéj popierać usiłowania inteligencyi żydowskiéj, zmierzające do uspołecznienia mas żydowskich.

Nam, ludziom innego plemienia, innego wyznania, trafić do tych mas i oddziaływać na nie bezpośrednio bardzo trudno. Daleko łatwiéj to czynić inteligencyi żydowskiéj, téj mianowicie, która, trwając przy wierze ojców, zachowała najpoważniejszy łącznik z niższemi warstwami swych współwyznawców, która nadto do obowiązku uspołeczniania tych warstw się poczuwa i w tym kierunku działa.

Ale niedosyć jest prawo inteligencyi żydowskiéj uznać, jéj obowiązek oddziaływania na masy zaznaczyć, trzeba ją jeszcze z naszéj strony wszelkiemi siłami na téj trudnéj drodze wspierać, wszelkie przeszkody od nas zależne z téj drogi usuwać.

A czyż to nie jest ogromną przeszkodą, gdy my zapominamy o tém, że wspólna praca z nami na drodze postępu społecznego — to już wszystko, czego od żydów jako takich mamy prawo wymagać; gdy pomimo dopełnienia z ich strony tych wszystkich warunków, odsuwamy ich jednak od zupełnego równouprawnienia w sferze stosunków społecznych i towarzyskich? Czy to nie musi oddziałać zniechęcająco i na zapał do pracy cywilizacyjnéj inteligencyi żydowskiéj i na mające się uspołecznić masy, gdy widzą, że żyda współobywatele chrześcianie niechętnie widzą obok siebie, czy na ławie szkolnéj, czy w życiu koleżeńskiém, czy przy pracy w jednym zawodzie, czy w stowarzyszeniu, czy w salonie—dla tego tylko, że jest żydem?

Dzisiejszy nasz stosunek do żydów jest niewątpliwie cofnięciem się naszéj kultury. Cywilizujmy więc żydów, ale cywilizujmy się i sami, wyplenímy z duszy naszéj inteligencyi i naszego ludu chwasty nienawiści i uprzedzeń, zasiane tam przez ludzi złéj wiary i zagłuszające ziarna miłości i bliźniego.

Żydzi inteligentni mają dziś często pewne wady towarzyskie: arogancyę, bezwzględność w sądach, chełpliwość, szowinizm; są to objawy niedocywilizowania; usuwać je trzeba nie przez odstrychnięcie się towarzyskie, lecz owszém przez ściślejsze i częstsze obco-

wanie. Życie koleżeńskie i stosunki towarzyskie mają na celu nietylko przyjemne przepędzenie czasu, one mają zadanie pedagogiczne, cywilizujące i uspołeczniające. Warto ponieść pewną przykrość lub niedogodność, warto zrezygnować z pewnych nawyknień i ponieść pewne ofiary dla spełnienia obywatelskiego obowiązku.

Ludomir Grendyszyński.



„W dawnéj mocy“.

Jan Bloch. „Wnioski ogólne z dzieła *Przyszła wojna*, pod względem technicznym politycznym i ekonomicznym“. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1899, str. XXXI + 365.

Rosyjski generał Leer w „Enciklopedii wojennych i morskich nauk” (t. II, str. 269 drugiego wydania) obliczył, że na całéj kuli ziemskiéj od r. 1469 przed narodzeniem Jezusa Chrystusa aż do roku 1861 po Chrystusie, czyli w okresie lat 3357, było 3130 lat wojny i zaledwie 227 lat pokoju, to jest, innemi słowy, po każdych trzynastu latach wojny ludzkość miała rok tylko jeden wypoczynku. Dziś stan rzeczy zmienił się znacznie; wojny stały się rzadsze, chociaż, jakby dla zrównoważenia stosunku pierwotnego, tyleż zyskują wszerz przestrzeni, ile tracą wzdłuż czasu. Gdybyśmy np. mogli zmierzyć krew wylaną od roku 1861 w trzech jedynie wojnach, 1866, 1870 — 71, 1877 — 78 (pominąwszy drobiazgi duńskie, polskie, bułgarskie, hercogowińskie, hiszpańskie, azyatyckie, amerykańskie, afrykańskie), zysk na rzecz pokoju wypadłby nader drobny. Rodzaj człowieczy cywilizuje się bardzo powoli, gdyż, jak to zauważył wielki empiryk angielski, założyciel indukcyjnéj metody badania, Bakon, „wśród próżności tego świata głupstwo znajduje zawsze większe pole działania niż rozum, a lekkomyślność zawsze bardziéj pociąga niż rozwaga”.

Byłoby rzeczą nader hazardowną utrzymywać zasadniczo i z góry, że wojownicze nasze instynkta gnieżdżą się wyłącznie w pokładach nierozwagi i głupstwa, dążność zaś pokojowa osiadła niepodzielnie w pokładach rozumu i rozwagi. Obrona podobnego założenia wymagałaby trudów nieobliczonych i prowadziłaby za sobą szereg wątpliwości nieskończenie kłopotliwych. Skazawszy dziejową przeszłość człowieka na bezwarunkowe potępienie w trzynastu czternastych częściach, potępiłoby się w takich-że rozmiarach i teraźniejszość, gdyż bez mała wszystkie nasze dzisiejsze instytucye i wszystkie nasze tegoczesne uczucia i wyobrażenia organicznie wyrosły z gruntu zaoranego i zasianego przez wojnę. Sama nawet doraźna zmiana dotychczasowego trybu gospodarki stałaby się zwodniczą, niebezpieczną, z wielu względów niesprawiedliwą, grabiezką: z lekkomyślności i głupstw dawnych, minionych, usprawniłaby i uświęciła wyłącznie ostatnie, bez względu że mogły one być największe i najbezecniejsze. Jan Bloch w olbrzymiéj, sześciotomowéj swéj pracy, z któréj wnioski ogólne podał obecnie do powszechniejszego użytku, oględnie i zdaleka ominął główne te szkopuły przedmiotu. Przeszłość usunął prawie zupełnie z rachub, potrącając tu i owdzie o jakiś zaledwie kwiatek, porastający na pobojowiskach Sadowy, Sedanu, pod Paryżem lub w wąwozach Bałkanów.

Natomiast całą swą usilność i rozległe środki erudycyjne skierował ku przyszłości. I trzeba mu przyznać, że ta jego wojna przyszła — o ile naturalnie wybuchnąć jéj sądzono w obecnym stanie uraz i gotowości bojowéj mocarstw europejskich, — wygląda w jego dziele więcéj niż „lekkomyślnie" i „głupio", — wygląda wprost niekiedy posępnie... i zabawnie.

Szczególniej zabawnie wobec szalonéj nierównowagi między tém, co wojna dziś kosztuje, a tém, co przynieść może. Wskutek udoskonalenia broni i powołania do walki całéj niemal dorosłéj części ludności, tak z potrójnego przymierza Europy środkowéj, jak i z koalicyi krańców (Niemcy, Austrya, Włochy z jednéj strony, Rosya i Francya z drugiéj), wojna ciągnąć się może i ewentualnie, zdaniem największych nowoczesnych powag wojskowych, ciągnąć się będzie lat kilka. Jakie ciężary spadną stąd na państwa, sądzić o tém można z jednego przykładu. Rosya np., zmobilizowawszy 2800 tysięcy ludzi, potrzebować będzie na ich utrzymanie i zaopatrzenie w rzeczy niezbędne, sumy 7,000,000 rubli dziennie; następnie znaczne sumy pochłonie wspomaganie 531,000 rodzin ludzi powołanych do szeregu. Niepodobieństwo osiągnięcia gotówki po-

trzebnéj na prowadzenie wojny przez lokatę w owym czasie nowych rządowych papierów procentowych zniewoli państwo do wypuszczenia banknotów w ołbrzymiéj ilości. Przed kilku laty, zmarły minister skarbu Bunge utrzymywał, że gdyby rząd wypuścił banknotów na sumę tylko 300 milionów (co przedstawia zaledwie miesięczne podczas wojny utrzymanie armii, floty i rodzin osieroconych), jużby kurs ich spadł o 25 kop. na rublu; w razie zaś wypuszczenia pieniędzy papierowych na sumę bez porównania większą, zniżka doszłaby prawdopodobnie do tych rozmiarów, jakie osiągnęła na początku tego stulecia, czyli, że wypuszczane na cele wojenne banknoty utraciłyby $^{3}/_{4}$ swéj wartości nominalnéj. Jednocześnie, cena wszelkich przedmiotów wzrosłaby nadzwyczajnie, skarb zatém, odbierając podatki w papierach niemal bezwartościowych, musiałby płacić za wszystko wczwórnasób, a znaczna część ludności miejskiéj, wszyscy wojskowi, urzędnicy cywilni, emeryci i w ogólności ludzie żyjący z pensyi popadliby w straszliwą nędzę. Ponieważ, na mocy samego przypuszczenia, wojna toczyłaby się z trójprzymierzem Europy środkowéj, przeto wywóz zagraniczny z Rosyi ustałby prawie zupełnie, a przerwanie lub utrudnienie wysyłek zewnętrznych spowodowałoby olbrzymie zmniejszenie się wartości produktów rolniczych, bez względu że ceny ich nominalne byłyby podtrzymywane przez zalew banknotów doraźnie puszczonych w obieg. Przemysł, handel, stosunki prywatne doznałyby wstrząśnienia o rozmiarach najzupełniéj dowolnych, chaotycznych, z któremi do pary szłoby wyniszczenie materyalne, wymykające się z ram statystyki jakiéjkolwiek.

Wyniszczenie to najściśléj się wiąże ze strategicznemi warunkami wojny tegoczesnéj. Już w kampanii 1870 r. udział w walce brały siły nadmierne, trudne do ujęcia w karby dowództwa naczelnego. Pod Saint-Privat, około Metzu, bitwa toczyła się na przestrzeni 18 kilometrów pomiędzy dwiema armiami, liczącemi każda po 180,000 ludzi — i Moltke dopiero nazajutrz dowiedział się o ostatecznym rezultacie starcia (zwycięztwo gwardyi pruskiéj). Do bitw przyszłych, według obliczenia generała Leera, stawałoby po milionie ludzi obustronnie, przyczém front bojowy jednéj takiéj armii rozciągałby się na przestrzeni 15 do 20 wiorst, a odległość w głąb — to jest kolumn przednich od tylnych (po za sztabem głównym) wynosiłaby od 30 do 40 wiorst. Pomijamy kwestyę służby obozowéj, wyżywienia, przewozu; pomijamy całą machineryę wywiadowczą (rekonesansową) w okresie wzajemnego szukania się i oszukiwania przeciwników.

Oto nareszcie wojska uszykowały się do boju. Autor, na podstawie dzieła Nigotte'a „Les grands questions du jour" odmalował nam nawet przebieg walki, wszystkie jéj momenta główne. „Obraz ten— zastrzega się — jest oczywiście wytworem wyobraźni, gdyż nowe środki zniszczenia nigdy dotąd w całości nie zostały zastosowane w praktyce; wyobraźnia jednak opierała się tu na znajomości rzeczy, opis więc zasługuje na uwagę narówni ze wszystkiemi innemi wnioskami i kombinacyami teoretycznemi, wypowiedzianemi poglądowo..."

Przenieśmy się więc na chwilę--pod ochroną tego zastrzeżenia, a na skrzydłach imaginacyi — w sam środek domniemanego i hypotezyjnego pola bitwy. Nieprzyjaciel, którym w danéj sytuacyi są przypuśćmy — Węgrzy i Prusacy, wkroczył trzema szerokiemi lawinami od Krakowa, Kalisza i Torunia na terytoryum Królestwa Polskiego, zagarniając zachodnią część onego po linię Piotrków, Kutno, Włocławek. Po kilku lekkich utarczkach kozaków z kawaleryą słowacką i poznańską, po zajęciu przez Prusaków węzła kolei bydgoskiéj i wiedeńskiéj — Skierniewic, armia generała Skobielewa skoncentrowała się w zakolu zachodnich fortów warszawskich, oparta najdalszém lewém swém skrzydłem o dolny bieg Pilicy, w okolicach Przybyszewa, prawém zaś o łukowate zagięcie Wisły w lasach Kampinoskich; front jéj, zasłonięty od zachodu bagniskami rzek Mogielniczki, Rawki i dolnéj Bzury, ciągnie się z południa na północ przez Grójec, Tarczyn, Grodzisk, Błonie, pod Sochaczew i Wyszogród; rezerwy pod samąWarszawą, na Pradze i dokoła Nowogieorgiewska. Czas rzucić okiem na uzbrojenie tych mas. Armaty szybko strzałowe działają 30 do 40 razy silniéj od tych, które w wojnie francusko-niemieckiéj grzmiały pod Gravelotte i Paryżem. Rażą one strugami pocisków na odległość od 5 do 6 wiorst; każdy szrapnel pęka na 300 czerepów, siejących śmierć w promieniu od 200 do 250 sążni. Lekkie 5-cio i 6-cio milimetrowe karabinki piechoty pozwalają żołnierzowi nosić przy sobie od 280 do 350 ładunków; w potrzebie nagłéj dają one od 6 do 7 strzałów na sekundę, przy zużyciu zaś większéj ilości ładunków, — co wymaga nowego nabijania, zręczny strzelec dać może z karabinu o magazynie 6-ciu ładunkowym 78 strzałów na minutę—bez celowania, 60 — celując; kule tych karabinków inne są zupełnie niźli dawniéj: kula dawna większą część swego przebiegu przelatywała po nad głowami walczących, dziś natomiast, niby kosa bajeczna, przeszywa wszystko, co spotka na przestrzeni od 600 do 900 metrów, a bije od 10 do 15 razy silniéj od kuli z r. 1870. Ogień strzelb małokalibrowych uniemożliwia zupełnie dostęp do siebie ko-

lumn na dystans blizki; walka na bagnety stała się wspomnieniem historyczném. Przeważna część mniejszéj broni palnéj, armaty zaś wszystkie są podczas operacyi bez dymu, blasku i huku...

W nocy dnia 10 na 11 czerwca 1909 r. silne oddziały pruskie zajęły Mszczonów, Radziwiłłów i Bolimów; przednie ich straże dotarły do Wiskitok i Rudy Guzowskiéj, jak to nad ranem sprawdziła gęsta szarża „kubańców", stwierdzająca przewidywanie głównego sztabu Skobielewa, iż nieprzyjaciel uderzyć postanowił przeważnie na prawy środek armii rosyjskiéj, — wzdłuż szosy z Grodziska do Błonia.

Nazajutrz, 12 czerwca, jazda rosyjska, wśród gęstéj mgły przedpołudniowéj, spędziła oddziały pruskie, wysuwające się na równiny Jaktorowa, ale osypana gęstym, wytrzymale jędrnym monologiem kartaczownic, wróciła na swe stanowisko dokoła Rokitna. Siarczysta wymowa przeciwnika przekonała, że napastnicy zbliżyli się już na odległość strzałów armatnich,—to jest oddzieleni byli od nich tylko przestrzenią 6 do 7 tysięcy metrów. Wysunięto i ustawiono działa na oszańcowanych doraźnie pozycyach dokoła cmentarza grodzieńskiego i wśród starych szwedzkich okopów w pobliżu Chlewni; oddziały asekuracyjne umocowały się w parkach Jordanowic, a murami Czerwonego Dworu i w ogrodach Chrzanowa; obserwatoryum urządzono na wieży dawnego dworca kolei wiedeńskiéj; połączono je telefonicznie i telegraficznie z masowemi węzłami obrony w Rokitnie, lesie Milanowskim, Brwinowie, Książenicach i Sczęsném; rezerwom posunąć się kazano pod Pruszków.

O świcie 13-go czerwca w bateryach rozległa się komenda: „ognia!" Działa nieprzyjacielskie odpowiedziały natychmiast wieńcem pocisków, z których nietrudno było wywnioskować, że ognisko sił zaczepnych znajdować się musi gdzieś w pobliżu grubo obmurowanego gniazda niemieczczyzny w fabrykach Żyrardowskich. Bomby orzą ziemię, ścinają drzewa, rwą dachy, — ale dymu armatniego nie widać prawie wcale, huk mały, podobny zaledwie do syczenia powstającéj burzy. Obsługa każdéj bateryi szybko zmierza odległość właściwą i jest już siebie pewną po kilku strzałach próbnych, które zapalają w oddaleniu, za Jaktorowem, budynki drewniane, wsie, folwarki. Nieprzyjaciel, nawzajem, wyraźnie szuka centralnéj stacyi oporu przeciwnika. Dokoła wieżyczki obserwacyjnéj pałacyku Pągowskich powstają coraz gęstsze słupy kurzawy i płomieni; gruby piętrowy dom murowany Szonerta legł w gruzach, skoszony bombą z melenitem; z pałacyków Ossowskiego — powstał stos poczerniałych cegieł; nowy dworzec kolejowy zapadł się jak w ziemię;

piękne drzewa cmentarza żydowskiego skoszone jak trawa; Chrzanów goreje niby świecznik czteroramienny; stawy posiekanego parku Jordanowickiego rumienią się czerwienią złowrogą; kościół Grodziski otoczony gęstą chmurą dymów, wydobywających się ciężko z natłoczonych drewnianych chałup małomiejskich; — wieś Kozerki Wielkie i sznur chat w Opypach—łyskają już tylko kupami dogasających węgli. O celności pocisków nieprzyjaciela wnosić można z tego, że kiedy wodoleczniczy zakład dra Bajasińskiego i stary pałac Mokronowskich (w parku Jordanowickim), nad któremi powiewają chorągwie konwencyi genewskiéj i haagskiéj, stoją nietknięte, to domy i zabudowania sąsiednie, o kilkadziesiąt sążni od nich położone, świadczą teraz jedynie resztkami swych kominów i podmurowań, że były, że istniały, że w nich niegdyś, wśród uroczéj zieleni ogrodów i cichego szmeru zbóż rozmaitych, strudzony mieszkaniec syreniego grodu znajdował spokój, przytułek i gościnę... Z poblizkiego Czerwonego Dworu ocalał tylko mur parterowy, gruby na dwa łokcie, i piwnice kamienne, wzniesione niegdyś dla posługi szpitalnéj przez dra Girsztowta; dwa łańcuchy kamienic i willi przy drogach wiodących od Czerwonego Dworu do Chrzanowa i dawnego parku Anca (posesye Pawłowiczów, Luszczewskich, Turobińskich, Józewskich, Szczygielskich, Buchnerów, Wydżgów, Leśniewskich) znikły bez śladu; wśród piekielnéj spiekoty, wśród wirujących w powietrzu kłębów piasku i popiołu połyskują nad niemi, tu i owdzie, tylko błędne ogniki konającéj pożogi, i tarza się pijany, zamętny huragan z żelaza i ołowiu. Każdy wyrzucony pocisk pęka obecnie nad głowami walczących, i z każdego z nich setki kul i czerepów spada na powierzchnię zajętą przez wojska, ogołocone teraz z osłon pierwotnych, tak przyrodzonych, jak i wzniesionych sztuką fortyfikacyjną...

Dwa tylko tysiące metrów dzieli już przeciwnika od przeciwnika. Nieprzyjaciel wparł się na zgliszcza Jaktorowskie; w odpowiedzi kawalerya rosyjska wichrem od Rokitna oskrzydlać popędziła Wiskitki półkolistym zamachem od strony Błonia, Leszna i Serok. Artylerya raz po raz urywa dyalog swój głuchy, ale go nie zaprzestaje. Ulewa granatów miażdży konie, zaprzęgi, bombardyerów. Bataliony, pułki, dywizye piesze — przerzedzone, poświdrowane, mieszające się co chwila i co chwila zwężające swe szeregi, postępują naprzód, przygotowują się do zabrania głosu. Już kule karabinowe, małe, cienkie, zgrabne, ostre, wysrebrzane, świszczą, skaczą, tną, wiercą na wskróś szeregi, odbijają się i pryskają. Salwa idzie za

salwą i wielkie garście kul gęstych niby grad, szybkich jak błyskawice, ciemno-mglistą oponą pokrywają pole walki. Działa, zrujnowawszy artyleryę przeciwnika i same do połowy zdemontowane i potłuczone, zwracają się teraz ku piechocie, w nią mierzą. Miotają na te rozsypane mrowiska strugi brył żelaznych, celując w gąszcz, zalewając ryczałtem wszystkich. Około godziny 2-éj z południa na stanowiskach nieprzyjaciela wszystkie potoki, brózdy i rowy krwią zapływają. Kolumny strzelców prą jedna drugą, pułki dążą za pułkami, wreszcie nadciągają rezerwy świeże. A jednak, między dwiema armiami, tępionemi i zmiatanemi przez kule, rozciąga się pas na tysiąc do półtora tysiąca kroków szeroki,—niezdobyty, nieprzebyty, jakby neutralny, odtrącający od siebie zapaśników przez to, że jest bez przerwy zatapiany ogniem ze stron obu; na téj miedzy potwornéj żadna istota żywa chwilę choćby pozostać nie może; — niema siły tak zwinnéj, coby tę morderczą granicę przestąpiła.

Amunicya zwolna się wyczerpuje, dowóz jéj na schyłku dnia staje się prawie niemożliwym po przez wzgórza ciał nieuprzątniętych; zawały takie, nad których usunięciem pracuje osobny wydział służby wojskowéj, piętrzą się szczególnie na skrętach szos, na pobrzeżach rzek głębszych, oraz w miejscach otaczających stanowiska artyleryi. Grobowce cmentarza katolickiego w Grodzisku i niziny przypierające do okopisk dawnego zamczyska na gruntach Chlewni pokryły się grubą na sążeń warstwą sposoczonéj miazgi ludzkiéj.

Plant kolei żelaznéj, poryty i zrównany ziemią aż do samego niemal Brwinowa, aczkolwiek naprawiany z wysileniem nadludzkiém, przestaje być arteryą bój zasilającą, a to w następstwie zapalenia się lasów Milanowskich; transporta usiłują przedrzeć się drogami ubocznemi, przez Radonie, Odraną Wolę i szosę Nadarzyńską, która pod spaloną wsią Jordanowice urywa się nagle, zabarykadowana gruzami wysadzonéj w powietrze prochowni Okęcińskiéj... A ogień tymczasem trwa i trwa nieprzerwany, ciągły... Nastaje chwila, kiedy już połowa walczących rzęzi i kona; wały rannych i zabitych tworzą niby duże, równoległe szańce, tu i owdzie poszarpane kartaczami; piętrzą się one szczególnie w pobliżu wiatraka Chrzanowskiego, który dziwnym, niewytłómaczonym, trafem stoi niewzruszenie i cało, roztrząsając swemi rozmachanemi skrzydłami czarne smugi dymów, zaczerwienione w odblaskach zachodzącego słońca i kałuż krwawych. Bój, wciąż głuchy i ciemny — przeciąga się, wscieka się, rozjusza; z obozowisk po za rezerwami wymykają się pierwsze stropy świateł elektrycznych, przeznaczonych do wytra-

piania zagięć frontu nieprzyjacielskiego, — a wszakże rozwiązania bitwy ani widać, ani przeczuć. Ow pas siarczysty, nieprzebyty, owe tysiąc kroków bezprzerwnéj ulewy karabinowego ognia wciąż dzielą walczących, — i długo jeszcze dzielić ich będą... Zwycięży,—kto wie, może aż około św. Jana lub św. św. Piotra i Pawła,—ten, komu na dłużéj wystarczy ładunków, bomb z melenitu, granatników piorunowych i żywego ludzkiego mięsa. Ale i zwycięzca nie prędko i nie łatwo wykona pościg po przez tysiączne góry rumowisk, zgliszcz, połamanych wozów, do cna wytrzebionych okolic. A zresztą, i dokąd się posunie, po co? — W hypotezie przepartego oporu, czy nie zapragnie armia zaczepna wystawić zdziesiątkowanych swych szeregów pod bastyony fortów warszawskich? Czy nie spróbuje roztasować się w podminowanych fermach osadników niemieckich pod Gołąbkami, Pruszkowem, Raszynem?

Ponury koloryt naszkicowanego powyżéj widowiska książka Jana Blocha umie jeszcze zabarwić odcieniem niemiłosiernéj jakiéjś ironii. Wzamian za tyle ofiar, trudów i strat, w jednéj tylko bitwie walnéj poniesionych, jakież wynagrodzenie wydusić dla siebie zdoła wycieńczony tryumfator z pokonanego, ledwie dyszącego współzawodnika? Z kogo i z czego je ściągnie? na czém onego wykonalność oprze i ubezpieczy? — Wsztabie francuskim obliczono np., że w wojnie przyszłéj do pospolitych należéć będą moździerze i tarany, z których strzał jeden kosztuje 8500 franków; razém, za całą kampanię, w rachunku najskromniejszym, wyniesie to od ośmiu do dziewięciu miliardów franków od stu tysięcy strzałów. Pomyślmyż teraz, że każdy strzał taki obrócić jest zdolny w kupę sadzy, tynku i kamieni katedrę Najświętszéj Panny nad Sekwaną, — pałac nieboszczyka księcia Bismarka nad Sprewą, — parlament cesarski nad Dunajem, — cały harem sułtański nad Bosforem. Zkądże się weźmie kontrybucya, w pieniądzach lub w naturze, którąby krzywdy podobne zrównoważyła choć w przybliżeniu? — Publiczny i prywatny majątek narodów szacujemy zwykle na podstawie pokojowych warunków rozwoju, kiedy kwitną nauki, sztuki, rękodzieła, kiedy przedsiębiorczość ludzka wydobywa na wierzch najskrytsze skarby swéj pomysłowości, wytwórczości, pracy; ale wojna, spychając dobrobyt i energię społeczeństw na dno nędzy i niedoli, pozostawia za sobą z tego wszystkiego, — zwłaszcza w krajach pogranicznych, przeznaczonych z natury położenia lub przejść dziejowych służyć za towar na rynkach międzynarodowych, — tylko niebo i ziemię. A nie każdy — dla wynagrodzenia swych strat, — potrzebuje gołéj ziemi i pustego nieba. Rosya np., — zdaniem Blo-

cha, posiada u siebie jedno i drugie w mierze więcéj niż dostatniéj. „Państwo rosyjskie — powiada, — zajmując szóstą część powierzchni całéj kuli ziemskiéj, oczywiście nie dąży do zdobyczy terytoryalnych. Kampania 1877—78 r., która doprowadziła Rosyę do bram Konstantynopola, dowiodła faktycznie, iż Rosya nie stara się o rozszerzenie swych posiadłości w Europie... Pokojowe usposobienie Rosyi współczesnéj stwierdzali niejednokrotnie monarchowie i politycy całéj Europy; o jego trwałości upewniają zabiegi około wewnętrznego rozwoju państwa... Wprawdzie, za granicą podejrzewają Rosyę o dążenie do przyłączenia Słowian południowych. Podejrzenie to jednak jest zgoła nieuzasadnione. Serbia i Bułgarya zawdzięczają swą niepodległość Rossyi, o przyłączeniu zaś ich przemocą mowy być nie może. Jeżeli jednak kiedyś Słowiańszczyzna ma się zjednoczyć, to zjednoczenie to nastąpić może nie drogą ryzykownych przedsięwzięć wojennych, ale raczéj wskutek postępów osiąganych w rozwoju wewnętrzném Rosyi... Co do widoków na Galicyę wschodnią, sympatye, jakie publicyści rosyjscy okazują Rusinom galicyjskim, są zupełnie naturalne; rząd rosyjski nie ma powodu występować przeciwko temu. Ztąd jednak nie wynika, ażeby tenże rząd miał uznawać za konieczne przyłączenie do olbrzymiego państwa maleńkiego kraiku, który się już przyzwyczaił do istniejącego ustroju prawno-państwowego, wyznaje unię i w części zamieszkany jest przez ludność polską, rzymsko-katolicką. Korzyść z takiego nabytku byłaby co najmniéj wątpliwa" (str. 166, 267). W każdym razie, gdyby kiedykolwiek zabrakło Rosyi chleba lub powietrza, z pewnością nie będzie ich szukała po za zachodniemi swemi granicami, mając przed sobą na wschodzie tyle rozległych widnokręgów, naoścież niemal rozwartych, — chociaż zaznaczamy to mimochodem), autor z naciskiem nastaje na nieprodukcyjność, najświeższych usiłowań polityki rosyjskiéj w Chinach i twierdzi-że owładnięcie Koreą nie zapewnia Rosyi istotnych i pożądanych korzyści (286—290). Nawet głośna niegdyś kwestya polska nie miała nigdy dla Rosyi donioślejszego p o z y t y w n e g o znaczenia. Wielki spór z Napoleonem I w latach 1805—1812 i drobne zajścia dyplomatyczne z mocarstwami zachodniemi w latach 1831, 1846, 1853, 1863 zaświadczyły wymownie, że posiadanie królestwa kongresowego stanowi dla Rosyi raczéj punkt honoru, tradycyi, uświęconego przez historyę faktu, niźli przedmiot pożytku pozytywnego, materyalnie pojętego. Pamiętnym jest z tego względu mało w literaturze polskiéj znany memoryał cesarza Mikołaja I, skreślony naprędce, ołówkiem, zaraz po katastrofie r. 1831, i przytoczony w ca-

łości przez prof. Teod. Martensa w jego „Recueil des traités"), tom VIII, str. 177—181, wydanie petersburskie, 1888 r.). Rosya — pisał cesarz po francusku [1]) — nie może wydobyć z Polski dzisiejszéj żadnéj korzyści rzeczywistéj... Kraj ten cesarstwu nic nie przynosi, przeciwnie, sam istniéć nie może bez ciągłych ofiar, ponoszonych przez państwo celem zaspokojenia potrzeb jego administracyi. Jest więc rzeczą widoczną, że nie mamy żadnego pożytku z niewygodnego tego posiadania; nawzajem niedogodności są ciężkie i nawet zagrażające. Pozostaje tedy zdecydować, jak temu zaradzić. Widzę jeden tylko sposób, a mianowicie: oznajmić, że Rosya nie dba o władanie prowincyami, których niewdzięczność stała się widoczną, — że istotne interesa nasze polegają na cofnięciu zachodnich granic państwa ku Wiśle i Narwi, a co do reszty, oddać ją możemy jako niegodną należenia do korony rosyjskiéj, sprzymierzeńcom, pozostawiając im swobodę postąpienia według tego, co za odpowiednie uznają...

Zapewne, — nie wszystkie mocarstwa znajdują się w równie jak Rosya szczęśliwém położeniu geograficzném; niektóre wytężać muszą całą swą mądrość dyplomatyczną i wszystkie swe siły żywotne dla zdobycia gdzieśkolwiek kawałka wytrzebionego gruntu, na którym umieściłyby nadmiar swéj krwi i swych kapitałów. Bloch nie sądzi wszakże, aby pożądaniom tym, mniéj lub więcéj prawowitym, stac się dziś mogło zadość w drodze najszerzéj nawet i naj-

---

[1]) „La Russie ne peut retirer de la Pologne, telle qu'elle existe aujourd'hui, aucun avantage réel... En jetant les yeux sur la carte on est effrayé de voir la frontière du territoire polonais de l'Empire toucher presque à l'Oder, tandis que les flancs se replient derrière le Niemen et le Boug, pour s'appuyer à la Baltique prés de Polangen et à la mer Noire prés des bouches du Danube... Ce pays ne rapporte rien à l'Empire: il ne peut au contraire exister que par les sacrifices continuels, que l'Empire doit faire, pour qu'il puisse suffire aux besoins de son administration. Il est donc évident, que les avantages de cette incommode possesion sont nuls: en revenche, les inconvénients sont graves et même menaçants. Reste à décider, comment y remédier. Je n'y vois qu'un seul moyen et le voici: Déclarer que la Russie n'a pas d'interêt à posseder des provinces dont l'ingratitude a été si flagrante, que ses véritables intérêts lui commandent d'établir et de fixer ses frontières á la Vistule et au Narew, qu'elle abandonne le reste à ses alliés comme indignes de lui appartenir et en leur laissant le soin d'en faire l'usage qu'ils jugeront convenable, que fidèle a ses principes la Russie conserverait á la portion du Royaume qui lui resterait la jouissance de ses lois et institutions, autant qu'elles seront compatibles avec sa sûreté future, que le titre de Royaume de Pologne serait attaché á ce territoire, afin d'empêcher qu'il ne soit donné á aucun autre et qu'un nouvel état hostile á la Russie ne soit créé de nouveau".

dzielniéj rozwiniętéj akcyi wojennéj. Wyrzucona z Włoch, wypchnięta z rzeszy niemieckiéj, zwyciężona w wieku XIX na wszystkich polach bitew, Austrya nie wzmocniłaby obecnéj swéj równowagi niestałéj ani cypelkowemi, klinowatemi nabytkami nad Wisłą, ani zaokrąglającemi zaborami na półwyspie Bałkanskim. Już obecnie Słowianie stanowią dla zasadniczego, przyrodzonego dualizmu austrowęgierskiego groźbę niepokojącą, wzmagającą się z dniem każdym. Na przyłączenie nowych jakichś prowincyi słowiańskich nie zgodzą się ani Węgrzy, ani „Cislitawianie niemieccy". W ogólności, układ stosunków wewnętrznych w monarchii habsburskiéj stanowczo nie sprzyja planom przebudowań lub przybudowań gwałtownych. Wolne ujścia Dunaju, asymilacya Bośnii i Hercogowiny, korzystnie unormowane stosunki handlowe z Rumunią, Bułgaryą, Serbią, Macedonią, oto jest najpożądańsze dla Austryi *status quo*, którego stwierdzenie i utrwalenie nie potrzebuje bynajmniéj sankcyi orężnéj (260).

A Francya?... — Francya w ciągu lat blizko trzydziestu od r. 1870 zajmowała się niemal wyłącznie myślą i nadzieją odzyskania Alzacyi i Lotaryngii. Może je i odzyska z czasem. Ale nie będzie to „zysk" ani pierwszy, ani téż — prawdopodobnie — ostatni. Ogniem i żelazem odszczepił niegdyś te prowincye od Niemiec król Ludwik XIV; przyszczepił je za dni naszych napowrót do Niemiec, żelazem i ogniem, cesarz Wilhelm I; rzeczy na pograniczu francuzko-niemieckiém cofnęły się do stanu pierwotnego i tym sposobem dwie wojny, morze energii ludzkiéj, rzeki krwi i góry dorobku cywilizacyjnego ulotniły się gdzieś w przestworza, wsiąkły gdzieś w piasek pobojowisk najkompletniéj marnie, obiły się o obłoki językiem jałowym, rozwiały się po powierzchniach dziejów odgłosem czczym, bezmyślnym, ponurym... Czyliżby i w dalszym ciągu prawnuk odrabiać miał to, co pradziadek zrobił? czyliż wciąż potomność wznosić musi po téj tu stronie mury, które przeszłość wyłamała po tamtéj? Trudna rada: każdy naród swobodny jest w swoich pragnieniach i w wyborze środków ich urzeczywistnienia. O ile wszakże historya i statystyka uczyć czegoś mogą, nie przemawiają one wcale za obecném wygórowaniem dążności militarnych we Francyi. Wojny napoleońskie pochłonęły jéj dwa miliony zdrowych, dorodnych synów; co najmniéj drugie tyle zabrały późniejsze wyprawy orężne, rewolucye, wstrząśnienia, zatargi domowe. Naród straciwszy w ciągu jednego stulecia ogrom sił młodych i czerstwych, naród wciąż skazujący na czasową abstynencyę ludzi w kwiecie wieku, a niczém nie ograniczający, pod tym względem

kalek, skrofulicznych, niedołęgów, idyotów, starców, podrostków nawet, — z konieczności musi stopniowo się zmniejszać, podupadać, karłowacieć fizycznie, tępiéć umysłowo. Oznaki zwyrodnienia rasy stają się téż we Francyi coraz widoczniejsze. „Był czas — powiada Bloch—kiedy oczy wszystkich narodów zwracały się ku temu krajowi, jako ku ognisku, którego promienie oświecały całą ludzkość. Ztąd biło światło humanitarnych, szlachetnych idei, tutaj duch ludzki wyswobodził się z więzów przemocy i fanatyzmu, obalił przesądy, tutaj dojrzały wyobrażenia o wolności politycznéj obywateli i narodu, praw człowieka i praw narodów... Obecnie, gdy główną myślą Francuzów stało się pragnienie ponownego krwi rozlewu, kraj ten ukazuje się wszystkim w złowrogiéj perspektywie klęsk, gotujących się dla niego i dla jego sąsiadów". Szczególniéj w uczuciu tych, co zdala patrzą na bieg współczesnych wypadków we Francyi, obraz wygląda dziwnie: pobudki samolubne i drobne, namiętności poziome, cele rozbite i oklepane, a wśród tego zmiałczenia i téj płaskości powszechnéj, ciągłe jakieś wiercenie się w zaczarowaném kole kilku oderwanych ogólników politycznych, — wiercenie się wielce podobne do kurczów i majaczeń uwiądu starczego. Mówią nam wprawdzie, że narody nie umiérają, przeto i starzeć nie mogą, ale pewnik ten bynajmniéj nie zabezpiecza — nawet młodzieniaszków — przeciwko n i e ś m i e r t e l n o ś c i w i e c z n i e c h o r o w i t é j; w takim zaś razie nieodzownie leczyć się trzeba, nie zaś z ogniem żartować. A cóż to za lekarstwo — odzyskanie pasemka ziemi nadreńskiéj za cenę nowego upustu krwi, większego bez porównania od wszystkich poprzednich, które wycieńczywszy Francyę, zhamowały, zatamowały w niéj źródło prawidłowego wzrostu zaludnienia?...

Żadne tego rodzaju widmo bezsilności nie stanęło dotąd wpoprzek zakusów i psikusów Niemiec. Naród to punktualny, regularny, systematyczny. Stała, rzetelnie z preliminarzami statystyki zgodna przewyżka urodzeń nad śmiertelnością odbywa się tu corocznie z sumiennością i starannością taką, jak przy wypiekaniu chleba lub fabrykacyi piwa. Normalne w tym zakresie funkcyonowanie mechaniki społecznéj wcześnie zniewoliło rasę niemiecką do oglądania się na odpowiednie rozszerzenie swych siedzib, swego podłoża topograficznego. Jeszcze w epokach, kiedy o przeludnieniu nie było mowy, szczep germański pozarzucał dokoła liczne pajęcze siatki mateczników kolonizacyjnych. Trafnie zauważył jeden z tegoczesnych publicystów, że od upadku cesarstwa niemieckiego podziśdzień nigdy nie można było wiedzieć napewno, gdzie się

zaczynają i gdzie się kończą obszary niemieckie. Ani jedno państwo nowożytne nie poważyło się tak sznurkowato osaczać i podnurtowywać pogranicza sąsiednie — Włochy przez Tyrol i Lombardyę—Francyę przez Lotaryngię—Danię przez Szlezwig,—Rosyę przez prowincye nadbaltyckie, — Słowiańszczyznę południową i zachodnią przez Morawę, obie Austrye, Ślązk, Poznańskie. Jednakże, środkowo-europejskie i przeważnie lądowe stanowisko nie zawsze pozwalało na zbyt otwartą, doniosłą, jaskrawiéj w oczy bijącą akcyę zdobywczą; więc naród niemiecki ujrzał się o to w konieczności wyrzucania swych dzieci za Atlantyk. Stratność emigracyi tak dalekiéj—widoczna;—niebawem atoli inny jeszcze wzgląd przyszedł zasępić horyzont. Obok rasy niemieckiéj rozwinęło się plemie świeże, nie tak bardzo płodne, niezbyt przecież opuszczające się w etnicznych obowiązkach względem przyszłości, a jednocześnie posiadające niezmierzone prawie przestrzenie rozrostu terytoryalnego.

I w tém właśnie — jak pokazuje praca Jana Blocha—w tém najgłówniéj tkwi najtwardszy szkopuł, najcięższa groźba dla spokojnego cywilizacyjnego rozwoju ludzkości: Niemcy bowiem z zawiścią i obawą spoglądają na tę olbrzymią możliwość liczebnego potęgowania się Słowiańszczyzny wschodniéj. „Konieczność wyrzucania za ocean przyrostu ludności (pisze Bloch), gdzie ona przepada dla ojczyzny, budzi widoczny niepokój w Niemczech. Niektórzy przewidują już niedalekie upośledzenie narodu niemieckiego w porównaniu do kolosalnego przyrostu ludności w Rosyi. Według obliczeń statystyków niemieckich, za lat sto liczba mieszkańców w Niemczech wyniesie zaledwie 80 milionów, kiedy w Rosyi będzie już 300 milionów; tymczasem, gdyby nie było emigracyi zaatlantyckiéj, coroczna nadwyżka urodzeń nad wypadkami śmierci (11,7 ludzi na 1,000) podniosłaby zaludnienie Niemiec w r. 1999-m przynajmniéj do 170 milionów... Byłoby to już coś wobec nieuchronnego aksyomatu, że w przyszłości wezmą górę te rasy, które zawczasu zdołały zagarnąć olbrzymie obszary ziemi i mają możność pomieszczenia szybko wzrastającéj ludności we własnych posiadłościach" (161). I wobec téj to przewagi faktycznéj, żywiołowéj, a nieuniknionéj, chociaż dziś jeszcze dalekiéj, sztuczne kombinacye strategiczne lub dyplomatyczne, wysnuwane w Berlinie przeciwko Rosyi, nabierają niejakiego znaczenia, zyskują na wadze. Najpomyślniejsza dla Niemiec wojna odroczyłaby może na czas jakiś niebezpieczeństwo, nie zażegnałaby go stanowczo. Restytucya granic 1797—1806 po Wisłę i Narew, na jaką ewentualnie zgadzał się po r. 1831 cesarz Mikołaj I, przelałaby na stronę Niemiec kawałki Kujaw, Mazowsza

i Podlasia (z Warszawą, Płockiem, Białymstokiem), stosunkowo dość gęsto już zaludnione a katolickie, z którémi więcéj jeszcze może byłoby kłopotu, niż dziś z Poznańskiém: wypadałoby je raczéj tępić po krzyżacku, niż nawracać parlamentarnie i cywilizacyjnie, a wszystko to razem dostarczyłoby, przed r. 1999, co najwyżéj niecały jaki milion neofitów-Niemców, — a i to dopiéro w przypuszczeniu gorliwego współudziału żydów, skłonniejszych podobno do przerobienia swego żargona na język Heinego, niż na język Mickiewicza... Posunąć się więc nieco daléj, po za linię rozżalonego przyzwolenia cesarza Mikołaja I?... wkroczyć pomiędzy głuche gaje żmujdzkie, pobratymcze niegdyś gajom staro-pruskim, zagarnąć piaszczyste i błotne niziny białoruskie, rozłożyć się obozem na dawnych dzikich polach Chmielnickiego?—postąpić zatém tak właśnie, jak w czasie wojny krymskiéj doradzał Bunsen w Londynie i jak opiewała ugoda czekająca wtedy już tylko na podpis wielkobrytańskich i pruskich mężów stanu? — Śnił o tém niekiedy książe Bismark, lecz bardzo rzadko, w chwilach zaledwie najwyższego upojenia, wśród zwycięztw niesłychanych, zdolnych przewrócić do góry nogami najmocniéj pod grubemi czaszkami osadzone mózgi. Wówczas, myśl jego chętnie i szybko przenosiła się z francuskiéj na polską i nawet litewską widownię wojny—hen tam kędyś na skraj puszczy białowiezkiéj lub nalibockiéj, gdzie, po szczęśliwie skończonéj kampanii, z flintą na ramieniu, z fajką w zębach, z buldogiem u stóp, wałęsałoby się sobie po zaroślach i uprzejmie rozmawiało z chłopami w łamaném narzeczu kaszubsko-rusińskiém.

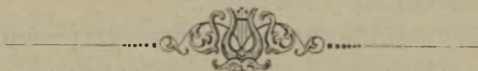
Niestety, takie idylle militarno-osadnicze nie długo gościć mogły w praktycznych głowach niemieckich. Najpierw dla zapewnienia im realizacyjnego gruntu, trzebaby uprzednio stoczyć wojnę, wobec któréj rzezie 1870—71 r. wydałyby się zabawką dziecinną. Powtóre, utrzymanie traktatu, zawartego w następstwie zwycięztw stokroć donioślejszych od königsgrätzkiego i sedańskiéj, wymagałoby urządzenia strażnic oszańcowanych nad Dźwiną i Dnieprem ze stałemi załogami od pięciu do siedmiu kroć stutysięcy żołnierzy. Po trzecie, tyleż co najmniéj wojska wypadłoby miéć zawsze na pogotowiu dla poskromienia gwałtów i buntów rozmaitéj czerni hajdamackiéj, któréj krnąbrność i nieposłuszeństwo, w porównaniu do potulności chłopa polskiego, już nawet w Berlinie poszły w przysłowie. To żaden interes dla przyszłéj plutokracyi niemiecko-żydowskiéj, powołanéj do wyłącznego dziś korzystania ze wszelkich wypraw i łowów kresowo-słowiańskich. Na co jéj takie najazdy tłumne i zbrojne? Kiedy w Poznańskiém, na forsowne kolonizacye drobnéj

własności szwabskiéj rząd traci setki milionów, ona, pod dogodném przykryciem nominalnego przyjęcia obcego poddaństwa, zakłada dziś dla siebie, z pomocą prostych setek tysięcy talarów, prawdziwe udzielne księstwa niemieckie, jak w Łodzi, Żyrardowie, Białymstoku, Berdyczowie—i wyżyłowując dobrobyt tubylców, zdobywa jeszcze w dodatku sławę pionerów cywilizacyi nowéj, przemysłowo-handlowéj. Minęły zresztą czasy ógólno-masowych orężnych przenosin; trzeba było pomyśléć o tém dawniéj, za dni Fryderyka W. Zamiast wspierać wytworzenie się jednego wielkiego mocarstwa słowiańskiego, należało wówczas podtrzymać równowagę dwu wzajem wrogich sobie potęg: demokratyczno-monarchicznéj w Moskwie i oligarchiczno-republikańskiéj w Warszawie. Przedłużając tym sposobem śmiertelną walkę ustrojów zasadniczo z sobą sprzecznych, podniecając rozterki i nienawiści ciągnące się bezprzerwnie od wieku XVI-go, z łatwością byłoby się doczekało chwili zupełnego wyczerpania się obu zapaśników, a wtedy bez trudu i nakładu posunęłoby się granicę oświaty i panowania germańskiego bodaj pod Ural. Obecnie, jest już za późno. Pierwszy spostrzegł się na tém sam książe Bismark jeszcze w r. 1848, kiedy w parlamencie frankfurckim uchwalano równouprawnienie Polaków z Niemcami i rozprawiano nad wnioskiem Arnolda Ruge o wskrzeszeniu *drugiego* państwa słowiańskiego, pisał on w relacyi urzędowéj: „Rozwój polskości w W. Ks. Poznańskiém ma jedynie na celu odbudowanie państwa polskiego. Gdyby Polska zmartwychwstała w granicach 1772 r., gdybyśmy jéj oddali całe ks. Poznańskie, Prusy Zachodnie i Warmię, przecielibyśmy tém samém najważniejsze arterye wodne Prus, miliony Niemców skazalibyśmy na samowolę Polaków, a wzamian za to wszystko pozyskalibyśmy sprzymierzeńca wątpliwego, który korzystałby z każdego niepowodzenia Niemiec, aby od nich oderwać jeszcze Prusy Wschodnie, Ślązk i polskie okręgi Pomorza. Co prawda, jeszcze jeden projekt jest możliwy, a mianowicie wskrzeszenie Polski w ciaśniejszych granicach: Prusy oddałyby jéj wówczas część tylko polską ks. Poznańskiego. Atoli, jedynie ten, kto nie zna Polaków, przypuszczać może, iż przestaną oni być zakamieniałymi naszymi wrogami wpierw, nim się im uda odebrać od nas co do jednéj każdą wioskę polską w Prusiech Wschodnich, Zachodnich i na Ślązku; przytém, skorzystają oni z każdego naszego starcia z Europą zachodnią, aby napaść na nas z tyłu”...

List ten przynosi niewątpliwie zaszczyt przenikliwości pierwszego wielkiego kanclerza Niemiec zjednoczonych. Dla czego jednak Jan Bloch, przytaczając pamiętne to pismo w całości (str. 270),

zdaje się je zaliczać do rzędu dokumentów przemawiających raczéj za pokojem przyszłym, niż za wojną przyszłą? Nie widzimy i nie rozumiemy tego dobrze. Autor czyliżby miał jakąś, nieznaną nam podstawę do mniemania, że rozbrojenie, redukcya wojsk stałych, zaprowadzenie sądów rozjemczych i t. p. zmniejszyłyby lub złagodziły w części nieskończony poczet następstw, wypływających z ciosów, klęsk i zdrad, jakie z inicyatywy rozmaitych Bismarków spadały na głowy Polaków w rzekomym celu zneutralizowania zastarzałych ich uraz i wstrętów do Prusaków? — Może być—zależy to przedewszystkiém od składu organizacyi owych sądów rozjemczych. Tymczasem to tylko pewne, że na odbywających się obecnie (druga połowa czerwca 1899 r.) konferencyach międzynarodowych w Haadze delegaci niemieccy sprawę tę postawili w świetle, nie dodającém otuchy szczerym wielbicielom pokoju. Odrzucając myśl stałego sądu rozjemczego dla załatwienia sporów pomiędzy państwami,—oświadczyli oni, że czynią to głównie z obawy, iż sąd taki nie byłby dość bezstronnym... Naturalnie, w zagadnieniach np. czy wolno Słowian traktować jako istoty stworzone na obraz i podobieństwo Boże, czy téż raczéj uważać ich należy za sprzężaj tylko roboczy?—bezstronnym w oczach uczciwego Prusaka byłby jedynie sąd złożony z Niemców autentycznie urodzonych w Berlinie, lub przynajmniéj w Pocztdamie, wychowanych od dzieciństwa w koszarach mogunckich i posiadających dyplom doktorski z akademii hakatystów w Brombergu... Ale, — nie pogłębiajmy przedmiotu; należy on, być może, do owych delikatnych materyi, które usunięte być mają z dyskusyi prasy na wypadek ukonstytuowania się jakiegokolwiek międzynarodowego sądu rozjemczego. Dość więc będzie, gdy na zamknięcie sprawozdania z długoletniéj, mozolnéj i kosztownéj pracy Jana Blocha wypiszemy, na dobro jego książki, jeszcze jedną z niéj cytatę: „W końcu, przyszliśmy do wniosku, że choć w dzisiejszym stosunku Niemiec do Rosyi nie widać tego osobistego rozdraźnienia i pychy, jakiemi odznaczały się rządy księcia Bismarka, mimo to jednak wszystkie kombinacye polityki niemieckiéj, obmyślone na szkodę Rosyi,—pozostały dotąd w dawnéj mocy” (str. 164).

Kazimierz Włostowski.



Rozbiory i Sprawozdania.

Prof. dr. Teodor Dydyński. Cesarz Hadryan. Studyum historyczno-prawne. Wydane z zapomogi Kasy im. dra Józefa Mianowskiego. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki, 1899.

Umiejętność teoretyczno-prawna stoi u nas na nader niewysokim poziomie: teoretyków, poświęcających się z całém zamiłowaniem nauce czystéj, jest u nas nader niewielu, praktycy zaś zbyt są pochłonięci codzienną pracą zarobkową, by badaniom naukowym wiele czasu poświęcać. To téż studyum prawne, oparte na szerokiéj erudycyi, jest u nas prawdziwą rzadkością.

Z tém większą tedy przyjemnością witamy niniejszą pracę długoletniego i zasłużonego profesora tutejszego uniwersytetu, zalecającą się sumienném wniknięciem w istotę i ducha prawa rzymskiego.

Wobec sprzecznych poglądów i zdań o charakterze i działalności politycznéj Hadryana, dających się zauważyć już u współczesnych, którzy nazywali go *semper in omnibus varius*, prof. Dydyński wziął sobie za zadanie wyjaśnić tę zagadkową postać. Chociaż bowiem Hadryan nie stworzył nowéj ery w dziejach pryncypatu rzymskiego, w każdym razie położył wielkie zasługi w organizacyi olbrzymiego państwa, i jak mówi nasz autor „wysoko pojmował stano-

wisko panującego i urzeczywistniał wielką ideję służby dla dobra publicznego" (str. 8).

Na czémże polega ta działalność prawno-społeczna Hadryana? dokąd dążyły jego reformy? Odpowiedzią na te pytania jest niniejsza praca.

Hadryan, jak się okazuje, przedstawia nam ideał rozumnego władcy. Pojmuje on wybornie, że żadne zmiany w ustroju społeczno-politycznym nie dadzą się przeprowadzić gwałtem, doraźnie, że nowe formy prawne urabiają się i wchodzą w życie latami całemi, więc chociaż jest namiętnym reformatorem, reformy jego nie są ani tak stanowcze, ani tak radykalne, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. A potém z tych reform wieje duch humanitarności i tolerancyi, w czasach owych niezwykły.

Co do wojskowości, zaprzestaje on wojen zaborczych, wyczerpujących siły żywotne państwa, a natomiast, wzmacniając dyscyplinę woskową, dąży do zabezpieczenia granic od nieprzyjaciół; rozumiał bowiem, że nie wielkie przestrzenie, lecz bezpieczeństwo stanowi dobrobyt państwa.

A potém—Hadryan—to wieczny podróżnik na tronie. W długich swych wędrówkach, które objęły wszystkie niemal prowincye rzymskie, zapoznaje się z potrzebami miejscowéj ludności, którym téż wszelkiemi siłami stara się zadość uczynić. Nicią przewodnią, wiążącą reformy Hadryana, tyczące się prowincyi, była myśl zrównania pod względem prawnym mieszkańców prowincyi z Rzymianami, co prowadził do romanizacyi tych krajów i zjednoczenia ich z ogółem państwa pod względem duchowym i kulturalnym; zakłada więc Hadryan nowe miasta, podnosi istniejące do stanowiska kolonii i municypii, obficie nadaje prawa obywatelstwa rzymskiego (*civitas*), za co téż słusznie otrzymuje nazwę „*ampliator civium*"; dba również o dobrobyt materyalny prowincyi, środki obrony od napadów barbarzyńców, środki komunikacyi, poczty i t. d. — a co najważniejsza, ochrania je od łupiestw urzędników, rozciągając nad nimi jaknajściślejszą kontrolę.

Ojcowskiéj opieki Hadryana doznały: Hiszpania, Gallia, Brytania, Kraje naddunajskie (Recya, Noryk, Pannonia, Mizya, Dacya), Afryka, Maurytania, a zwłaszcza Hellada, która imponowała cesarzowi swą powagą kulturalną i cywilizacyjną; w Atenach był dwa razy, wznosił nowe gmachy, świątynie, nie szczędząc kosztów z obficie zaopatrzonego skarbu, doprowadził Greków do jedności narodowéj, o któréj tyle wieków daremnie marzyli, jeszcze za czasów swéj niepodległości. Widomym śladem jego zapobiegliwości względem Hellenów

jest miasto Adryanopol, przezeń założone i do dziś dnia noszące jego imię; marzył nawet o przekopaniu przesmyku Korynckiego w celach handlowych.

Po za tém Hadryan doprowadził do skutku jedną jeszcze reformę, nad wyraz ważną i zbawienną dla dobrobytu poddanych: zaniechał dawnego systemu pobierania podatków za pośrednictwem dzierżawców; wiemy bowiem doskonale, iż ci dzierżawcy *(publicani)*, również niemiłosierni zdziercy, jak prokonsulowie, byli istną plagą prowincyi.

Reformy Hadryana w polityce wewnętrznéj nosiły ten sam charakter reform przejściowych. Nie ulega wątpliwości, że ideałem cesarza był rozumny i szlachetny absolutyzm, polegający na silném skoncentrowaniu władzy, a oparty na dobrobycie poddanych i zaufaniu ich względem tronu. Absolutyzm taki nie znosi obok siebie żadnéj innéj instytucyi prawodawczéj, ale praktyka wiekowa utrwalia pewne formy, których odrazu złamać nie można — należy je więc osłabić, autorytet ich podkopać, zanim zgasi się je doszczętnie.

Tak téż i postępował Hadryan. Senatowi okazywał zewnętrzny szacunek, ale zmniejszył jego wpływ przez podniesienie klasy „rycerzy”, z których rekrutowali się po większéj części urzędnicy, jak również przez nadanie szerokiéj władzy „radzie cesarskiej“ (*consilium*), która składała się przeważnie z uczonych prawników. Senatus konsultom przeciwstawia rozporządzenia cesarskie, t. zw. *constitutiones principum*: edicta, decretaa, mandata i zwłaszcza rescripta, którym daje szerokie uwzględnienie. W rozporządzeniach tych bądź występuje z tolerancyjnymi poglądami względem chrześcian, bądź karci srogich panów, znęcających się nad niewolnikami, bądź łagodzi nieludzkie prawa względem niewolników i wyzwoleńców, bądź w myśl szlachetnéj jedności określa dokładniéj wzajemne stosunki Rzymian, peregrynów i latynów, bądź wreszcie nakazuje ludzkie obchodzenie się z oskarżonymi i osądzonymi—wszystko to wskazuje, jak zacne, humanitarne dążenie pielęgnował Hadryan w swém sercu.

Dążąc do jedności państwowéj, Hadryan kładzie kres kompetencyi prawodawczéj magistratów swym słynnym „edyktem wiecznym“ *(edictum perpetuum)*, przez co nowe edykta urzędników, uszczuplające władzę prawodawczą pryncypatu, stają się zgoła zbyteczne. Co zaś do zgromadzeń ludowych, to te już za panowania Nerwy znalazły ostatni swój wyraz.

Znamiennym jest również stosunek cesarza do uczonych prawników. Kochał się w nich, dopuszczał do swéj przybocznéj rady

i do najwyższych stanowisk państwowych, za panowania jego zakwitła uczoność prawnicza, zostały zaprowadzone wykłady prawa dla młodzieży, zakwitła literatura prawna w takich wybitnych przedstawicielach, jak *Neratius Priscus*, *Juventius Celsus*, *Salvius Julianus*, *Sextus Pomponius*, a wreszcie słynny *Gajus*, autor „Instytucyi"; działalność literacka tych uczonych zdążała do złagodzenia dualizmu dwóch wrogich szkół prawników Prokulejanów i Sabinianów i t. d. Ale pomimo to wszystko, do działalności prawodawczéj juryskonsultów nie dopuszczał, zostawiając ją litylko dla siebie.

Jakkolwiek bądź, reformy Hadryanu miały wpływ nielada na stan moralny, polityczny i materyalny krajów, podległych „*imperio Romanorum*"; zdążały one, jak mówi autor, „do podniesienia poziomu duchowego i bytu materyalnego narodu rzymskiego, do zaspokojenia potrzeb pojedyńczych krajów, których dobrobyt cesarzowi leżał na sercu" str. 206).

Chociaż więc Hadryan nie dokonał żadnego radykalnego przewrotu w ustroju polityczno-społecznym państwa rzymskiego, swemi drobnemi niewidzialnemi zmianami, zdążającemi wytrwale i niezłomnie do jednego celu ugruntowania władzy monarszéj, przygotował grunt dla swoich następców: „cesarz Hadryan nie był twórcą monarchii absolutnéj, ale położył fundamenta przyszłego państwa Dyoklecyana i Konstantyna" (str. 218). Silna centralizacya nietylko pod względem politycznym, ale także prawnym i kulturalnym—stanowiła ten cel, do którego Hadryan dążył niezłomnie: „z ideją jednego wszechświatowego państwa rzymskiego, łączyła się w umyśle Hadryana ideja jednego obowiązującego prawa, wypływającego z jednego i tego samego źródła" (str. 214).

Tak wygląda postać jednego ze znakomitszych cesarzy rzymskich w oświetleniu prof. Dydyńskiego.—W wyborném tém i źródłowém studyum uwypukla się ona dostatecznie; wyjaśniają się również te sprzeczności w sądach, jakie wydawali o Hadryanie współcześni i potomni.

Henryk Galle.

Stanisław Zdziarski. „Pierwiastek ludowy w poezyi Adama Mickiewicza". We Lwowie. Nakładem Towarzystwa Ludoznawczego. Skład główny w księgarni H. Altenberga we Lwowie. 1898.

O ludowości w poezyi naszéj można mówić dopiéro od romantyzmu. Sielanki XVI—XVIII w. Szymonowiczów, Zimorowiczów, Gawińskich zbyt przesycone były wspomnieniami klasycznemi, zbyt przypominały Teokryta i Wergiliusza, by można na seryo mó-

wić o wpływie twórczości ludowéj na te utwory; nawet najbardziéj z nich utalentowany Kochanowski w „Sobótce” niewolniczo szedł za elegikami rzymskimi i sielanki rodziméj nie dał nam wcale.

O wpływie ludowości na poezyę naszą można mówić dopiéro od czasu, kiedy Brodziński, idąc śladami Herdera, a za nim inni, zaczęli wołać do poetów, by porzuciwszy Apollina, Muzy i hippokreńskie źródło, zwrócili się do nieprzebranéj skarbnicy czystéj i bujnéj fantazyi—poezyi ludowéj.

Nie Brodziński jednak był tym, który wprowadził czysto ludowy pierwiastek do poezyi naszéj; pomimo raźnego „Wiesława” i jego skocznych krakowiaków, pomimo „Pieśń Rolników” nie można Kazimierza z Królówki nazwać twórcą nowego kierunku. On torował tylko drogę, a za nim szedł potężny geniusz, który poezyę naszą pchnął na nowe tory—Adam Mickiewicz.

Że pierwiastek ludowy był jednym ze składników twórczości Mickiewicza, zwłaszcza młodzieńczéj, o czém nie wątpiliśmy nigdy. Bojujący romantyzm na przekór Śniadeckiemu zbyt wielki kładł nacisk na tę stronę twórczości, by koryfeusz jego z motywów tych nie korzystał. Poeta sam zbyt często powiada o balladach swoich, że myśl do nich wziął „ze śpiewu gminnego”, bądź „z wiejskiéj powieści”, bądź „ze śpiewu litewskiego”, lub „z pieśni gminnéj”, abyśmy co do téj kwestyi miéć jakieśkolwiek wątpliwości. Zwłaszcza tycze się to ballad, które w swym charakterze najbardziéj są blizkie bujnéj i bogatéj fantazyi ludu.

Domyślali się tego krytycy Mickiewicza (Tretiak, Biegoleisen), wykazywali nawet wspólność tematów między utworami ludowymi i baladami autora „Dziadów”: wszechstronnie jednak nikt przedmiotu dotąd nie objął.

Podjął się téj pracy p. Zdziarski i rezultaty jéj przedstawił w dziele wymienioném w nagłówku. Pierwsza rzecz, która nas tu uderza, to porządek chronologiczny ballad i romanców, sprzeciwiający się ogólnie przyjętemu. Po „Romantyczności” p. Zdziarski rozpatruje „Lilie” potém „Świteź”, „Rybkę”, „Kurchanek Maryli”, Tukaja”, „Panią Twardowską”, „To lubię”, wreszcie „Świteziankę” i „Dudarza”; że jednak nie uzasadnił tego układu i nie przedstawił argumentów, nie możemy spiérać się z nim w téj kwestyi.

Znakomitą część niniejszego dzieła wypełnia rozbiór ballad i romanców, czego się téż można było spodziéwać. Autor ma gruntowne i obszerne wiadomości w dziedzinie ludoznawstwa, z czém zdradza się np. przy rozbiorze ballady *Lilii*, wyliczając cały szereg śpiewów i powieści polskich, rusko-ukraińskich i białoruskich o pani,

która męża swego zabiła, albo np. przy rozbiorze „Rybki”, w której rozróżnia dwa zasadnicze motywa: 1) dziewczyna niewiernego swego kochanka zaklina w kamień i 2) kobiéta-rybka karmi swe niemowlę—oba podania w poezyi ludowéj aż nadto są znane.

„Kurhanek Maryli” wyprowadza p. Zdziarski ze zwyczaju ludu białoruskiego i litewskiego odśpiéwywania żałosnych pieni w dzień zaduszny na grobach krewnych.

„Pani Twardowska” oprócz podań o mistrzu przypomina powieści o jego żonie przekupce, jak również przysłowie o złéj kobiécie: „gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle” — inne znów podanie mówi o dyable, który nie mógł wyżyć ze swarliwą babą — i uciekł od niéj z powrotem do piekła.

Co do „Świtezi” ciekawym jest przyczynkiem wprawdzie czysto literackim, nie ludoznawczym, iż u Stryjkowskiego, którego właśnie wtedy czytał Mickiewicz, (czego dowodem „Żywila” i „Grażyna”), zapisana jest wiadomość o wyłowioném z jeziora „cudzie jakimś, okrutnie straszliwém z kozią głową, a na kształt ognia pałającémi oczyma”.

W „Dziadach” widzimy już o wiele mniéj reminiscencyi ludowych. W I części „chór młodzieńców”: „od lasu para gołąbków leci...” wzięty jest bezwątpienia ze śpiewu ruskiego:

Oj za horoju, za wysokoju
Tam sedyt hołub i z hołubkoju.
Oj sydiat ony, toj ciłujut sia,
Sywymy skrilicami obijmajut sia.
Nadłetiw oreł z czornyji chmary,
Rozbyw, rozihnaw hołuby z pary.
Hołubka sedyt, żełibno hude,
Szczo wże z hołubom żytey ne bude.

W II części czysto ludową jest postać guślarza i jego inwokacye:—IV—owocem fantazyi ludu jest lichwiarz-kołatek, dusze ludzkie, zaklęte w motyle, a także dwa śpiewy Gustawa: „Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy, I noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy” i „Najprzód ciebie wspomina”. Ale bardziej przekonywającą jest zależność pierwszego od piosnki ludowéj:

Chto kochania nie zna
Od Boga sceśliwy,
Ma nocke spokojną
Dzionek nie tęskliwy.

Pomijając rzeczy drobniejsze, jak „Popas w Upicie”, „Golono-strzyżono”, dodamy jeszcze, iż w „Konradzie Wallenrodzie p. Zdziarski znajduje wpływ ludowości w „Pieśni Wajdeloty” (postać dziewicy morowéj), w „Panu Tadeuszu” wreszcie w dwóch pieśniach; o żołnierzu-tułaczu i o pani Cybulskiéj, w postaciach skrzypka i kobeźnika, w obrazie matecznika i w zakończeniu żartobliwém, które powtarza poeta za powieściami i gawędami ludowemi: „I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem, A com widział i słyszał, w księgi umieściłem”

Brak tu tylko rozbioru „Dudarza”. Wprawdzie osnuty jest on cały na osobistych stosunkach poety do Maryli, jednak tytułowa postać dudarza „z siwą aż do pasa brodą”, i święto „dosiewek” i pierwsza jego piosenka („Idę ja Niemnem, jak Niemen długi”...), robią takie wrażenie, jakby w genezie ich nie mogło się obejść bez współudziału pierwiastka ludowego.

Nie możemy odmówić książce p. Zdziarskiego wielkiej pracowitości i sumienności — jedna tylko zachodzi wątpliwość: autor niniejszego dzieła przytacza tyle materyałów folklorystycznych, mozolnie zgromadzonych, że można być najzupełniéj pewnym, iż Mickiewicz ani dziesiątéj części ich nie znał.

Obcowanie poety z ludem ogranicza się opowieściami jednej tylko służącej Gąsiewskiéj, bo gawędy Błażeja—Ulissesa, jak wolno sądzić z przytaczanéj tylokrotnie — o „farmazonach” inny zupełnie miały charakter.

A zresztą Mickiewicz nie był z tych upartych poetów, co całe życie brząkali monotonnie na „gęśli”, „teorbanie” czy „lirze”—wiecznie na tę samą nutę dumki, mazurka lub krakowiaka: on wchłaniał w siebie tyle pierwiastków, że nie można jednemu z nich przypisywać wyłącznego znaczenia w jego twórczości, chociażby nawet w jakimś jéj okresie.

P. Zdziarski wpływy literackie w balladach ogranicza do *minimum*, krytykując pod tym względem np. Chlebowskiego. Nie da się jednak zaprzeczyć, że prócz ludowości w genezie ballad brały również udział pierwiastki klasyczne i romantyczne. Można się więc w wywodach omylić, nadając wyłączne znaczenie jednemu jakiemuś pierwiastkowi. Tak np. „Romantyczność” p. Zdziarski wyprowadza z podania ludowego o kobiecie, narzekającéj na stratę męża — czy stąd właśnie wziął poeta myśl do téj ballady? Rzecz wątpliwa — przypomnijmy sobie motto z Szekspira do tego wiersza: *Me thinks I see—where?—In my Minds Eyes*”. (Zdaje mi się, że widzę... gdzie? Przed oczyma duszy mojéj) — nie potrzeba więc było

uciekać się do podania, by stworzyć postać dziewczyny, widzącéj „przed oczyma duszy swojéj” upiora-kochanka.

W niektórych więc szczegółach, dotyczących wpływu fantazyi ludowéj na młodzieńczą twórczość Mickiewicza, p. Zdziarski zachodzi zadaleko.

Zwłaszcza da się to powiedzieć o rozbiorze „Lilii”, „Switezi”, „To lubię” i „Świtezianki”. Czyż w saméj rzeczy poeta wziął z poezyi ludu postać pustelnika i motyw walki o kobietę w pierwszéj z tych ballad? Czyż nie mógł wpaść na te pomysły, nie znając ani jednéj piosenki, ani jednéj klechdy? Czyż w „To lubię” wszystkie niemal momenty akcyi od pęknięcia dyszlu na moście, aż do piania koguta, jest tylko wiernie powtórzone za ludem? Czyż w saméj rzeczy w „Świteziance” poeta „posługiwał się c a ł e m m n ó s t w e m (?) śpiewów gminnych, z których brał pojedyncze szczegóły, łącząc je razem w jedną harmonijną całość”? Czyżby więc twórca „Pana Tadeusza” miał być taką samą „bluszczową naturą”, jak jego wielki rywal Słowacki? Być może! wszak już kto inny dowiódł, że „Improwizacya” jest zlepkiem obcych pomysłów i przytem nieudolnym!

Doprawdy, żal się robi poety wielkiego, ukochanego przez cały naród poety, rozebranego ze wszystkich znamion samodzielnej twórczości, poetyckiej intuicyi—czyżby w samej rzeczy Mickiewicz nic własnego nie stworzył?

Do takich smutnych refleksyi doprowadzają nas studya krytyków literatury, którzy biorąc pochop z oddzielnych zwrotów, nawet wyrazów, wyprowadzają zależność poety od wpływów obcych. Nie można być w tym względzie zbyt ostrożnym, należy odróżniać rzeczy prawdziwie ważne i prawdopodobne od wątpliwych i przywidzianych.

Cóżkolwiek bądź praca p. Zdziarskiego, chociaż częstokroć nie tyle w y j a ś n i a genezę ballad, ile raczéj z e s t a w i a twórczość ludową i indywidualną, ze względu na swą sumienność i włożoną w nią obszerną erudycyę folktorystyczną godna jest ze wszech miar uznania. *Henryk Galle.*

Z dziedziny estetyki. — Antoni Jasieńczyk Jabłoński. — Co jest logiką w architekturze? 1899.

Kształty, nadawane architekturze, mówi autor, zredukować można do czterech grup charakterystycznych, a temi są: grupa linii pionowych, grupa linii poziomych, grupa linii krzywych, nakoniec grupa kształtów odskokowych, lub zagłębiających się. Oto cały repertuar, z apomocą którego dzieła sztuki architektonicznej, mogą się stać tłómaczami nastrojów, uczuć i ideii, jakie w nie składa

twórczość artystów, epok i narodów". Budownictwo, jako sztuka, według pięknych myśli p. Jabłońskiego, nie jest umiejętnością budowania ładnie, pożytecznie, lub z celowością konstrukcyjną. Dzieło sztuki architektonicznéj, będąc samo wynikiem nastroju, nastrój wywoływać powinno. Ztąd więc można je pojąć, raczéj odczuć, jedynie badając kulturę, która wpływa na kształtowanie się uczuć. Pan J. zastanawia się pokrótce nad efektem każdéj z grup wymienionych linii i kształtów z repertuaru architektonicznego. Odpowiadając zaś na pytanie, postawione w nagłówku, autor zwalcza silnie i skutecznie zakorzeniony przesąd, jakoby logiką architektury była logika konstrukcyi. Ta ostatnia działa tylko na bardzo nizkim stopniu rozwoju. Rodzaj materyału również szybko przestaje mieć znaczenie, gdy zaczyna się nad nim panowanie ducha ludzkiego. Proporcye nie są właściwością martwego materyału wyłącznie, lecz właściwością kształtu w związku z duchem twórczym. Proporcya to składnia architektury, służąca do najdosadniejszego wyrażenia nastrojów i ideii. Harmonia zaś w architekturze polega na takim stosunku, już nie kształtów, ale elementów całości, który składa się na zupełnie zgodne, czyli we wszystkich szczegółach harmonijne wypowiedzenie nastroju. Konstrukcya jest niejako ortografią, proporcya stylizowaniem mowy kamiennéj, a zharmonizowanie owych elementów struktury staje się dopiero poetyką, istotną treścią takiéj mowy i da wyraz idei dzieła sztuki. Logiką tedy architektury jest, wedle autora fantazya artystyczna, pośrednio uczucie. W dziedzinie sztuki stosować można nawet i najwspanialsze postulaty rozumu, ale takie tylko, które już zostały przetłómaczone na język uczucia.

Oto jest kilka przewodnich myśli ze studyum p. J. Są one, jak powiada autor, jego osobistym dorobkiem, myślowo skondensowanym przy studyach nad historyą sztuki. W istocie rzadko kiedy, nawet w literaturze zagranicznéj, czyta się rzecz pisaną z równym talentem i biegłością myślową. Wprawdzie pogląd idealistyczny na architekturę zdaje się niekiedy zbyt daleko autora posuwać, np. do zupełnego zaprzeczania konstrukcyjnego pochodzenia gotyku (niestwierdzonego dotąd zresztą). Wszakże pomijając tę kwestyę, studyum p. J. powinien przeczytać cały ogół interesujący się sztuką, a z pewnością wiele się nauczy. Nie waham się nazwać broszury pana J., podstawową, gdyż rzuca ona na cały rozwój architektury światło swoiste, niby typowa lekcya wstępna profesora w najlepszym rodzaju. Sądzę, że wszyscy czytelnicy broszury p. J. z niecierpliwością oczekują pojawienia się prac następnych.

Jan Muszyński.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Maryan Dubiecki*. **Obrazy i studya historyczne.** Serya II. Kaffa, osada genueńska i jéj stosunek do Polski w XV w.—Zawiązki dziejów Siczy Zaporoskiej. — Zarysy instytucyi Zaporoża. — Mohort, rycerz kresowy.—Dwie królowe. —Przedstawicielki dawnych dynastyi.—Katarzyna Jagiellonka, królowa szwedzka. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner Spółka. 1899.—Szkice historyczne, zawarte w niniejszym zbiorze można podzielić na dwie grupy; pierwsze cztery z nich dotyczą dziejów południowo-wschodnich kresów, pozostałe—są życiorysami kobiet na tronie polskim lub przedstawicielek naszych dynastyi. Pierwsze studyum, p. t. „Kaffa, osada genueńska i jéj stosunek do Polski w XV w.", opowiada dzieje téj osady, która obecnie jest nędznem miasteczkiem, imieniem Teodozya, a która w swoim czasie, w XIII i XIV wieku, miała chwile rozkwitu. Od czasu zajęcia przez Turków półwyspu Bałkańskiego, zaczęły się dla Kaffy i innych osad genueńskich na morzu Czarnem, trwogi i niepokoje, grożące zagładą od półksiężyca. Napróżno Kaffa udawała się do metropolii z prośbą błagalną o pomoc; Genua mogła jej ofiarować tylko współczucie, a tego było za mało. Postanowiono więc udać się pod opiekę Polski, która pod berłem Kazimierza Jagiellończyka, stanęła wtedy u zenitu potęgi; w roku 1462, stanął akt inowrocławski, mocą którego Jagiellończyk przyjął Kaffę pod swój protektorat i odtąd przez 13 lat, nominalnie przynajmniéj, dynastya Jagiellonów, panowała na wodach Pontu Euksynu. Niestety, Polska, zajęta wówczas wyczerpującą walką z Zakonem, mogła dać Kaffie tylko opiekę moralną; w roku 1475, po pięciodniowych szturmach, miasto, niegdyś zamożne i wspaniałe, wpada w ręce Turków pod wodzą Mahometa II i ulega doszczętnej zagładzie. Zawisłość polityczna Kaffy od Polski skończyła się; nie przerwały się jednak wpływy cywilizacyjne; Polska po dawnemu mianuje biskupów kaffeńskich, Dominikanie po dawnemu podejmują się misyi apostolskiej na tych odległych ziemiach, jak i dawniej, w XIII wieku, zakładali tam klasztory; np. Jacek Odrowąż założył klasztor dominikański w Kaffie w połowie XIII stulecia. Dwa następne studya: „Zawiązki dziejów Siczy Zaporoskiej" i „Zarysy instytucyi Zaporosa"—możnaby połączyć w jedno. Oba opowiadają pierwotne dzieje téj nad wyraz ciekawéj i oryginalnéj instytucyi,

jaką była Sicz Zaporoska, malują topografię miejscowości, organizacyę społeczną „kosza,” obyczaje tu panujące, urzędników, sądownictwo i t. d. Daje tu również, autor krótkie charakterystyki najdawniejszych bohaterów siczowych, o których przechowało się tyle legend na Ukrainie, Samuelu Koreckim, Dymitrze Wiśniowieckim, Eustachym Daszkiewiczu, Przecławie z Brzezia Lanckorońskim. Postacie te są dla nas podwójnie ciekawe, gdyż za pośrednictwem t. zw. szkoły ukraińskiéj i zwłaszcza Zaleskiego, weszły one i do naszéj poezyi. Ostatnie wreszcie studyum z pierwszéj grupy p. t. „Mohort, rycerz kresowy”, dotyczy téj słynnéj z tak szumnie zwanego rapsodu Wincentego Pola, kresowéj postaci. Okazuje się, że z wyjątkiem pewnych drobnych niedokładności topograficznych, poeta nasz wierny był prawdzie dziejowéj aż do najdrobniejszych szczegółów. Nawet śmiérć Mohorta w bitwie na Boryszkowieckiéj grobli, znajduje dziejowe uzasadnienie: St. Buszczyński w pracy swéj o Polu, pomieszcza wiadomość, zasiągniętą od dziada swojego Wojciecha Borowickiego, majora kawaleryi narodowéj, o jakimś stuletnim starcu, który zginął w tej bitwie. Wiadomość tę potwierdza i autor niniejszéj książki, na mocy relacyi jednego ze swych krewnych, również świadka zgonu Mohorta. Studya drugiéj grupy mniej są już ciekawe. Są to życiorysy królowych i księżniczek, pośrednio i bezpośrednio związanych z domem jagiellońskim, życiorysy skądinąd już znane. Szkic p. t. „Dwie królowe” podaje szczegóły z życia dwóch kobiet, różnych zupełnie kolejami losu: Elżbiety, żony Kazimierza Jagiellończyka, która przez 40 przeszło lat, zasiadała na naszym tronie, była matką czterech królów, jednego kardynała i jednego świętego, a wreszcie i w literaturze zapisała swe imię, jako autorka słynnego traktatu o wychowaniu królewicza, zajmującego w dziejach naszego humanizmu niepoślednie stanowisko — i Heleny, żony Aleksandra, a córki Iwana Wasilewicza i Zofii Paleolog, biednéj nieszczęśliwéj ofiary dyplomacyi, przez całe życie prześladowanéj niechęcią i niezasłużonemi wymówkami. — „Przedstawicielki dawnych dynastyi”, to również dwie kobiety: Barbara Zapolya, nieszczęśliwa żona Zygmunta I, na której cześć poeci łacińsko-polscy, tylokrotnie zmuszali do biegu swego Pegaza, i Anny Wazówny siostry Zygmunta III, a córki Katarzyny Jagiellonki, o której zmiennych losach traktuje ostatnie studyum p. t. „Katarzyna Jagiellonka, królowa szwedzka”; ta znowu wprost z godów weselnych dostaje się wraz z ukochanym mężem do więzienia, skąd po kilkuletnim pobycie na stopnie tronu. Taką jest zawartość niniejszego zbiorku: widzimy więc, że cenność tych studyów jest nierówna: jedne powta-

rzają rzeczy oddawna znane, inne zawierają ciekawe szczegóły i przyczynki. *H. G.*

= *Stanisław Tarnowski.* **Adam Mickiewicz. Życie i dzieła.** (Życiorysy sławnych Polaków Nr. 2). Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego. 1898. — Obok obszerniejszych wyczerpujących studyów, opowiadających cały bieg życia wielkiego poety, jak Chmielowskiego, Władysława Mickiewicza i Kallenbacha o Mickiewiczu, Małeckiego i Hösicka — o Słowackim, Tarnowskiego — o Krasińskim, na które składają się 2, 3, 4 wielkie tomy, drobne, ale mistrzowsko opracowane szkice o kilkudziesięciu stronnicach, wyświadczają społeczeństwu niemałą przysługę. Nie każdy bowiem ma możność nabyć a czas przeczytać kilka tomów monografii, choćby najbardziéj interesująco napisanéj. Dlatego też z prawdziwą prryjemnością powitaliśmy zapowiedź firmy wydawniczéj K. Grendyszyńskiego w Petersburgu biblioteki „Życiorysów sławnych Polaków", mającej zawierać treściwe, i o ile to będzie możliwem, wyczerpujące charakterystyki mężów, którzy odznaczyli się na jakiemkolwiek polu w naszéj dziejowéj przeszłości. Z wielkich poetów biblioteczka „Życiorysów sławnych Polaków", zawiera dotychczas sylwetkę jednego tylko, skreśloną piórem wytwornego krytyka naszéj literatury, prof. Stanisława Tarnowskiego — Adama Mickiewicza. –Życiorys A. Mickiewicza prof. Tarnowskiego, jest znakomitym przykładem, jak tego rodzaju charakterystyki literackie pisać się powinno, by osiągnąć cel pożądany. Osobistość poety, jako człowieka i jako pisarza, występuje tu tak wypukle, stanowisko jego w naszéj literaturze skreślone tak dobitnie, zasługi jego podniesione z takim pietyzmem i z takiém zrozumieniem rzeczy, że dla przeciętnego czytelnika, sylwetka niniejsza może zastąpić w zupełności całą literaturę Mickiewiczowską, tem bardziéj, iż jest ona opartą na najnowszych badaniach. Cały życiorys poety wraz z rozbiorem jego utworów, zajmuje w niniejszém dziełku niespełna 100 stronic małego formatu, a jednakowoż nie można powiedzieć, by cokolwiek było tu opuszczone, lub by autor ograniczył się datami i tytułami. Przeciwnie, dat tu względnie niewiele, szczegółów biograficznych również bardzo mało — i dzięki temu rozmiary dzieła nie rozszerzają się mniej potrzebnymi epizodami, mającymi z życiem poety związek bardzo pośredni. W rozbiorach zaś dzieł, prof. Tarnowski nie wchodzi w szczegółową genezę, częstokroć bałamutną i wiodącą na manowce, nie rozszerza się nad szczegółami mniejszéj wagi, lecz

w formie zwięzłéj, jasnéj, że tak powiem, krystalicznéj, podaje charakterystykę danego dzieła lub grupy utworów. Dowodem tego rozbiory np. „Dziadów" tak wileńskich, jak i drezdeńskich, „Konrada Wallenroda" lub „Pana Tadeusza". Trudno w samej rzeczy w mniejszéj ilości wyrazów, więcéj o Mickiewiczu powiedzieć. A przytém prof. Tarnowski nie apoteozuje autora „Dziadów" i jeżeli w dziełach jego znajduje jakieś wątpliwości, czy to pod względem moralnym, czy estetycznym, nie tai ich przed czytelnikiem, dając mu w ten sposób wymowny przykład krytycznego stosunku względem poety i jego utworów. Zapewne, pod względem czysto naukowym rozprawka prof. Tarnowskiego, ustępuje wielu specyalnym studyom, tyczącym się największego z naszych poetów, chociażby z tego względu, że do życiorysu i dziejów twórczości Mickiewicza, nie dodaje ona ani jednego nowego szczegółu. Ale bo też nie o to chodziło autorowi, ale o przedstawienie w formie przystępnej i w sposób zwięzły rezultatów wszystkich specyalnych badań z zakresu danego przedmiotu. Należy więc praca niniejsza do szeregu utworów popularnych z roku jubileuszowego, i jaka taka, zajmuje bezsprzecznie przodujące stanowisko. Jednem słowem, dziełko niniejsze jest wyborną, wykwintnie i artystycznie odrobioną miniaturą twórcy „Pana Tadeusza", i przytém znakomicie odtwarza rysy jego duchowéj postaci. Życzyćby sobie wypadało, by i inni poeci nasi, w wydawnictwie „Życiorysów sławnych Polaków", znaleźli również sumiennych i utalentowanych portrecistów. *H. G.*

— **Studya nad historyą prawa polskiego.** Pod powyższym tytułem, a pod redakcyą profesora uniwersytetu lwowskiego d-ra Oswalda Balzera, rozpoczęło wychodzić wydawnictwo, obejmujące rozprawy naukowe z zakresu historyi prawa polskiego. Ukazywać się ono będzie zeszytami w miarę gromadzenia się materyału. Każdy zeszyt stanowić będzie osobną całość i obejmuje jedną rozprawę; większa ilość zeszytów, obejmujących łącznie 25 – 30 arkuszy druku, utworzy osobny tom, do którego dołączoną zostanie wspólna karta tytułowa. Zeszyt pierwszy wyszedł już z druku i zawiera rozprawę Wł. Semkowicza: „Nagana i oczyszczenie szlachectwa w Polsce XIV i XV wieku". Prenumerata na cały tom wraz z przesyłką pocztową wynosi 4 rub. 50 kop. Należy ją nadsyłać pod adresem: „Wydawnictwo studyów nad historyą prawa polskiego, Lwów, archiwum bernardyńskie". — Witamy serdecznie to nowe wydawnictwo z wielkiém zadowoleniem. Nazwisko profesora

Balzera daje nam pewną zupełnie rękojmię, że znajdziemy w niém tylko opracowania istotnèj wartości naukowej, i dlatego z czystém sumieniem zachęcamy czytelników naszych do żywego poparcia rozpoczętych studyów przez udział w prenumeracie.

— **Z Akademii umiejętności.** Dnia 1 maja 1899 r. odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego, na którém prof. dr. S. Niementowski przedłożył własną pracę, p. t. „O nowych rodzajach anhydrozwiązków", jako téż pracę p. W. Syniewskiego „O budowie skrobi"; poczém prof. K. Kostanecki streścił pracę p. A. Bochenka „O dojrzewaniu i zapłodnieniu jaja *Aplysii*".

Na posiedzeniu wydziału filologicznego z dnia 15 maja t. r. przedstawił prof. J. Tretiak pracę d-ra Zygmunta Celichowskiego „O polskich indeksach książek zakazanych", podającą wiadomość o polskich wydaniach indeksu z lat 1603, 1604 i 1617 i wykazującą pewną ilość druków, które dotychczas należą do zaginionych. Następnie streścił prof. dr. M. Kawczyński swoją pracę, p. t. „Życie Apulejusza Platonika z Madaury". W studyum tém prostuje autor niektóre daty biograficzne, mylnie dotąd podawane w opracowaniach obcych, i wprowadza odmienną chronologię głównych dzieł Apulejusza.

Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego z dnia 23 maja t. r. przedłożył prof. dr. T. Wojciechowski obszerne dzieło o „Kościele katedralnym w Krakowie". Praca składa się z 30 rozdziałów, w których autor przedstawia całą historyę katedry od czasów najdawniejszych do ostatnich. Wydział postanowił przystąpić w najbliższym czasie do wydania tego dzieła.

— **Akademia umiejętności w Krakowie** ogłosiła na posiedzeniu publiczném dnia 3 maja r. b. konkurs im. ks. Adama Jakubowskiogo na temat: „O hodowli drzew i krzewów owocowych w ogródkach małych gospodarstw", z terminem 31 grudnia 1900 r., i z wyznaczeniem nagrody 700 fl. w. a., która może być rozdzieloną na dwie po 450 fl. i 250 fl. w. a.

Do tematu powyższego podaje się następujące objaśnienia szczegółowe:

Ma to być książka praktyczna, przeznaczona dla właścicieli mniejszych posiadłości. Powinna podać najracyonalniejsze z tego względu sposoby rozmnażania, szczepienia (w najogólniejszém tego

słowa znaczeniu) i hodowania drzew, oraz krzewów owocowych. Ma zawierać wybór tych odmian każdego gatunku, które wogóle w naszym klimacie są najodpowiedniejszemi dla mniejszego właściciela i które on stosownie znów do różnéj gleby swego sadu może hodować. Wreszcie ma wskazać mu wymagania handlu, które powinien uwzględnić, jeżeliby chciał owoce korzystnie zbywać.

Wogóle rzecz powinna być ułożona przejrzyście, napisana jasno i zwięźle, a z teoryi i terminologii ma uwzględnić tylko to, co do zrozumienia treści jest koniecznie potrzebném.

Autor pracy, odznaczonéj nagrodą, otrzyma nagrodę po wydrukowaniu pracy i złożeniu 50 egzemplarzy w biurze Akademii.

= 2. **Konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza.** Monografia z dziejów cywilizacyi polskiéj w epoce odrodzenia. Przedmiot może być dowolnie obrany, w ten sposób, iżby jego źródłowe opracowanie rozjaśniało wpływy kultury odrodzenia na rozwój cywilizacyi w Polsce (n. p. Monografia królowéj Bony, Dwór Zygmunta I i Zygmunta Augusta, Mieszczaństwo krakowskie w XV i XVI wieku. Monografia któregokolwiek znacznego rodu, n. p. Szydłowieckich. Wpływ cywilizacyjny miast pruskich lub spiskich na miasta polskie i t. p.).

Fundusz nagrodowy wynosi 6,000 fr.; z funduszu tego wyznaczy się w miarę wartości i rozmiaru prac konkursowych 2 nagrody, pierwszą w kwocie 4,000 fr. i drugą w kwocie 2,000 fr., albo téż kilka nagród po 2,000 i 1000 fr. Gdyby zaś która z prac konkursowych urosła do rozmiarów większego dzieła, znakomitéj wartości, zasługującego na wyjątkowe odznaczenie, może jéj być przyznana pełna nagroda w kwocie 6,000 franków.

Termin konkursu 31 grudnia 1901 r.

Na obydwa powyższe konkursa nadsyłać należy prace konkursowe do Akademii umiejętności w Krakowie, bezimiennie, pod godłem wybraném przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanéj i tém godłem zaopatrzonéj, a mieszczącéj wewnątrz nazwisko i adres autora.

Według § 18 Regulaminu Akademii, wypłata nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu pracy uwieńczonéj nagrodą.

= **3. Konkurs im. ks. biskupa A. S. Krasińskiego.** Na konkurs można nadsyłać wszelkie prace treści ściśle naukowéj, opracowane samodzielnie w języku polskim, ogłoszone drukiem po 1 stycznia 1899 r., albo téż jeszcze niedrukowane. Pomiędzy pracami równéj wartości pierwszeństwo mają, według woli fundatora, pisma treści religijno-moralnéj. Nagroda 1,200 fl. w. a. Autor pracy drukowanéj, która otrzyma nagrodę, obowiązany będzie złożyć Akademii 50 egzemplarzy, poczém nagroda będzie bezzwłocznie wypłacona. Autor dzieła, nadesłanego w rękopisie, a uznanego za godne nagrody, będzie obowiązany ogłosić je drukiem najdaléj w ciągu roku. W tym celu otrzyma z góry $^1/_3$ przyznanéj nagrody, drugą taką kwotę w połowie, a resztę po całkowitém ukończeniu druku i złożeniu 50 egzemplarzy; zresztą cały nakład dzieła będzie jego własnością. Termin konkursu: 31 grudnia 1901 r.

= **Cesarski Uniwersytet Warszawski.** Temat podany przez fakultet fizyko-matematyczny dla współubiegających się w latach 1899—1901 o premium *Adama Chojnackiego* za dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu: „Owady, wyrządzające szkody w sadach i ogrodach gubernii Królestwa Polskiego, tudzież środki ich tępienia”.

Premium wynosi 900 rubli i wydane będzie autorowi dzieła albo prawnym spadkobiercom jego po złożeniu w Uniwersytecie 150 egzemplarzy drukowanych i pod warunkiem, że puszczone będzie w obieg po cenie dostępnéj dla czytelników niższych stanów. Dzieło powinno być nadesłane na konkurs nie późniéj niż 30 kwietnia (12 maja) roku 1901; może być drukowane, albo nadesłane w rękopisie, napisanym czytelnie i porządnie. Ogłoszenie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim albo polskim pozostawia się uznaniu autora. Jeżeli autor dla otrzymania przyznanéj mu nagrody przedłoży swą pracę w polskim przekładzie z ocenionego przez fakultet urzędowego oryginału rosyjskiego, to do dzieła powinno być dołączone zaświadczenie fakultetu historyczno-filologicznego o zupełnéj zgodności przekładu ze wspomnianym oryginalnym tekstem.

= **Od Rady Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu.** Nadesłane w roku 1898 na konkurs z zapisu Adama Chojnackiego dwie prace na temat, ogłoszony w r. 1896 przez fakultet historyczno-

filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego, po ocenie ich przez specyalny komitet, uznane zostały za nieodpowiadające warunkom konkursu i uzyskania odpowiedniej nagrody. Wskutek tego, na zasadzie § 13 „Przepisów o ogłaszaniu konkursu i przyznawaniu premium Chojnackiego za dzieła mające na celu oświatę ludu" i zgodnie z postanowieniem Rady Uniwersyteckiej, termin nadsyłania prac konkursowych przedłuża się do 30 kwietnia (12 maja roku 1900 i nagroda, mająca być przyznaną, wyniesie nie 900, lecz 350 r.

Temat pozostawia się ten sam, który był ogłoszony w roku 1896, a mianowicie:

„Napisać albo jednę powieść, przedstawiającą w formie przystępnéj dla ludu prostego etyczny ideał włościanina we wszystkich stosunkach życiowych, albo szereg pouczających opowiadań, ujawniających poszczególne rysy tego ideału".

Nie tracą również siły i poprzednie wymagania względem dzieła podobnéj treści, to jest w takim utworze mają być w sposób poglądowy we wskazanéj formie wyjaśnione istotne cechy etycznego życia ludu, a więc poruszone w nim być winny i rozwiązane w sposób dodatni wszystkie zasadnicze kwestye etyki ludowéj. Do nich należą głównie: znaczenie religii, żywéj, płynącéj z serca wiary w Boga, jako w Najwyższe Źródło moralnego porządku; stosunek do ustroju społecznego—państwa i gminy; przywiązanie do ziemi rodzinnéj (np. w przeciwstawieniu do przesiedlania się do miast, emigracyi do obcych krajów); zamiłowanie pracy nie tylko dla korzyści materyalnych, lecz jako źródła moralnego zadowolenia; prawość i uczciwość w stosunku do bliźnich; trzeźwość; czystość obyczajów. Trzeba mieć również na względzie wyświetlenie z moralnego punktu widzenia różnorodnych stosunków rodzinnych, jako to: wzajemnych obowiązków małżonków, rodziców i dzieci i t. d.; w szczególności zaś, należy wziąć na uwagę pedagogiczne powołanie ojca i możliwe z jego strony współdziałanie zadaniom szkoły ludowéj. Mają być także uwzględnione: uszlachetniający pierwiastek zabaw ludowych, dążność do przyzwoitego otoczenia (ochędóstwo w domu i w ubiorze), miłość natury (np. zajmowanie się ogrodem), ludzkie obchodzenie się ze zwierzętami i t. p.

Nie można oczywiście żądać od autora, ażeby z równą dokładnością rozwinął wszystkie rysy etycznego ideału włościanina, wszakże najwybitniejsze z wyżéj przytoczonych powinny być wystawione o tyle wyraziście i przekonywająco, ażeby to mogło wpłynąć na poczucie moralne, a tém samém i na sposób życia prostaczka.

Nie krępuje się autora w wyborze środków rozwinięcia podanego tematu: może np., gdzie uzna za stosowne, posiłkować się kontrastami, przedstawiając zgubne skutki, jakie wynikają z pogwałcenia prawa moralności, byle tylko osiągnął wyżej wspomniany główny cel utworu. Rozmaitość w tym kierunku byłaby nawet bardzo pożądaną, gdyż przyczyniłaby się do więcéj interesującego opowiadania, tudzież dałaby autorowi możność silniéj podziałać na wyobraźnię czytelnika i pobudzić go tym sposobem do samodzielnego zastanawiania się nad kwestyami moralnemi. W ogóle, zadawalniającego opracowania podanego tematu we wskazanym duchu podjąć się może jedynie pisarz-artysta, który naturalnie potrafi zadosyć uczynić wymaganiom poetycznéj prawdy.

Główne warunki konkursu. Praca ma być nadeslaną na konkurs nie później niż 30 kwietnia (12 maja) r. 1900. Powinna być napisana w języku rosyjskim i przez poddanego rosyjskiego; może być drukowana lub nadesłana w rękopisie, napisanym porządnie i czytelnie. Pozostawia się uznaniu autora ogłoszenie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim albo polskim. Jeżeli dla otrzymania przyznanéj nagrody autor przedłoży swą pracę wydrukowaną w przekładzie polskim z ocenionego przez fakultet urzędowego oryginału rosyjskiego, to do dzieła ma być dołączone zaświadczenie fakultetu historyczno-filologicznego o zupełnéj zgodności tłómaczenia ze wspomnianym tekstem oryginalnym.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nad Sekwaną zbliża się ku końcowi wielki dramat nawpół sądowy, nawpół polityczny, który od lat pięciu z niedługiemi przerwami roznamiętnia i rozgorycza Francyę. Po sto razy dowodzono i dowodzono słusznie, że opinia publiczna, rozkiełzana i zapalczywa, łączy tę sprawę z tysiącem kwestyi, nie mających z nią ścisłego, naturalnego związku. Napróżno wykazywano, że spór nie toczy się o to, czy Dreyfus jest człowiekiem prawym, czy téż zdrajcą, i nie o to, czy żydzi są we Francyi żywiołem szkodliwym, czy nieszkodliwym, ani téż o to, czy Francya ma być rządzona w duchu postępowym, czy zachowawczym, ale że właściwym przedmiotem sporu jest pytanie, czy piewszy proces Dreyfusa odbył się z zachowaniem wszelkich przepisów prawa. Napróżno! Życie miewa swą własną logikę, odmienną od książkowéj.

Spór między zwolennikami rewizyi, a jéj przeciwnikami rósł, potężniał, pogłębiał się, wciągał w swe wielkie koło wirowe mnóstwo kwestyi pobocznych, łączył i stapiał je z wielką kwestyą pierwotną, i oto siła faktów sprawiła, że niepodobna już dzisiaj mówić o wykroczeniach przeciw procedurze. W chwili, gdy to piszemy, wchodzą w grę najpoważniejsze zagadnienia polityki współczesnéj. Po jednéj stronie mamy prawa jednostki, nietykalne, nieprzedawnione, niezależne od kierunku polityki, prawa poręczone jednostce

przez państwo i niedające się naruszyć dopóty, dopóki między państwem a jednostką ma istnieć stosunek, będący moralną podstawą rzeczypospolitéj nowożytnéj. Z drugiéj widzimy świadomych i nieświadomych przedstawicieli zasady, iż państwo jest samo dla siebie i celem najwyższym i racyą bytu, iż jego rozwój i pomyślność nie mogą zależeć od tego, czy są połączone z krzywdą jednostki. Rzeczpospolita potrzebuje wojska, a więc powaga sądu wojennego powinna być utrzymana, choćby nawet ten sąd dopuścił się był bezprawia. Gdyby omyłka wyszła na jaw, skorzystałyby z tego przedewszystkiém żywioły radykalne, wiecznie wrogo usposobione do armii, téj strażnicy porządku, — a więc pod karą śmierci nie wolno sądowi przyznać się do omyłki. A skoro następnie dopuszczono się różnych podstępów, by tę omyłkę ukryć, to i te podstępy powinny już raz na zawsze być ukryte przed okiem ludzkiém.

Jest to znamiennym rysem społeczeństw nerwowych i porywczych, że dokoła dwóch grup, zagrzanych polemiką, skupia się powoli wszystko, co w całym kraju zdolne jest zapalić się do spraw publicznych.

Kiedy w Krakowie stawiano pomnik Mickiewiczowi, przez lat parę wrzał spór zażarty o to, gdzie ma stanąć, na Rynku czy nie na Rynku. I oto, ku wielkiemu zdziwieniu tych wszystkich, którzy kiedyś z książek o tém się dowiedzą, całe społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy. Każda jednostka wiedziała już z góry, pod którym sztandarem stanąć. Wszystko, co gorące, co demokratyczne, stanęło po stronie Rynku; wszystko, co konserwatywne i lojalne wobec Austryi, ruszyło w bój przeciwko Rynkowi. I dlaczego? Dlaczego Rynek miał być demokratyczniejszy od placu przed uniwersytetem, lub plac przed uniwersytetem bardziéj stańczykowski od Rynku? Dlaczego sprawę, którą powinni byli rozstrzygnąć estetycy i rzeźbiarze, puszczono na pytel głosowania powszechnego? Dlaczego w sporze, w którym należało pozostawić każdemu swobodę zdania, dano tyle dowodów nietolerancyi, wołającéj o pomstę? Dlaczego z tylu ludzi porobiono zdrajców, odszczepieńców, zaprzańców, odstępców? Na te wszystkie pytania odpowiedzieć będzie mógł kiedyś ten tylko, kto przestudyuje sumiennie dzienniki polskie z owych lat. Na pierwszy rzut oka polemika ówczesna sprawia wrażenie chaosu, w którym wszystko wiruje nieustannie.

W rozmiarach bez porównania większych powtórzyło się to we Francyi. I znowu nasuwa się cały szereg takich „dlaczego“, na ktore niema odpowiedzi. Dlaczego każdy dobry katolik ma stać po stronie tych, którzy raczéj się zgodzą na wykonanie wyroku, niefor-

malnie wydanego, aniżeli na powtórne zbabanie sprawy? Dlaczego katolikowi i konserwatyście niema być wolno powiedzieć, iż skoro ustawa pozwala żądać rewizyi wyroków sądu wojennego, to przecież zażądanie takiéj rewizyi nie może być ani zniewagą dla armii, ani grzechem przeciw ojczyźnie? Nie znajdzie odpowiedzi na to, kto postępki narodu francuzkiego w chwili niesłychanego rozjątrzenia będzie tłomaczył prawidłami psychologii normalnéj. Podczas oblężenia Koryntu, gdy wrzawa i zgiełk panowały w mieście, a żaden obywatel nie siedział bezczynnie w domu, Dyogenes toczył żwawo swą beczkę po ulicach. „Nie chcę być gorszy od innych. Kiedy się wszystko rusza, niech i moja beczka także dudni". Dudniły też ochoczo beczki i beczułki po bruku paryzkim, bo okres wielkich walk wewnętrznych ma swe własne prawa, podobnie jak okres oblężenia.

Czy trochę nie zawiele turkotu narobiliśmy, tocząc nasze beczki po ulicach Warszawy? Czy nie zbyt gorąco przejmowaliśmy się tu nad Wisłą owemi zapasami antysemitów z „masonami"? Możnaby mniemać, że my dziennikarze przebraliśmy miarę, — tak często spotyka nas zarzut, iż sprawa ta dorosła w prasie naszéj rozmiarów, jakich nie ma w rzeczywistości, że nadaliśmy jéj znaczenie, jakiego dla nas nie ma i mieć nie powinna, i że popadamy znowu w stare grzechy, rozpisując się szeroko o sprawach obcych ze szkodą własnych.

Czy grzech ten powtórzył się i tym razem? Ocenić to będziemy mogli dopiero wówczas, gdy można już będzie spojrzeć z perspektywy na wypadki dnia dzisiejszego. Natomiast trudniéjby nam było oczyścić się z zarzutu, że w tysiącznych wypadkach poszliśmy nieopatrznie śladem prasy zagranicznéj i niejednéj sprawie bardzo od nas dalekiéj pozwoliliśmy urość na naszych szpaltach nadmiernie i przerość mnóstwo spraw krajowych.

A jednak to zjawisko, jakkkolwiek niezdrowe i krytykowane słusznie, ma przyczyny bardzo wyraźne.

Prasa, a zwłaszczcza prasa codzienna, nie jest nigdzie na świecie rośliną, mogącą rość samodzielnie. Jest ona, jak bluszcz, który potrzebuje silnego pnia, by się koło niego owijać. Tym pniem jest życie społeczeństwa z tysiącznemi swemi objawami. Niema kroniki teatralnéj bez — teatru, niema działu giełdowego bez — giełdy, niema sprawozdania z wyścigów — bez pola wyścigowego. To samo powiedzieć można o każdym dziale dziennika, o każdéj dziedzinie robót dziennikarskich. Weźmy do ręki zbiór najlepszych dzienników zagranicznych, przejrzyjmy je dokładnie, a zdumiejemy się, widząc, jak mało znajduje się tam artykułów, będących samo-

dzielnym płodem mózgu dziennikarskiego i wyrastających na niwie dziennikarskiej bez oparcia, jak dąb, lub sosna. Prawie zawsze bywają to wiotkie bluszcze, tulące do silnego drzewa. Ten, co pisze o ruchu naukowym, obiera za przedmiot wczorajsze posiedzenie akademii; ten, co protestuje przeciw nowym wodociągom, powtarza argumenty, wypowiedziane na wczorajszém zebraniu obywateli; ten, co broni modernizmu w sztuce, pisze tylko ocenę dzieła, które przed tygodniem ukazało się za oknem księgarza. Artykuły dziennikarskie są tylko w niesłychanie rzadkich wypadkach rozwinięciem oryginalnych pomysłów. Zazwyczaj, są to sprawozdania, krytyki, obrony, to znowu niedyskretne paplania, reklamy lub paszkwile, ale i w jednym i w drugim i w trzecim wypadku są to zawsze tylko rozumowania, nawiązane do faktów, których dostarcza życie. Faktem tym może być upadek gabinetu, lub wyjście nowego dzieła z pod prasy, — ogłoszenie konkursu na gmach publiczny, lub wyrok w głośnym procesie. W dzienniku może fakt taki przyoblec się w szatę poważnego artykułu wstępnego, suchéj notatki s tys ycznéj, lub zjadliwego dowcipu w kronice. Istoty rzeczy to nie zmienia. Reguła jest stała: życie dostarczyło wczoraj faktów, dziennikarze dziś o nich piszą.

Otóż, pamiętać trzeba, że to żniwo jest u nas bez porównania uboższe, niż w prasie europejskiéj. Stowarzyszenia słabo rozwinięte, szczupła liczba nowych dzieł naukowych, skromniutki rozwój życia artystycznego, wszystko to razem sprawia, że dziennikarz który za granicą czerpie wiadrem ze zbiornika pełnego po brzegi, u nas nadstawiać musi półkwaterek, by łapać weń kroplę po kropli.

Jakaż wobec tego pokusa, żeby wyjrzéć po za kopce graniczne, tam, gdzie materyału więcéj, niż go spożytkować można, gdzie tematy narzucają się same. A jak łatwo przytém uwierzyć, że to, od czego burzy się i pieni wielkie milionowe zbiorowisko gdzieś w środku cywilizowanego świata, nie może być dla nas obojętne. Jak łatwo popaść w przesadę.

Jakaż na to rada? Są dwie. Skoro własne życie nie zasila nas obficie materyałem, podwójmy starania, ażeby nie pominąć żadnego objawu, ażeby nie zamilczéć o żadnym fakcie. A druga rada: skoro już poświęcamy tyle artykułów sprawom obcym, piszmy o nich, piszmy z jaknajwiększą znajomością rzeczy, z jaknajsumienniejszą ich oceną i jaknajbezstronniejszym o nich sądem. Ździebełko nauki zawsze się na dnie i dla naszych znajdzie. A w takim razie nie powtórzy się już to, iżbyśmy w wypadkach, obchodzących nas tylko

pośrednio, szukali pretekstu do nagadania niegrzeczności innym dziennikom polskim. Kłóćmy się ostatecznie, jeżeli to nam do zdrowia potrzebne, ale nie o Dreyfusa.

Wielkim wypadkim téj wiosny było w kraju naszym powstawanie towarzystw i stowarzyszeń rolniczych. Rzecz nowa, tak niezmiernie różna od form naszego dotychczasowego życia, przyjęta była zrazu z niedowierzaniem, niemal z obawą. A może z towarzystwami będzie gorzéj, niż bez nich? Dzisiaj—fakt ten łatwo stwierdzi każdy, kto tylko chce rozejrzéć się po kraju—dzisiaj lody już przełamane. Ziemiaństwo nasze garnie się do tych związków tam, gdzie już istnieją, myśli o ich zawiązywaniu tam, gdzie ich niema, wierzy, że mu wyjdą na korzyść. Szersze koła opinii publicznéj przejmują zwolna ten sam pogląd, jakkolwiek o saméj istocie tych związków rolniczych mają dotychczas bardzo niejasne pojęcie.

Najlepszym dowodem tego niedokładnego poinformowania naszéj inteligencyi jest fakt, iż nieustannie słyszymy, jak Towarzystwo kieleckie wymieniane bywa w parze z siedleckiém, jakgdyby to były dwie instytucye, zorganizowane analogicznie, dwa konkretne przykłady tego samego typu. Jakże jest naprawdę?

Istnieją dwa rodzaje związków: towarzystwa rolnicze i stowarzyszenia rolników, czyli syndykaty. W całém królestwie istnieje dotychczas jedno tylko Towarzystwo rolnicze—w Kielcach. Natomiast w Siedlcach, Radomiu, Lublinie, Płocku zawiązały się i zawiązują Stowarzyszenia, czyli syndykaty.

Różnica między dwoma temi typami jest znaczna. Zakres działalności towarzystwa jest szerszy, syndykatu szczuplejszy, towarzystwa oddają rolnikom nietylko usługi praktyczne, ale powołane są także do szerzenia wiadomości rolniczych, do posuwania wiedzy. Syndykaty są to spółki, obliczone na wzajemną korzyść materyalną.

W ustawie o syndykatach włożono na nie jako główny obowiązek, ułatwianie członkom nabywania produktów, narzędzi i wszelkich potrzebnych przedmiotów, a równocześnie pośredniczenie w sprzedaży wszelkich płodów gospodarczych. Na dalszym planie jest dostarczanie członkom kredytu na rachunek przedmiotów, oddanych syndykatowi na sprzedaż komisową, oraz zaciąganie pożyczek w większych instytucyach kredytowych za poręką członków. Syndykat ma być wogóle pośrednikiem między rolnikami, a całą grupą odbiorców, dostawców i kapitalistów.

Towarzystwa rolnicze, jak świadczy o tém ustawa Towarzystwa kieleckiego, mogą spełniać te same funkcye, mogą podejmować się pośrednictwa przy zaopatrywaniu rolników we wszystkie przedmioty, oraz przy sprzedaży produktów, mogą w tym celu zakładać biura wywiadowcze, urządzać składy komisowe i utrzymywać sklepy, ale po za tém wszystkiém powinny myśléć o rozpowszechnianiu nauki fachowéj i o sprawdzaniu jéj nabytków przez doświadczenia praktyczne.

Jako środek prowadzący do tego celu, mają służyć zebrania, obrady i wspólne wycieczki; rozwijając się stopniowo, mogą towarzystwa rolnicze, a Towarzystwo kieleckie w szczególności, korzystać z prawa drukowania dzieł, zakładania bibliotek i organizowania muzeów rolniczych; w miarę przybywania środków mogą zakładać pola i folwarki doświadczalne, urządzać wystawy, połączone z konkursami i udzielać czynnéj pomocy wszystkim instytucyom, mającym na celu podniesienie gospodarstwa wiejskiego w kraju.

Ustawa przewiduje nadto wydawanie fachowego pisma peryodycznego oraz i nadmienia wyraźnie że Towarzystwu służy prawo tworzenia różnych sekcyi specyalnych i że oprócz bezpośredniego zajmowania się nabywaniem i zbytem towarów i ziemiopłodów, może ono zawiązywać osobne spółki i w ten sposób zgromadzić niejako pod swemi skrzydłami całą grupę syndykatów specyalnych.

Program to zaiste rozległy. Mimowoli myśl goni w czasy, gdy kraj pokryje się tém wszystkiém, co towarzystwom i syndykatom wolno stwarzać. Obok składów zboża, utrzymywanych przez stowarzyszonych ziemian, widzimy składy narzędzi i machin, obok obór zarodowych — pola doświadczalne. Konkursa narzędzi odbywają się w odstępach peryodycznych, przeplatane odczytami i oględzinami folwarków wzorowych. Szczepy, nasiona i nawozy sztuczne rozchodzą się po gospodarstwach większych i chałupach chłopskich, a obok tego wszystkiego zgromadzenia i obrady wywierają wpływ niezaprzeczony, uczą bowiem dwóch rzeczy, które każdy członek społeczeństwa cywilizowanego umieć powinien: uczą słuchać w milczeniu cudzego zdania, a o przedmiocie obrad myśléć z tą ścisłością, bez któréj niepodobna przemawiać publicznie.

Są to jeszcze fantazye. Jeżeli się kiedyś zamienią w rzeczywistość, będzie to zasługą tych, którzy w samych początkach, niezrażeni chwiejnością opinii publicznéj, ocenili ważność téj pracy zbiorowéj i słuchając wyłącznie tego, co im głos obowiązku dyktował, zaczęli się krzątać koło zakładania towarzystw i syndykatów,

Z pierwszych przemówień, a zwłaszcza z przemówienia p. Dobieckiego, prezesa Towarzystwa rolniczego w Kielcach, widzimy, że w kole ziemian nie brak planów na przyszłość, nie brak wiary w możność ich spełnienia. Ta wiara—to rękojmia pomyślnego rozwoju.

Ludzi, którzy zabierają się do roboty, gdy inni rozprawiają jeszcze, czy wogóle robić coś warto, ludzi takich potrzeba nam na każdym kroku. Przeglądam właśnie ostatnie dzienniki i widzę jednomyślnie zadowolenie z niedzielnéj zabawy ludowéj w parku pragskim. Zdanie, iż zabawy te mają przyszłość zapewnioną, powtarza się w kilku pismach. I nic dziwnego. Skoro komitet trzeźwości daje ludowi za 10 kopiejek możność ujrzenia czterech polskich sztuk w teatrze, usłyszenia odczytów, wytańczenia się, wyhuśtania, przypatrzenia się krakowiakowi, tańczonemu przez baletników, a przytém spędzenia całego popołudnia w cienistym ogrodzie, w atmosferze wolnéj od wyziewów alkoholu, pod opieką pogotowia ratunkowego, — to trudno się zaiste dziwić pochwałom dzienników. A jeszcze parę tygodni temu trudno było znaleźć ludzi, gotowych do zajęcia się organizacyą pierwszéj zabawy. Tém większa jest zasługa p. Ludwika Skarzyńskiego i p. Wiktora Czyżewicza, którzy stanęli do apelu.

Lud się bawi na Pradze. Za rok zacznie się może gdzieś w innéj stronie miasta bawić ta biedna dziatwa, dla któréj Warszawa, zabudowując się w sposób po amerykańsku barbarzyński, nie ma dziś ani kawałeczka zielonéj murawy. Spadkobiercy ś. p. Raua złożyli téj dziatwie w darze 300 tysięcy rubli na ogród do zabaw. Nie sądzę, żeby dziś można było wybrać cel sympatyczniejszy. Dla dziatwy jest to wydobyciem jéj z cuchnącego rynsztoku, dla miasta przysporzeniem ogrodu, którego ono tak niezbędnie potzebuje. A przecież ogrody są płucami wielkich zbiorowisk ludzkich.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***Wł. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Bezpłatny
corocznie
52 tomy
Darmo.
dodatek.

NOWE KSIĄŻKI

NADESŁANE DO REDAKCYI „ATENEUM“.

---

1. *Feliks Kucharzewski.* **O narzędziach** niwelacyjnych, używanych w Polsce w XVI wieku. Warsz., skład u E. Wendego i S-ki, 1899, 8-vo, str. 23 z tabl. podobizn.
2. **Das landwirtschaftliche Genossenschaftswesen** in Frankreich. Unter besonderer Berücksichtigung der landwirtschaftlichen Syndikate. Von *Thaddäus Kudelka* diplom. Landwirt. Berlin 1899, Puttkammer et Mühlbrecht, 8-vo str. VII i 178.
3. **„Expresse“**. Przewodnik kolejowy i handlowy. Pod redakcyą *Wacława Rakowskiego*. Opracowany na podstawie źródeł ściśle urzędowych. Wydanie 10-te. Warsz 1899, 8-vo, (cena 50 kop.).
4. **Pamiętnik fizyograficzny.** Tom XV. (Wyd. z zapomogi Kasy im D-ra Mianowskiego. Warsz. 1898, kart alb. 6 + 1 + str. XIX 183 + 61 + 285 + 39; 4 mapy i 3 tablice litograficzne.
5. **Przebudzenie.** Kartka z bruku warszawskiego. Przez *Ninę Włodek.* Warsz. 1899, str. 76.
6. *Adam Stodor.* **Adoracya.** Poezye. Lwów, nakł. Księgarni Polskiej 1899, str. 92.
7. **Trzy nieznane dyalogi** z wieku XVI. Z egzemplarzy Biblioteki Kórnickiej wydał Dr. *Zygmunt Celichowski.* Poznań, nakł. Biblioteki Kórnickiej, 1899, str. 112.
8. Kilka słów **o pomocy w nagłych wypadkach** po wsiach rolnych i miasteczkach. Napisał D-r *Ign. Edward Maresz.* Warsz., skład główny w księgarni Dubowskiego, 1899, str. 168 i III.
9. **Myśli pobożne** *Zygmunta Krasińskiego.* Wydanie Biblioteki Ordynacyi Zamoyskiej. Warsz. 1899., str. 69.
10. *Kazimierz Laskowski (El.)* **Wiersze.** Warsz., wyd. księgarni St. J. Zaleskiego i S-ki, 1899, str. 32 (cena 12 kop.).
11. *Kazimierz Laskowski (El.)* „ „ „ „ „ 1899, str. 77. (cena 25 kop.).
12. **Odczyty popularno-naukowe** *E Macha* z niemieckiego przełożył *Stanisław Kramsztyk.* Łódź, 1899, str. 127.
13. *Gerhart Hauptmann.* **Dzwon zatopiony,** baśń dramatyczna. Przekład *Jana Kasprowicza.* Warsz , nakł. Wł. Okręta. 1899, str. 151.
14. *Gerhart Hauptmann.* **Woźnica Henszel.** Sztuka w 5-ciu aktach, przełożył *Gabryel Kempner.* Warsz , nakł. Wł. Okręta., 1900, str. 139.
15. **O pewnym stałym kierunku** zmian językowych, w związku z antropologią, przez *J. Baudouin de Courtenay.* Lwów, 1899, 8-vo, str. 173.
16. **Nałęczów** i jego okolice. Przewodnik informacyjny dla leczących się i lekarzy. Warsz. 1897, 8-vo, str. 88 z rysunkami i mapami.
17. *S. L. Ptaszycki.* **Kniazja Puzyny.** Istoryko-gienealogiczeskije materjały. Petersb. 1899, 8-vo, str. 131 + III i tabl. genealog.
18. *S. L. Ptaszycki.* **Pismo** pierwago Samozwanca k papie Klimentu VIII 1604 r. Petersb. 1899, 8-vo, str. 48 z 8 autotypiami.
19. *Charles Richet.* **Les guerres et la paix.** (Petite Encyclopédie populaire illustrée, Nr. 12). Paris, librairie C. Reinwald Schleicher frères éditeurs, str. 190 z rysunkami.
20. **Biblioteka dzieł wyborowych:** № 82 i 83, Obrazy życia na wschodzie *A. Neumanowéj,* z przedmową *J. A. Święcickiego* str. 160 i 168 z ilustracyami; № 84 Półpanek, powieść ukraińska z przedmową *T. Jeske-Choińskiego,* str. 160; № 86 Nad rzekami Babylonu. Powieść *T. T. Jeża,* str. 192.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.